

WARHAMMER
WARHAMMER

AMBASADOR



Graham McNeill



Graham McNeill

Ambasador

The Ambassador

Przełożył Artur Sęk

TERAZ...

I

Świtało zaledwie od paru minut, a ludzie już umierali. Z miejsca gdzie klęczał, tuż obok kopających pozostałości obozowego ogniska, Kaspar wyraźnie słyszał głośnie okrzyki bólu, niesione przez wiatr od strony wejścia do doliny. W duchu polecił ich dusze Sigmarowi.

Albo Ursunowi lub Olrykowi. Lub też jakimkolwiek innemu bóstwu, które mogło obserwować ich tego ponurego ranka.

Strzępki mgły ścieliły się przy ziemi. Słońce rozpoczęło swoją powolną wędrówkę w górę bladego jeszcze nieboskłonu, zastępując opadający księżyc w pełni i zalewając swym rozmytym światłem dno doliny. W tejże dolinie dwie stojące naprzeciw siebie armie witały właśnie nowy dzień i gotowały się do nadchodzącej rzezi. Kaspar wstał cały zeszywniały, masując bolące i napuchłe kolano i krzywiąc się, gdy rozprostowywał niemłode już kości. Był

zdecydowanie za stary na to, by znów spać na ziemi, pod gołym niebem - całe ciało miał obolałe i zziębnięte.

Dolinę wypełniały tysiące ludzi: pikinierzy z Ostlandu, halabardziści z Ostermarku, łucznicy ze Stirlandu, kosarze z Erengradu, dzierzący miecze żołnierze z Praag i przetrzebione resztki zdziesiątkowanych regimentów, które zostały uwięzione w Kislevie po rzezi pod Zedewką. Wszyscy podnosili się teraz ze swoich posłań i rozniecali na powrót obozowe ogniska. Z miejsca gdzie stał, Kaspar mógł widzieć może dwie trzecie armii, mniej więcej siedem tysięcy żołnierzy z Imperium i kolejne dziewięć tysięcy z miasta Kislev i otaczających go stanic. Mgła i pochyłość terenu skrywały przed jego wzrokiem jeszcze jakieś sześć tysięcy wojów.

Wiele już lat minęło od chwili, gdy po raz ostatni prowadził żołnierzy do bitwy i sama myśl o tym, że wysłe tych mężnych ludzi na spotkanie ze śmiercią, przyniosła jakże znajome uczucie smutku i udręki. A przecież wielu z nich było tak młodych, że ledwo co zaczęli się golić.

Setki koni kwiczały i łomotały o ziemię podkutymi kopytami. Były podenerwowane wielką ilością kręcących się wokół nich żołnierzy i unoszącym się wokół, wszechobecnym zapachem gotowanego mięsa. Giermkowie uspokajali wierzchowce swych panów, gdy tymczasem husarze z Kisleva malowali swoje konie w wojenne barwy i przytwierdzali sobie swoje słynne skrzydła do pleców. Pomiedzy gotującymi się do bitwy żołnierzami kręcili się tu i ówdzie odziani na czarno kislevscy kapłani. W czasie swej wędrówki po obozie święcili topory, kopie i miecze. W tym samym czasie kapłani Sigmara głośnie czytali ustępy z Kantyczki Heldenhammera. Wielu ludzi utrzymywało, że ostatniej nocy widzieli na niebie kometę z podwójnym ogonem. Nikt nie był do końca pewien, jaki mogła nieść omen, ale kapłani wzięli to za znak tego, że bóstwo opiekujące się Imperium było w tej ciężkiej godzinie razem z nimi.

Kaspar tej nocy śnił o komecie. We śnie spoglądał jak gorejąc płynie przez nieboskłon, kąpiąc w swym boskim blasku leżące poniżej ziemi. Śnił też o Imperium rozdartym wojną. Imperium, którego

miasta padły łupem najeźdźców, a ich mieszkańców wycięto. Altdorf płonął żywym ogniem, a północne umocnienia Middenheimu skąpane były we krwi. Okaleczone ciała mieszkańców wisiały wszędzie, utrzymując się na wnętrznościach i śliskich jelitach. Barbarzyńscy przybysze z północy i potworne bestie chodzące na dwóch nogach przebiegały starożytne ulice jego ukochanego Nuln, tnąc, gwałcąc i paląc wszystko, co znalazło się na ich drodze. Tymczasem młody, złotowłosy chłopak wznosił w górę dwa kowalskie młoty ojca i powstał, by się im przeciwstawić.

Kaspar potrząsnął głową, by odegnąć od siebie melancholijny nastrój i natarczywe myśli, a potem ruszył przez obozowisko. Spał z dala od swoich towarzyszy, nie mogąc zapomnieć o swej przewinie, nie chcąc dzielić się smutkiem i wyrzutami sumienia z powodu tego, co uczynił poprzedniego tygodnia u stóp Wzgórza Bohaterów.

Wozy, zapakowane workami z prochem strzelniczym i kulami, z mozołem posuwały się do przodu przez błotnisty grunt. Spoceni woźnice i muskularni zaopatrzeniowcy walczyli zaciekle o to, by żaden z wozów nie ugrzązł w błocie. Konwój kierował się w stronę suchego wzniesienia, nad którym powiewały chorągwie Imperialnej Szkoły Artylerii. Stały tam, poustawiane w ciasne szeregi, ciężkie działa. Tam, gdzie artylerzyści czekali na rozkazy oddania strzału, dymiły już rozpalone nieopodal ognie. Inżynierowie w niebiesko-czerwonych barwach Altdorfu mierzyli zasięgi dla okopanych za działami moździerzy.

Kaspar obszedł dookoła wóz wiozący halabardy, kopie i inną broń drzewcową.

Skierował się do miejsca, gdzie tuż obok purpurowej chorągwi Rycerzy Pantery łopotał jego czarno-złoty sztandar. Jego koń przebywał wraz z wierzchowcami rycerzy w naprędce zbudowanej zagrodzie. Karmił go i poił giermek Kurta Bremena. Sam Kurt klęczał i modlił

się wraz ze swoimi współbraćmi i Kaspar nie miał zamiaru im przeszkadzać. Czekaając na koniec ceremonii nalał sobie do kubka gorącej herbaty z parującego kociołka, zawieszzonego nad jednym z okolicznych ognisk.

Paweł chrapał tuż obok ognia. Jego masywna postać owinięta była futrami i pomimo wszystkiego, co wyszło na jaw w ciągu ostatnich miesięcy, Kaspar poczuł falę sympatii do starego przyjaciela. Popijał małymi łydkami herbatę, marząc, żeby mieć choć odrobinę miodu do jej osłodzenia. Uśmiechnął się do siebie. Cóż za głupia myśl w obecnej sytuacji.

Czuł, że resztki snu wyparowały w końcu z jego głowy. Zwrócił się ku północy, w stronę wejścia do doliny, gdzie czterdzieści tysięcy najeźdźców z hordy Wielkiego Zara Aelfrica Cyenwulfa również gotowało się do bitwy.

- Zupełnie jak stare czasy, co? - odezwał się Paweł, wyłaniając się wreszcie spośród futer swego legowiska i sięgając po bukłak z kvassem. Najpierw sam łyknął z niego potężnie, a następnie wyciągnął naczynie w stronę Kaspara.

- Tak - przyznał Kaspar, przełykając spory haust mocnego trunku - za wyjątkiem tego, że obaj jesteśmy o dwadzieścia lat starsi.

- Starsi, tak. Mądrzejsi, no, Paweł nic nie wie na ten temat.

- W tym przypadku nie będę się spierał.

- Czy oni nadeszli już do nas?

- Nie, jeszcze nie. Ale wkrótce nadejdą - odparł Kaspar.

- Wtedy wyślemy ich nazad na północ. Z obciętymi jajami!

Kaspar parsknął śmiechem.

- Mam nadzieję, mam taką nadzieję.

Starzy kompani zamilkli na chwilę. W końcu ciszę przerwał pytaniem Paweł.

- Myślisz, że są jakieś szanse dla nas?

Kaspar zastanawiał się przez kilka sekund zanim odpowiedział.

- Nie, nie sędzę, byśmy zdołali ich pokonać. Jest ich zbyt wielu.

- Lodowa Królowa mówi, że wygramy.

Kaspar powiódł wzrokiem w górę zboczy doliny, gdy dobiegł do nich z oddali smutny i przejmujący dźwięk rogu. Bardzo chciałby wierzyć, że Królowa miała rację, że się nie myliła. Mgła i dymy z ognisk przesłaniały wszystko za wyjątkiem jednego stojącego głazu.

Było ich tu więcej i to właśnie od nich dolina wzięła swoją nazwę.

Urszebja. Zęby Ursuna.

Od strony wejścia do doliny podniósł się narastający ryk. Gardłowa intonacja zwielokrotniona echem i spotęgowana biciem mieczy i toporów w obite żelazem tarcze.

Lodowa Królowa zdecydowała, że te kamienie były warte tego, by o nie walczyć.

Kaspar miał nadzieję, że były też warte tego, by za nie umrzeć.

ROZDZIAŁ 1

SZEŚĆ MIESIĘCY WCZEŚNIEJ

I

Nic, zupełnie nic, ani klimat, ani obyczaje, ani też odmienność tego miejsca nie służy mojemu zdrowiu, czy też mojemu nastrojowi. Jedyne przyjemności, jakie jestem w stanie wymienić i jakim jeszcze folguję, to jedzenie i picie - jednak tylko Sigmar wie, że i tak niewiele jadłem w życiu rzeczy

gorszych niż te tutaj, w czasie mej kariery jako ambasadora naszego szlachetnego Imperium.

- List do Altdorfu, Andreas Teugenheim, poprzedni ambasador na dworze Carycy Katarzyny.

*

Kaspar von Velten ściągnął wodze swojego kasztanowatego wałacha i spojrzał w górę na wspaniałe, otoczone murami miasto Kislev. Odwinął z twarzy osłaniającą ją wełnianą chustę. Jesień nastąpiła dopiero jakiś miesiąc temu, ale dni były już przepełnione chłodem.

Ciepły oddech momentalnie zmieniał się w powietrzu w obłoczek pary. Wiedział, że zima nadchodzi w Kislevie bardzo prędko i pewnie już wkrótce te wzgórza, na których rozłożyła się stolica tego kraju, zostaną zmrożone jej lodowym uściskiem. Delikatny deszczyk padał z ponurego nieba, wiatr chłostał nim na wszystkie strony i Kaspar zrozumiał doskonale niechęć dla klimatu tego kraju, jaką okazywał w swych listach ambasador Teugenheim.

Niebieskie oczy von Veltena nie straciły nic ze swego młodzieńczego blasku, ale widać w nich już było doświadczenie i zrozumienie wielu rzeczy. Skóra pociemniała i stwardniała przez lata spędzone na polach bitew Starego Świata. Pod szerokoskrzydłym kapeluszem kryły się rzednące już, siwe włosy - podobnie jak broda starannie przystrzyżone i zadbane. Wyblakły tatuaż, pamiętający jeszcze młodzieńcze lata pośród rekrutów, wił się zakrętasami spoza lewego ucha w dół jego szyi.

Światło odbijało się i połyskiwało na ostrzach włóczni i zbrojach żołnierzy, strzegących potężnych miejskich murów. Ich podbite futrami płaszcze łopotały w podmuchach wiatru. Kaspar uśmiechnął się mimowolnie na wspomnienie opisu zawartego w liście Teugenheima przysłanym do Altdorfu, gdy stary ambasador obejmował placówkę i po raz pierwszy zobaczył Kislev...

Miasto wznosi się pośród bezkresu województwa niczym zębaty kolec. Dominuje nad całą okolicą w prosty sposób, jakiego można się spodziewać po tym nieokrzesanym narodzie. Mury są wysokie i robią wrażenie, żeby nie było co do tego wątpliwości, ale jakże wysoki musi się stać mur, zanim jego dalsze podwyższanie stanie się niepotrzebne? Wygląda na to, że Kislevczycy zbudowali najwyższe mury, jakie kiedykolwiek dane mi było ujrzeć, ale pomimo tego, że są niewątpliwie imponujące, efekt jest dość ordynarny jak na mój gust.

Wprawne oko Kaspara przemknęło po całej wysokości ściany. Natychmiast uświadomił sobie zabójczą precyzję budowniczych i funkcjonalność umocnień. Sprytnie rozmieszczone machiuky ukryte były pod przedstawiającymi ozdobne gargulce rzeźbami u szczytu muru, a nad blankami wiły się na wietrze wstęgi dymu z palenisk. Staranna konstrukcja wysuniętych wież i baszty bramnej gwarantowała, że każdy fragment terenu znajdujący się pod murami znajdował się w polu rażenia. Wszyscy znajdujący się tam wrogowie byli wystawieni na ostrzał z kusz i armat.

Opis Teugenheima nie był w stanie oddać ogromu Kisleva. Kaspar jednak z doświadczenia wiedział, że atakujący zapłaciłby przerażająco wysoką ofiarę z krwi, gdyby próbował zdobyć te mury.

Brukowana droga wiła się dookoła Wzgórza Bohaterów wprost do szerokiego mostu, przerzuconego ponad głęboką fosą, a dalej do nabijanej, drewnianej bramy wzmocnionej i okutej czarnym żelazem,

posiadającej dodatkowe zabezpieczenie w postaci otworów w kamiennym suficie, przez które obrońcy mogli nękać napastników.

Pomimo faktu, że wcześniej już walczył w Kislevie, ba, nawet dowodził tu armiami, Kaspar nigdy nie miał okazji, by odwiedzić stolicę. Na pierwszy rzut oka rozpoznał jednak doskonale fortyfikacje. Te mury stanowiły chyba najlepszą ochronę miasta, jaką dane mu było do tej pory zobaczyć. Co najmniej równie dobrą jak ta w Nuln czy Altdorfie. W

odróżnieniu jednak od tamtych dwóch miast, mury Kisleva miały bardzo gładki i szklisty wygląd, tak jakby zostały kiedyś nadtopione przez jakiś niewyobrażalnie wielki żar.

Prawdopodobnie najpopularniejszą opowiastką, śpiewaną przez podlejszych bardów i trubadurów Imperium, była ta o Wielkiej Wojnie z Chaosem. Mityczna wręcz historia, która opowiada o tym, jak w zamierzchłych czasach hordy plemion z północy oblegały to potężne miasto, zanim zostały złamane i pokonane przez przymierze ludzi, krasnoludów i elfów. Była to wzniosła opowieść o odwadze i poświęceniu, która jednak przez lata została mocno ubarwiona i zmieniona przez kolejne pokolenia opowiadających ją ludzi. Najpowszechniejszą zmianą, dodawaną przez co bardziej inteligentnych i mających bujną wyobraźnię bardów, był

fragment o tym, jak mutacyjna potęga Chaosu sprawiła, że solidne i niewzruszone ściany miasta topiły się i płynęły niczym wosk. Większość uczonych historyków zaprzeczała temu i uważała te opowieści za kompletną bzdurę, ale teraz, patrząc na przedziwnie wyglądające mury, Kaspar był gotów uwierzyć, że w istocie musiało się tu wydarzyć coś przedziwnego.

- Panie? - dobiegł go głos zza pleców i Kaspar momentalnie wyrwał się z zamyślenia.

Tuż za nim zatrzymał się czarny, schlapany teraz błotem powóz, ozdobiony złotymi herbami miasta Nuln. Woźnicą był nachmurzony starzec o skórze chropawej niczym kamieniste, górskie zbocze. Siedział na wyściełanym koźle, trzymając luźno lejce w swej jedynej sprawnej dłoni. Jeszcze dalej stały cztery kolejne kryte wozy - ich pasażerowie i ładunek chronione były przed pogodą dobrze natłuszczonym płótnem. Woźnice trzęśli się z zimna, a konie niecierpliwie uderzały kopytami o błotnistą drogę. Na tyłach ostatnich dwóch wozów tłoczyło się szesnastu młodzieńców - giermków i pachołków olbrzymich rycerzy w połyskujących płytowych zbrojach, którzy otaczali pierścieniem ten niewielki konwój.

Rycerze dosiadali potężnie zbudowanych wierzchowców z Averlandu, okrytych zdobionymi bogato kropierzami. Żaden z koni nie był niższy niż szesnaście dłoni. Opancerzeni wojownicy wyglądali niezwykle groźnie, swą dumę i siłę nosili niczym płaszcz, byli ucieleśnieniem potęgi i mocy niezwyciężonej armii Imperium. Ciężkie kopie trzymali wzniesione w górę.

Liliowe, złote i purpurowe wstęgi przypięte tuż poniżej grotów furkotały na wietrze.

Twarze jeźdźców zasłaniały przyłbice, ale nie mogło być wątpliwości co do tego, że za tą osłoną kryją się nieskazitelne oblicza szlacheckich synów najznamienitszych rodów Imperium. Na ramionach mieli udrapowane mokre teraz lamparcie skóry. Chorąży trzymał

wysoko drzewce, na którym powiewała chorągiew Imperium, a wraz z nią chorągiew herbowa Kaspara. Ciężki materiał łopotał głośno na wietrze.

- Wybacz mi, Stefanie - odezwał się Kaspar - podziwiałem właśnie fortyfikacje.

- Dobra, ale teraz powinniśmy już wjechać do miasta - odparł zrzędlawie Stefan Reiger, najstarszy i najbardziej zaufany przyjaciel von Veltena - Jestem zmarznięty do szpiku kości, a ta pogoda nie służy też z pewnością twoim starym gnatom. Dlaczego uparłeś się, by jechać tu konno, skoro tuż za mną jest zupełnie dobry powóz? Nie mogę tego naprawdę zrozumieć. Straciliśmy tylko kupę cholernego czasu, ciągnąc go tu ze sobą.

Rycerz jadący obok powozu obrócił głowę. Pomimo opuszczonej przyłbicy dało się zauważyć, iż odczuwa niesmak, słysząc, że Stefan odzywa się do pana w tak bezpośredni i bezceremonialny sposób. Wielu członków szlacheckich rodów z Imperium kazałoby oćwiczyć swego sługę za takie spoufalanie się, ale Stefan walczył u boku Kaspara zbyt długo, by którykolwiek z nich zwracał uwagę na takie bzdurne konwenanse.

- Starcze gadanie, ale mimo wszystko potrafię je zrozumieć. Dla ciebie czas ma teraz duże znaczenie, Stefan, i tak znajdziesz się w kaplicy Morra wcześniej niż ja.

- No, być może tak będzie. Ale ja jestem lepiej od ciebie zakonserwowany. Jestem jak dobre tileańskie wino - na starość robię się coraz lepszy.

- Jeżeli masz na myśli kwaśny winiak, starcze, to natychmiast chętnie się z tobą zgodzę. Ale masz rację, powinniśmy już wjechać do środka. Niedługo zacnie się ściemniać.

Kaspar przynaglił swego konia, trącając jego boki piętami. Ściągnął wodze i skierował

zwierzę w stronę bram miasta. Jadący z przodu rycerz także trącił wałacha ostrogami i ramię w ramię z Kasparem wjechał na szeroki, kamienny most. Razem zbliżyli się do bramy.

Rycerz uniósł przyłbicę, odsłaniając poźłobioną zmarszczkami twarz arystokraty, twarz zatroskaną i jednocześnie świadcząca o niesamowitym doświadczeniu życiowym. Kaspar poklepał go po naramienniku dłonią w rękawicy.

- Wiem o czym teraz myślisz, Kurt - odezwał się von Velten.

Kurt Bremen, przywódca zakonnych rycerzy, przyglądał się uważnie żołnierzom, stojącym na murach. Paru z nich dla wprawy celowało do nich z łuków. Mars na jego czole pogłębił się jeszcze bardziej.

- Jedyną rzeczą, która zaprzęta teraz moje myśli - odparł Bremen ze swym nienagannym, altdorfskim akcentem - jest nadzieja, że żaden z tych wojaków na górze nie ma zbyt luźnych palców. Nie jest bynajmniej moim problemem to, w jaki sposób pozwalasz do siebie mówić niżej urodzonym. Moim jedynym zadaniem, ambasadorze von Velten, jest zapewnienie ci bezpieczeństwa, dopóki nie obejmiesz swego stanowiska.

Kaspar przytaknął skinieniem głowy. Zignorował zupełnie nieznacznie zaakcentowaną wzgardę, którą

rycerz odczuwał do wykonywanego obecnie zadania, i również powiódł wzrokiem w górę.

- Chyba nie masz zbyt dobrego zdania o żołnierzach z Kisleva, nieprawdaż Kurt?

Wiele razy prowadziłem ich do boju. Są trochę dzicy, przyznaję, ale to mężni i honorowi ludzie. Ci ich husarze nie ustępują rycerzom z największych zakonów Imperium...

Głowa Bremena obróciła się błyskawicznie, jakby chciał coś powiedzieć. Wyduł wzdargliwie wargi, zanim zorientował się, że była to ze strony von Veltena celowa zaczepka.

Ponownie zwrócił wzrok na mury i przytaknął niechętnie.

- Być może - stwierdził. - Słyszałem, że husarze i konni łucznicy w rzeczy samej są zapamiętałymi, choć trochę niedbałymi wojownikami. Ale reszta to leniwe, gospodarskie bydło. Już prędzej zaufałbym i wystawił na swojej flance najemników z wolnych kompanii.

- W takim razie wielu rzeczy na temat Kislevczyków musisz się jeszcze nauczyć -

uciął Kaspar i wysforował się przed rycerza. Brama rozwarła się na dobrze naoliwionych zawiasach i naprzeciwko von Veltena stanął mężczyzna o najdłuższych i najbujniejszych wąsiskach, jakie ten kiedykolwiek w życiu widział. Miał na sobie powycierany kaftan, na którym wyhaftowano wznoszącego się na tylnych łapach niedźwiedzia. Pod spodem miał

pobrązowiałą od rdzy kolczą koszulkę. Cały czas obgryzał kurze udko. Nie wyglądało to najlepiej. Tuż za nim stał niewielki oddział żołnierzy w kolczugach, uzbrojonych w kusze i włócznie. Wąsacz otaksował wzrokiem Kaspara a następnie przeniósł spojrzenie na jadące za nim wozy i powóz.

- Nia, dojest wha? - wybełkotał wreszcie. Był najwyraźniej zupełnie pijany.

- Nia Kislevarin - odpowiedział Kaspar, potrząsając głową.

- Kim wy? - wydukał w końcu wąsacz. Staroświatowy w jego ustach był prawie zupełnie niezrozumiały.

Bremen już otwierał usta, by mu odpowiedzieć, ale Kaspar uciszył go gestem ręki, zsiadł z konia i stanął przed dowódcą straży przy bramie. Wąsacz miał nieprzytomne, czerwone oczy. Z trudem skupiał wzrok na swoim rozmówcy. Oddech wydobywający się z jego ust był zatęchły i śmierdzący.

- Nazywam się Kaspar von Velten i jestem nowym ambasadorem Imperium na dworze Lodowej Królowej Kisleva. Domagam się, byś razem ze swoimi ludźmi odstąpił i dał nam wolną drogę do miasta.

Kaspar wyciągnął zza pazuchy zwój z odcisniętym w woskowej pieczęci imperialnym orłem i zamachał nim tuż przed czerwonym nochałem wąsacza.

- Rozumiesz, co do ciebie mówię? - dodał po chwili.

W jakimś krótkim momencie olśnienia dowódca straży zauważył wreszcie rycerzy, a także łopocące nad ich głowami sztandary i chwiejnie wycofał się za bramę. Zamachał

niezdarnie dłonią w kierunku stojących za nim żołnierzy, a ci z wdzięcznością powrócili do zacisznego wnętrza kordegardy. Kaspar schował z powrotem zwój i zręcznie wskoczył na siodło swojego wierzchowca. Dowódca straży usiłował mu zasalutować, ale był tak pijany, że te próby wyglądały raczej dość śmiesznie i żenująco.

- Dobrze witać w Kislevie - wybełkotał wąsacz, a Kaspar słysząc to uśmiechnął się.

II

Kaspar zamrugał, gdy wynurzył się wreszcie z ciemności bramy i wjechał do miasta.

Leżał przed nim spory, brukowany plac, wypełniony straganami kupców i krzątającymi się, pokrzykującymi ludźmi. Powietrze było aż gęste od zapachu ryb i rzucanych dookoła przekleństw. W głąb miasta prowadziły trzy ulice i każda z nich była podobnie zapchana ludźmi i zwierzętami. Kaspar zaciągnął się ostrym zapachem kipiącego życiem miasta.

Budynki stojące wokół były umiejętnie i starannie zbudowane z kamienia, z dachami krytymi gontami z gliny. Klekotanie kół powozu rozbrzmiało tuż za nim i von Velten odjechał na bok, gdy Stefan przejeżdżał przez bramę.

- Więc to właśnie jest Kislev - stwierdził obojętnie Stefan. - Przypomina mi Marienburg. Zbyt tłoczny, zbyt głośny i śmierdzi rybami.

- Jeszcze będziesz miał czas pojęczeć nad naszym nowym domem, Stefan. Teraz chciałbym się dostać do ambasady jak najprędzej, jeszcze zanim nasz pijany kolega pośle umyślnych z wiadomością, że przybyliśmy.

- Nosz! Ten pijany głupiec do tej pory już pewnie zdążył o nas zapomnieć.

- Pewnie tak, ale nie zaszkodzi mieć pewność - stwierdził Kaspar. Odwrócił się w siodle w stronę Kurta Bremena i machnięciem ręki wskazał trzy leżące przed nimi ulice, wiodące do centrum miasta.

- Byłeś tu już wcześniej, Kurt. Którą drogą najszybciej dostaniemy się do ambasady?

Przywódca rycerzy wskazał bez wahania środkową ulicę.

- To właśnie ta. Goromadny Prospekt wiedzie przez miasto do Placu Bohaterów.

Ambasada znajduje się za główną świątynią boga wilka.

Kaspar wybuchnął śmiechem.

- Nawet planując budowę grają nam na nosach. Doprawdy, przedni to pomysł, by postawić ambasadę narodu Sigmara tuż za świątynią poświęconą Ulrykowi. Niezwykle chytry i łobuzerski to naród, ci

Kislevczycy. Ruszajmy więc w drogę. Jestem pewien, że ambasador Teugenheim będzie niezwykle szczęśliwy, widząc nas.

Wozy i powóz wolno zaczęły torować sobie drogę przez Goromadny Prospekt.

Ulicami przewijała się niezwykła ilość ludzi, biegnących gdzieś, by załatwić jakieś swoje interesy. Wszyscy byli dobrze ubrani w ciepłe, futrzane płaszcze i wełniane ubrania.

Wyglądali dość srogo, zauważył Kaspar, byli niżsi od przeciętnych mieszkańców Imperium, ale nosili się z wielką dumą. Tu i ówdzie dało się zauważyć ponure i wyniosłe postacie, odziane w futra i zbroje, przypominające żywo najeźdźców z północy, którzy pustoszyli nabrzeżne osady nad Morzem Szponów. Bremen i chorąży oddziału Rycerzy Pantery musieli wręcz rozgarniać morze złorzeczących Kislevczyków swoimi ogromnymi wierzchowcami.

Kaspar i reszta kawalkady zdążyła tuż za nimi. Wzdłuż rynsztoków i przy rogach budynków stały całe szeregi pozbawionych kończyn żebraków, błagających o choćby najmniejszy datek.

Wymalowane dziwki prezentowały z rutyną i rezygnacją swoje wątpliwe wdzięki. To miasto wręcz emanowało desperacją i beznadzieją. Zupełnie tak samo, jak każde inne miasto Starego Świata w tych ciężkich czasach, zreflektował się Kaspar.

Wojna toczona w zeszłym roku dotknęła mieszkańców każdego zakątka świata i na zawsze odmieniła niektóre miejsca w Imperium i Kislevie. Ogromne obszary Ostermarku, Ostlandu i południowego Kisleva zostały spustoszone przez wędrujące tamtędy armie.

Później nadszedł głód, panoszący się niczym nienasycony zabójca. Po bardzo bolesnej porażce pod Aachden dziesiątki tysięcy zbrukanych krwią barbarzyńców rozpoczęło oblężenie Wolfenburga. Nadzieja całego Imperium spoczywała teraz w tym wspaniałym, północnym mieście. Musiało przetrwać do zimy. Wtedy wrogie oddziały powinny odступить z powodu ostrego mrozu i głodu, który zapanuje. Jeżeli jednak Wolfenburg upadnie, droga na południe, do Altdorfu, stanie przed nieprzyjacielem otworem.

Całe hordy uchodźców, tysiące ludzi, uciekały na południe - byle dalej od armii z północy. Wyludniały się całe osady. Pewne rejony Imperium zupełnie opustoszały. Były to z pewnością bardzo ciężkie czasy. W zachowaniu ludzi dawało się jednak wyczuć coś jeszcze, jakieś napięcie, jakby nikt nie chciał pozostawać na zewnątrz murów dłużej niż był do tego zmuszony i nie miało to chyba nic wspólnego z toczącą się gdzieś nawet w tej chwili wojną.

Przedziwne...

Przed nimi, w dalszej części ulicy, coś kolorowego przyciągnęło wzrok Kaspara.

Ujrzał zmierzającą w ich kierunku ciemnozieloną i połyskującą karocę. Była z pewnością odrobinę staroświecka, lecz musiała należeć do jakiejś bogatej rodziny. Ambasador zauważył, że ludzie sami z ochotą ustępują jej z drogi, podczas gdy ich przejazdowi towarzyszyły przekleństwa i złorzeczenia. Lakierowane drzwi nosiły herb, przedstawiający koronę otaczającą serce. Kiedy karoca przejeżdżała

obok, Kaspar przez otwarte okno kątem oka zauważył siedzącą w środku kobietę o kruczoczarnych włosach. Skinęła w jego kierunku, a on obrócił powoli głowę, patrząc, jak karetę przejeżdża mimo i oddala się drogą, którą dopiero co przebyli. Niebawem stracił ją zupełnie z oczu, skręciła bowiem za róg, jadąc wzdłuż miejskich murów.

Kaspar zwrócił uwagę z powrotem na ulicę przed sobą, zastanawiając się cały czas, kim była tajemnicza nieznajoma. Ostro ściągnął wodze swojego konia, gdy tuż przed niego wyskoczyła nagle jakaś odziana na czarno postać. Odzienie wyraźnie świadczyło o tym, że człowiek ten należy do stanu kapłańskiego Kisleva, a jego twarz zastygła w wyrazie obłędu, który wcale się Kasparowi nie spodobał. Z respektem dotknął krawędzi swego kapelusza i skierował konia w lewo, by wyminąć mężczyznę, ale ten raz jeszcze zastąpił mu drogę. Nie chcąc żadnych zatargów z tutejszym klerem, ambasador zmusił się do uśmiechu i znów spróbował wyminąć kapłana. Tamten jednak stanął przed nim ponownie.

- Zostaniecie osądzeni! - zawołał schrypniętym głosem. - Gniew Rzeźnika spadnie na wasze głowy! Serca wyprute z waszych ciał będą dla niego niczym lukrecje, a wnętrzności staną się prawdziwą ucztą dla jego rozkoszy!

- Hej ty tam, człowieku - przeciął ostro jego przemowę Kurt Bremen, wyjeżdżając przed Kaspara - zajmij się własnymi sprawami. Nie mamy czasu, by przerzucać się żartami z takimi jak ty. Idź precz!

Kapłan wyciągnął w stronę rycerza długi, powalany brudem palec.

- Zakonniku Sigmara, twój bóg nie jest w stanie ci tu pomóc - zadrwił. - Ostrze Rzeźnika rozplata twój brzuch z równą łatwością, jak jego zęby obedną twe kości z mięsa!

Bremen wysunął lekko swój miecz z pochwy, pokazując brudnemu kapłanowi błyszczące ostrze w dość jednoznaczny sposób. Tamten splunął siarczyście tuż pod kopyta ogromnego wierzchowca i umknął spłoszony, gnając jak najdalej od groźnego rycerza. Po chwili pochłonęła go przelewająca się przez ulicę tłuszcza i Bremen wsunął miecz z powrotem do pochwy.

- Szaleniec - skomentował krótko.

- Szaleniec - przytaknął Kaspar i ponaglił konia.

Goromadny Prospekt okazał się być niezwykle długą ulicą, ciągnącą się przez niemal kilometr. Panował tu niezwykle gwar, dokonywano przeróżnych transakcji. Uliczni handlarze pokrzykiwali na przechodniów od swoich straganów, złodziejaszki uciekały przed swymi ofiarami a stateczni, odziani w futra mieszkańcy maszerowali w różne strony.

Większość mężczyzn miała ogolone na łyso głowy ze starannie utrzymanymi, długimi kosmykami włosów, wijącymi się w dół ze szczytu czaszki, a kobiety ubrane były najczęściej w proste, wełniane sukienki z narzuconymi na ramiona bogato zdobionymi chustami albo futrami zwierząt.

Ulica wreszcie się rozszerzyła i zmieniła się w bulwar, po bokach którego stały jedna obok drugiej tawerny i gospody. Bulwar zapełniony był bawiącymi się mężczyznami, śpiewającymi wojenne

pieśni i potrzęsającymi długimi siekierami. Kiedy Kaspar ze swą swiłą przejeżdżali obok nich, pieśń stała się jeszcze głośniejsza, a siekiery skierowały się z niemą groźbą w stronę rycerzy. Bulwar wciąż się rozszerzał, aż w końcu przeszedł w wyłożony granitem, centralny plac miasta - Plac Bohaterów. Dookoła poustawiane były wielkie, żelazne posągi carów, którzy rządili wieki temu i ciała ich dawno obróciły się już w proch. Cały plac okalały bogato zdobione budynki z czerwonego kamienia z wąskimi, wysokimi oknami i spadzistymi dachami, które zwieńczone były charakterystycznymi kopułami o kształcie przypominającym cebulę.

Ale pomimo całej wspaniałości budynków okalających plac, były one jedynie bladym cieniem prawdziwego przepychu wspaniałej budowli, stojącej po jego przeciwnej stronie. Był

to pałac Carycy, samej Lodowej Królowej, Katarzyny Wielkiej. Potężna forteca wznosiła się do góry, szereg za szeregiem białych, kamiennych wież i kolorowych, zdobionych blanków, które wieńczyła wreszcie przeogromna, złota kopuła. Jej piękno zapierało dech w piersi, wyglądała niczym gigantyczna, lodowa rzeźba stercząca wprost z ziemi i Kaspar nagle poczuł

większy respekt do Kislevczyków. Z pewnością ludzie, którzy potrafili zbudować coś tak wspaniałego, nie mogli być tylko prostymi dzikusami.

Von Velten skierował uwagę z powrotem na ziemię. Ponaglił konia i zwrócił się wprost ku świątyni Ulryka - masywnemu gmachowi z białego kamienia, ozdobionemu posągami zajadłych wilków, które otaczały czarne, drewniane podwoje. Ze stopni schodów prowadzących do wnętrza świątyni spoglądali na nich kpiąco stojący w niewielkich grupach, ubrani na czarno, brodaci kapłani.

Środek placu porośnięty był trawą i tam właśnie ustawiono całkiem okazałą zagrodę dla koni. Wewnątrz zagrody tłoczyły się dziesiątki niewielkich, stepowych koników; niektóre z nich były właśnie oprowadzane dookoła, żeby ewentualni kupujący mogli lepiej zobaczyć towar. Panował tu niesamowity rozgardiasz. Stepowe konie były niezwykle wytrzymałe i nawykłe do ostrego klimatu, panującego w Kislevie. Były za to wolniejsze w galopie od swoich karmionych ziarnem braci z Imperium. Nawet z tej odległości Kaspar zauważył, że wiele zwierząt było wycieńczonych. Nie dałby im więcej niż pół roku życia, później nie będzie już z nich żadnego pożytku.

Z boku świątyni wilczego boga odchodziła od placu ciasna i wąska uliczka. Stojące gęsto po obu stronach budynki sprawiały, że tonęła ona w mroku.

Kaspar poczekał, aż dołączą do niego wozy wraz z powozem i dopiero wtedy ruszył w dół opustoszałej ulicy. Prowadziła ona do sporego podwórca z brązową, pokrytą zieloną patyną fontanną pośrodku. Brudnobury płyn spływał bulgocząc z niewielkiej czary trzymanej przez anioła i wypełniał zbiornik u dołu.

Właśnie za tą zaniedbaną fontanną i pordzewiałym, żelaznym ogrodzeniem znajdowała się ambasada Imperium.

Dzięki pisany przez ambasadora Teugenheima listom, które czytał w czasie podróży z Nuln, Kaspar wiedział, że ambasada ostatnimi czasy podupadła. Ale nie był z pewnością przygotowany na widok, który miał właśnie przed sobą. Wszystko tu było kompletnie zaniedbane i zdawało się, że budynek

jest zupełnie opuszczony. Okna były zabite deskami, ściany spękane i pokruszone. Drzwi ozdobiono jakimś nieczytelnym bohomazem w języku Kisleva. Gdyby przy wejściu nie stało dwóch opartych o halabardy strażników, Kaspar z pewnością pomyślałby, że to jakaś dawno opuszczona ruina.

- Na młot Sigmara! - widok ambasady najwyraźniej wstrząsnął również Bremenem.

Kaspar czuł, jak wzbiera w nim gniew na dotychczasowego ambasadora, Andreasa Teugenheima, człowieka, którego miał zastąpić. Niewybaczalne było to, że pozwolono, by ten kawałek ziemi Imperium popadł w aż taką ruinę. Przejechał przez rozchwianą, otwartą na oścież bramę i kiedy zbliżał się powoli do ambasady, stojący na straży żołnierze wreszcie dostrzegli jego obecność. Kaspar poczuł niemałą satysfakcję, gdy dostrzegł na ich twarzach wyraz zaniepokojenia na widok Rycerzy Pantery i łopoczącej tuż za nim imperialnej chorągwi. Gdyby nie był aż tak wściekły, pewnie by się nawet roześmiał z ich niezdarnych prób poprawienia rynsztunku i stanięcia w jakiej takiej gotowości. Prawdopodobnie jeszcze nie zdali sobie sprawy z tego, kim jest, ale sam fakt, że miał ze sobą sztandar Imperium i orszak złożony z szesnastu Rycerzy Pantery świadczył dobitnie o tym, że nie jest człowiekiem, którego można zlekceważyć.

Kaspar zatrzymał się tuż przed drzwiami i skinął na Kurta Bremena, który również zsiadł z konia i zbliżył się do wyraźnie przestraszonych strażników. Twarz rycerza wyglądała niczym twarda, zastygła w granicy maska, gdy lustrował krytycznie obu żołnierzy.

- Wstyd i hańba - przemówił - spójrzcie, w jakim stanie znajduje się wasz oręż i zbroje. W tej chwili powinniście zostać ukarani!

Bremen chwycił jedną z halabard i sprawdził jej zakrzywione, porysowane ostrze na swoim kciuku. Było zupełnie tępe. Trzymał broń tuż przed strażnikiem, do którego należała, i potrząsał niedowierzająco głową.

- Jeśli chciałbym teraz wkroczyć do tego budynku, to w jaki sposób byście mnie powstrzymali? - ryknął. - Tym złomem? Tak tępym ostrzem nie utorowalibyście sobie drogi nawet przez mgłę w Altdorfie! Ty, spójrz na tę rdzę na napierśniku!

Obrócił zręcznie halabardę i dość mocno dźgnął mężczyznę w pierś. Napierśnik faktycznie był cały przerdzewiały i spękany niczym skorupka jajka.

- Tacy jak wy przynoszą hańbę naszemu Imperium! Z pewnością będę miał o czym rozmawiać z waszym dowódcą! A teraz zwalniam was ze służby!

Żołnierze kulili się coraz bardziej, oczy wbili w ziemię pod stopami. Bremen odwrócił się do swoich rycerzy.

- Werner, Oswald, pilnujcie tych drzwi. Nikt nie ma prawa tu wejść, dopóki nie zadecyduję inaczej.

Kaspar zeskoczył z wierzchowca i stanął obok rycerza. Wyciągniętym palcem dźgnął jednego ze strażników.

- Ty. Zaprowadzisz mnie natychmiast do ambasadora Teugenheima!

Mężczyzna przytaknął prędko i bez zwłoki otworzył drzwi ambasady. Kiedy pospieszył do środka, Kaspar odwrócił się do Kurta Bremena.

- Ty i Valdhaas chodźcie ze mną. Reszta ludzi niech zostanie tutaj, przy wozach.

Będziemy tu mieć jak widzę sporo pracy.

Bremen przekazał rycerzom rozkazy i ruszył za Kasparem i strażnikiem do wnętrza.

III

Pustka w środku była aż rażąca. Wnętrze było zaniedbane i jakby opuszczone -

wrażenie to było tu znacznie silniejsze niż na zewnątrz. Wyłożone boazerią ściany były zupełnie nagie. Drewniana podłoga odbarwiła się w miejscach, gdzie kiedyś musiały leżeć dywany. Strażnik niechętnie poprowadził ich szerokimi schodami, wiodącymi bez wątpienia na pierwsze piętro. Kaspar, Bremen i Valdhaas podążali tuż za nim. Mężczyzna poccił się obficie. Kaspar zauważył, że każdy jego ruch jest przepełniony nerwowością, zupełnie jakby się czegoś obawiał. Pierwsze piętro okazało się być, podobnie jak parter, obdarte ze wszystkich ozdób i dywanów oraz pozbawione mebli. Szli tak przez szeroki korytarz, ich obute stopy łomotały głośno na gołych deskach podłogi. Wreszcie dotarli do bogato rzeźbionych drzwi.

Strażnik wskazał na nie i wyjąkał:

- To gabinet ambasadora. Ale on... ma w tej chwili gościa. Jestem pewien, że raczej nie chciał, by mu przeszkadzano.

- W takim razie ma dziś prawdziwego pecha - uciął Kaspar, naciskając kłamkę i otwierając drzwi. Wkroczył do pokoju, który był tak bogato zastawiony meblami, jak reszta budynku była ich pozbawiona. Jedną ścianę zajmowało wielkie, dębowe biurko i stojący obok barek z napojami. Naprzeciwko, na sporym, marmurowym kominku buzował ogień. Przed kominkiem stały dwa niezwykle bogate krzesła. Siedzieli na nich dwaj mężczyźni. Jeden z nich był bez wątpienia Kislevczykiem ze swoimi opadającymi w dół wąsiskami i śniadą skórą. Delektował się właśnie szklaneczką brandy i cygarem. Wejście Kaspara i rycerzy nie zrobiło na nim zbytniego wrażenia. Drugi mężczyzna, chudy jak szczapa, ubrany w czerwono-niebieski kaftan, zerwał się z krzesła jak sprężyna. Jego twarz przybrała nienaturalny wyraz sztucznego gniewu i stanowczości.

- Kim jesteście, w imię Sigmara? - zażądał odpowiedzi skrzeczącym głosem - Co do diabła robicie w moich prywatnych kwaterach? Wynoście się natychmiast, albo zaraz zawołam strażę!

- No dalej, Teugenheim - odparł spokojnie Kaspar - ale obawiam się, że to daremne.

Nie jestem pewien, czy choć jeden na dziesięciu twoich strażników posiada oręż, który nie strzaskałby się na pancerzach tych rycerzy.

Bremen wystąpił do przodu i oparł opancerzoną dłoń na rękojeści miecza. Ambasador Teugenheim zbladł wyraźnie na widok dwóch w rycerzy w pełnych zbrojach i zwierzęcych skór, udrapowanych na ich ramionach. Nerwowo zerknął w stronę siedzącego na krześle Kislevczyka i oblizał wargi.

- Kim jesteście?

- To miło, że wreszcie zapytałeś - odparł Kaspar, wyciągając ten sam zwój, który uprzednio pokazywał pijanemu dowódcy straży przy bramie.

- Nazywam się Kaspar von Velten, a to pismo powinno ci wszystko wyjaśnić.

Teugenheim wziął od niego zwój i przełamał pieczęć. Szybko przebiegł wzrokiem zawartość dokumentu. Kiedy czytał, delikatnie kręcił głową, a jego usta poruszały się bezgłośnie.

- Mogę więc wracać do domu? - wysapał nagle, opadając na skórzane krzesło.

- Tak, odwołano cię z powrotem do Altdorfu i powinieneś ruszyć tam tak szybko, jak będzie to możliwe. Nadchodzą bardzo ciężkie czasy, Andreas, i nie sądzę, byś był w stanie sobie poradzić.

- Nie - przyznał Teugenheim ze smutkiem w głosie - ale próbowałem, naprawdę próbowałem...

Nie uszło uwadze Kaspara, że Teugenheim wciąż posyła w stronę siedzącego mężczyzny pełne żalu spojrzenia. Zwrócił się więc również do olbrzymiego Kislevczyka.

- Czy byłby pan łaskaw wyświadczyć mi tę małą przysługę i przedstawić się?

Mężczyzna podniósł się z krzesła i Kaspar dopiero teraz mógł w pełni ocenić wzrost i masę siedzącego. Był to prawdziwy niedźwiedź, z szerokimi barami i potężnymi węzłami mięśni. Miał co prawda obwisły kałdun, ale i tak jego postura robiła niemałe wrażenie.

Bremen zbliżył się jeszcze bardziej do Kaspara i nieprzychylnym wzrokiem, zawierającym niemałą groźbę, wpatrywał się w giganta. Ten spojrzał pobłażliwie na rycerza.

- Oczywiście. Nazywam się Wasilij Czekatilo i jestem dobrym przyjacielem ambasadora.

- Teraz ja jestem tu ambasadorem, a nigdy o tobie nie słyszałem, Czekatilo. Tak więc, jeżeli nie masz do mnie jakiejś konkretnej sprawy, obawiam się, że muszę poprosić cię o opuszczenie tego miejsca.

- Zbyt dużo mówisz jak na takiego małego człowieczka - zadudnił Czekatilo. -

Szczególnie kiedy masz za plecami tych wymuskanych żołnierzyków.

- A ty jesteś tłuściochem, który najwyraźniej nie rozumie prostych poleceń.

- Obrażasz mnie teraz - zarechotał Kislevczyk.

- Tak - odparł zimno Kaspar - obrażam. I co w związku z tym?

Czekatilo wyszczerzył w uśmiechu zęby i pochylił się bliżej.

- Nie jestem człowiekiem, który łatwo zapomina takie obelgi, von Velten. Dla tych, którzy o tym pamiętają, mogę być bardzo dobrym przyjacielem. Głupotą z twojej strony byłoby zrobienie sobie ze mnie wroga.

- Straszysz mnie w mojej własnej ambasadzie?

- Wcale nie... ambasadorze - uśmiechnął się Kislevczyk i dopił resztę swojej brandy, a potem zaciągnął się mocno cygarem. Wydmuchnął niebieskawy dym prosto w twarz Bremena i zaśmiał się, widząc jak rycerz ręką rozgania opar. Następnie upuścił cygaro na podłogę i ostentacyjnie zmiądzzył butem jego końcówkę. Na dywanie.

Kaspar zbliżył się do niego o krok i wysyczał:

- Wynoś się z mojej ambasady. Już!

- Jak sobie życzysz - odpowiedział Czekatilo - ale ostrzegam cię, nie jestem w Kislevie byle kim. Na twoim miejscu bym o tym nie zapominał.

Kislevczyk przepchnął się obok Kurta Bremena w kierunku drzwi i na odchodnym oddał w jego kierunku drwiący salut, zakończony wybuchem śmiechu. Kaspar zwalczył w sobie gniew i odwrócił się do Valdhaasa, wskazując ręką Teugenheima.

- Odeskortuj ambasadora do jego komnat i zawołaj pachołków do pomocy przy pakowaniu jego rzeczy. Pozostanie tutaj, dopóki nie zdołamy zorganizować mu powrotnej podróży do Altdorfu.

Rycerz zasalutował i gestem zasugerował Teugenheimowi, że powinien udać się za nim.

Były ambasador podniósł się z krzesła, na którym siedział.

- Nie zazdroszczę ci twego stanowiska i sytuacji, von Velten. To miejsce jest rajem żebraków i złodziei. Wieczorami na ulicach dzieją się takie rzeczy, że po zachodzie słońca nikt nie odważy się spacerować bez odpowiedniej obstawy.

Kaspar przytaknął skinieniem głowy i odparł:

- Czas już na ciebie. Idź.

Teugenheim uśmiechnął się słabo.

- Jeżeli taka jest wola pana naszego, Sigmara.

Ruszył posłusznie w ślad za rycerzem i wyszedł za nim z pokoju.

Kaspar opadł na jedno z krzeseł i zaczął masować skronie palcami obu dłoni. Bremen stał tuż obok kominka. Zdjął z głowy hełm i trzymał go teraz w zgięciu ramienia.

- Co teraz, ambasadorze?

- Musimy podnieść tę ruinę na nogi i uczynić to miejsce godnym naszego Imperium.

Zbliża się wojna i musimy być na nią przygotowani.

- Niełatwe zadanie.

- Rzeczywiście - przytaknął Kaspar - ale po to właśnie nas tu przysłano.

IV

Gdy Kaspar odłożył wreszcie pióro na bok, zaczął już zapadać zmierzch. Dokładnie przeczytał jeszcze raz słowa, które właśnie napisał. Doszedłszy do wniosku, że list jest sformułowany w odpowiednim tonie, posypał go piaskiem i złożył ostrożnie, a potem zapieczętował czerwonym woskiem. Następnie na miękkim jeszcze wosku, odcisnął symbol komety z dwoma ogonami i odłożył list na bok.

Odsunął krzesło do tyłu i sztywno wstał zza biurka. Podeszedł do okna, by przyjrzeć się ulicy na zewnątrz. Jutrzejszego ranka jeden z Rycerzy Pantery dostarczy pismo z prośbą o audiencję u Królowej Lodu do Pałacu Zimowego i będzie miał okazję oficjalnie się przedstawić. Miał jedynie nadzieję, że całe to zło, które uczynił tu Teugenheim będąc ambasadorem, nie nastawi od razu Carycy przeciwko niemu.

Jego ogólne pojęcie o tym, co działo się ostatnio w Kislevie, było raczej ograniczone, ale sądząc po opłakanym stanie ambasady i pustych sejfach, które tu zastał, wydawało się jasne, że Czekatilo w jakiś sposób wyciągał pieniądze od Teugenheima, albo też oszukiwał

go. Andreas Teugenheim nigdy nie powinien był znaleźć się w Kislevie. To było trudne stanowisko, a ten człowiek nie miał ani temperamentu, ani też siły koniecznej, by poradzić sobie z takim wyzwaniem.

Przez cały Stary Świat przetaczały się armie i potrzebni byli ludzie odważni i nawykli do stali, by wygrać nadchodzące bitwy. Władze w Altdorfie oceniły, że Teugenheim nie mógł

pochwalić się żadnym z tych przymiotów. Pierwsze uderzenie prawdziwej inwazji na Imperium musiało prowadzić przez Kislev i niedługo tysiące jego rodaków będą maszerować na północ - wprost do tego wietrznego i rozległego kraju. Ludzie, którzy dobrze rozumieli zasady wojny, chcieli uzyskać pewność, że będą mogli walczyć ramię w ramię z Kislevczykami. Potrzebny był tu człowiek, który mógł dać im taką pewność i Kaspar, ze swoim wieloletnim doświadczeniem w armii Karla Franza, wydawał się być idealnym kandydatem na stanowisko, które właśnie objął. Taką przynajmniej miał nadzieję. Doskonale rozumiał zasady wojny i bitwy, ale dworskie życie i etykieta były mu niemal zupełnie obce.

Wiele lat temu żona Kaspara, Madeline, dbała o to, żeby był regularnym gościem na książęcym dworze w Nuln. Rozumiała dalece bardziej niż on znaczenie, jakie miała protekcja Księżnej-Elektorki, Emmanuelle von Liebowitz, i pomimo jego protestów ciągnęła go ze sobą na każdy z jej

sławnych bali maskowych. Opowieści Kaspara o żołnierskim życiu i bitwach zawsze robiły wielkie wrażenie na dworzanach i sprawiały, że był całkiem popularnym, choć niechętnym gościem w pałacu.

Po śmierci Madeline oddalił się szybko od dworskiego towarzystwa, spędzając coraz więcej czasu samotnie w domu, który nagle okazał się być znacznie większy i bardziej pusty niż kiedyś. Zaproszenia do pałacu nadal przychodziły regularnie, ale Kaspar uczestniczył

tylko w tych uroczystościach, których w żaden sposób nie mógł opuścić. Jego reputacja sięgała jednak znacznie dalej niż przypuszczał. Kiedy dostał zaproszenie do pałacu księżej i posłaniec z Altdorfu zaproponował mu objęcie stanowiska ambasadora, od razu zorientował

się, że nie może odmówić.

Wyruszył do Kisleva w niecały tydzień później.

Westchnął i zaciągnął ciężkie zasłony. Skierował się w stronę trzaskającego na kominku ognia.

Ogłuszający hałas uderzających o ścianę drzwi wyrwał go z melancholijnych rozmyślań. Obrócił się błyskawicznie, sięgając po miecz. Drzwi całkowicie wypełniła potężna postać o niezwykle bujnej i długiej szarej brodzie. W jednym ręku trzymała flaszkę z jakimś przezroczystym płynem. Mężczyzna wkroczył do pokoju i z rozmachem postawił butlę na stole, przy którym stały wyściełane skórą fotele.

- Na Tora! - zadudnił tubalny głos przybysza - Doszły mnie słuchy, że mamy tu nowego ambasadora, ale nikt mnie nie ostrzegł, że jest taki paskudny!

- Paweł! - roześmiał się Kaspar, kiedy olbrzym ruszył w jego kierunku. Po chwili zniknął w szczyrim, iście niedźwiedzim uścisku rechoczącego Kislevczyka.

Kaspar poklepał starego przyjaciela po plecach i poczuł, jak przepływa przez niego nagła fala ulgi i radości. Paweł Korowicz, towarzysz broni z dawnych dni, wyswobodził go wreszcie z uścisku i zmierzył uważnie wzrokiem od stóp do głów. Ten nieokrzesany wojownik został jego przyjacielem podczas wojen, jakie prowadzili wspólnie na północy i uratował mu życie tak wiele razy, że trudno było je wszystkie spamiętać.

- Może wyglądasz lepiej, kiedym pijany, co? Nie jesteś wtedy taki paskudny.

- Już jesteś pijany.

- Nieprawda - zaprotestował olbrzym - wypilem tylko dwie flaszki dziś!

- Ale wypijesz jeszcze więcej, chyba się nie mylę? - zaśmiał się Kaspar.

- I co z tego? Kiedy szliśmy walczyć, ja piłem wiele flaszek!

- Pamiętam - potwierdził Kaspar, biorąc do ręki butelkę - Czy twoi husarze kiedykolwiek walczyli na trzeźwo?

- Walczyć trzeźwo! Głupstwa opowiadasz! - ryknął Paweł, wyrwijając flaszkę z dłoni ambasadora. - Żaden Dolganin nigdy nie jechał walczyć trzeźwy! Teraz my będziemy razem pić kvass, tak jak to kiedyś bywało!

Wyrwał korek zębami i wypluł go wprost w buzujący na kominku ogień. Potem pociągnął zdrowy łyk przezroczystego płynu z butelki. Następnie przekazał flaszkę Kasparowi.

- Dobrze cię znów widzieć, stary przyjacielu!

Kaspar również pociągnął z butelki, ale zrobił to zdecydowanie ostrożniej niż Kislevczyk. Rozkaszał się i oddał flaszkę Pawłowi.

- Ha! - zarechotał wielkolud - zmiękleś, ty zapomniał, jak to być żołnierzem! Ty nie potrafisz pić jak stary Paweł, co?!

Kaspar przytaknął pomiędzy kolejnymi atakami kaszlu.

- Być może. Ale z pewnością nigdy nie będę tak gruby jak stary Paweł. Żaden koń chyba cię teraz nie udźwignie.

Paweł poklepał się po okazałym brzuszysku i skinął z powagą.

- Masz trochę racji. Ale Paweł nie dba o to. Teraz Paweł sam nosi konia. Dość już!

Teraz my idziemy się napić. Ty i ja mamy wiele rzeczy do opowiadania.

- Doskonale - zgodził się Kaspar, zdając sobie sprawę, że czeka go długa, nocna pijatyka - Nie sądzę, żebym mógł tu jeszcze coś dzisiaj zdziałać. A tak w ogóle, co ty tu na Sigmara robisz? Sądziłem, że wracasz do domu, do stancy Jemowia, żeby zająć się hodowlą koni.

- Nosz! Ludzie, oni powiedzieli, że jestem lichnostjob, prostak, i nie chcieli, żebym powrócił! Paweł przyjechał nazad do miasta i jego wuj Drostia dał mu pracę w ambasadzie za lata jego służby w armii. Nazwali mnie kislevski pomocnik. Brzmi całkiem dumnie, tak?

- Tak, rzeczywiście, bardzo dumnie. A co to właściwie oznacza?

Paweł wydał pogardliwie wargi.

- Przy tym miękkim Teugenheimie to oznacza, że ja mogę pić przez całe dni i spać w biurze, zamiast w śmierdzącym namiocie na stepie. Chodź! My paszli do mojego domu i będziemy pić! Będziesz mym gościem, dopóki nie pozbędziesz się Teugenheima!

Kaspar wyraźnie widział, że jego dawny towarzysz broni nie dopuszcza do siebie myśli, że ambasador może odrzucić jego zaproszenie. Uśmiechnął się. Może to był i dobry pomysł, by napić się z Pawłem i wspominać dawne czasy, a także odświeżyć starą przyjaźń. Mimo wszystko raczej nie chciał pozostawać w tym zrujnowanym budynku dopóki nie wyjedzie stąd Teugenheim, a mieszkanie w tawernie też mu się zbyt nie uśmiechało.

Położył rękę na ramieniu Pawła.

- W takim razie chodźmy, stary przyjacielu. Mam nadzieję, że masz w domu jeszcze więcej tego kvassu.

- Nie musisz się o to obawiać - zapewnił go Kislevczyk.

V

Kaspar upił łyk swojego kvassu, a Paweł w tym czasie zdążył osuszyć kolejną szklanicę tego mocnego spirytusu. Upodobanie husarza do tego trunku było wręcz legendarne i najwyraźniej wpływ czasu wcale nie wpłynął na to, ile był w stanie wypić. Kaspar natomiast już czuł w głowie działanie alkoholu i przez ostatnią godzinę obracał w palcach jedną i tę samą szklaniczkę. Do tej pory opróżnili dwie flaszki, zaś jego towarzysz był już pijany i bardzo głośny. Siedzieli przed kominkiem w kuchni domu Pawła, który znajdował się zaledwie pięćset metrów od ambasady. Powóz i reszta wozów stały bezpiecznie na podwórzu.

Stefan nie przyjął propozycji Pawła i wolał pozostać w ambasadzie. Chciał jak najprędzej ocenić, co trzeba będzie zrobić, by przywrócić budynkowi dawną świetność i uczynić go godnym reprezentowania Imperium. Rycerze Pantery także rozlokowali się w ambasadzie, za wyjątkiem stojącego teraz na straży przed drzwiami Valdhaasa. Kaspar nie zazdrościł

stacjonującym w budynku żołnierzom. Z pewnością gniew Kurta Bremena ich nie ominie.

Paweł wyszczerzył zęby, nalewając następną kolejkę, i głośno beknął. Von Velten wiedział jednak doskonale, że pomimo swojego wyglądu i niedbałego zachowania Paweł był

w rzeczywistości niezwykle bystrym człowiekiem. Okazjonalna korespondencja, jaką prowadzili ze sobą w ostatnich latach, mówiła o kilku lukratywnych kontraktach na dostawę koni dla armii, które uczyniły Kislevczyka dość zamożnym człowiekiem.

- No więc kimże jest ten cały Czekatilo? Powiesz mi wreszcie czy nie?

Paweł czknął głośno i nachmurzył się nagle.

- To bardzo zły człowiek - odezwał się wreszcie. - On niekulturalny, bez honoru. On morderca i złodziej. Wszelkie nielegalne interesy przechodzą przez jego ręce tu, w Kislevie.

Dużo może, ma wielu popleczników. Wszyscy płacą jego „podatki” albo bardzo cierpią.

Požary, pobicia. On zabił swojego rodzzonego brata, tak to mówią.

- Co on w takim razie robił z Teugenheimem? Czy oni byli ze sobą w jakiś sposób związani?

- Nic, w czym macza palce Czekatilo, nie dziwi mnie. Pewnie Teugenheim wysprzedawał mu powoli ambasadę, żeby długi zapłacić. Być może też Teugenheim był dość wybredny jeśli chodzi o dziwki - zasugerował Paweł. - Kto wie, może kiedyś szczęście uśmiechnie się do Kisleva i Rzeźnik dopadnie

Czekatila?

Ciekawość Kaspara jeszcze się wzmogła. Słyszał już wcześniej to przezwisko.

- Rzeźnik? A któż to jest? Spotkałem wcześniej jakiegoś szalonego kapłana, który też o nim mówił.

- Kolejny złoczyńca. Niespełna rozumu - odparł Kislevczyk ponuro. Płonącą szczapą wyjętą z ognia przypalił fajkę i przekazał ją Kasparowi.

- Nikt nie wie, kto to Rzeźnik. Nie jest pewne, czy to człowiek nawet. Morduje.

Mężczyzn, kobiety, dzieci. Przepadają w ciemności. On wycina ofiarom serca i zjada ich ciało. Jest zmieniony, tak to mówią. Trupy mają kości oddzielone od ciała. Mnogo już zabił i Czekiści nie mogą go pochwycić. Wielki złoczyńca. Ludzie się boją.

Kaspar pokiwał głową. Przypomnił sobie podobne morderstwa wiele lat temu w Altdorfie. Tam był za nie odpowiedzialny człowiek zwany „Bestią”. Ale tamten szaleniec został wreszcie pojmany i zabity przez strażnika miejskiego o nazwisku Kleindeinst.

- Ilu ludzi już zabił?

Paweł wzruszył ramionami.

- Ciężko to rzec. Kilka tuzinów, może nawet więcej. Ale w Kislevie ludzie umierają cały czas. Któż to wie, czy wszystko to dzieła Rzeźnika? Powinieneś o nim zapomnieć. On jest szalony i pewnie niedługo go złapią. I obwieszą.

Kaspar dopił swój kvass i przesunął pustą szklaneczkę po stole w stronę Pawła. Wstał

i przeciągnął się.

- Bez wątpienia masz rację. No dobrze, jestem zmęczony, a nadchodzące dni będą chyba bardzo pracowite. Muszę się jutro rano spotkać z urzędnikami i pracownikami ambasady, a wolałbym, żeby nie bolała mnie wtedy głowa. Chyba udam się już na spoczynek.

- Ty nie chcesz siedzieć do świtu i śpiewać wojennych piosenek?! Zrobiłeś się miękki, Kasparze von Velten! - zaśmiał się Paweł, przełykając kolejny, potężny haust trunku.

- Być może, ale nie jesteśmy już tak młodzi jak dawniej - zripostował Kaspar.

- Gadaj za siebie, człowieku z Imperium. Paweł dopije do końca tę flaszkę i będzie spał przy ogniu.

- Dobrej nocy - pożegnał się von Velten.

ROZDZIAŁ 2

Kaspar pokręcił z niesmakiem głową, widząc żalną i irytującą scenę, rozgrywającą się właśnie przed jego oczami. Trzydziestu żołnierzy, odzianych w niebiesko-czerwone barwy Altdorfu, potykało się, chwiało i ledwo co posuwało w jego kierunku. Oddychali szybko i nieregularnie.

Pomimo porannego chłodu ich twarze złane były potem, czerwone i gorejące.

Kończyli właśnie piąte okrążenie miejskich murów Kisleva. Rycerze Pantery skończyli bieg jakąś godzinę wcześniej i stali w gotowości obok koni Kaspara i Pawła. Żaden z nich nie spociał się nawet zbyt.

- Niezbyt to piękny widok - skomentował Paweł.

- Nie - zgodził się z nim von Velten. Głos miał niski i groźny. - Ci żołnierze nie przetrwaliby nawet pół dnia w regularnej armii. Jedna potyczka i nad ich ciałami ucztowałyby kruki.

Paweł przytaknął i zaciągnął się potężnie obrzydliwie śmierdzącą machorką.

Wydmuchnął brudnoniebieski kłęb dymu w niebo.

- Nie tak jak dawniej, co?

Kaspar pozwolił sobie na lekki uśmiech.

- Nie, Pawle, nie tak jak dawniej. Mężowie, u boku których kiedyś walczyliśmy, mieli dwa metry wzrostu i potrafili zmiażdżyć armię przeciwnika jednym uderzeniem! Ci tutaj, żenujący lenie, mają problem choćby z uniesieniem swoich halabard. Nie mówiąc już o machaniu nimi.

- Racja - zarechotał Kislevczyk, pociągając łyk ze swojego bukłaka. - Ja często się zastanawiał, co się z nimi wszystkimi stało. Ty miał jakiś kontakt z chłopakami z dawnych czasów?

- Swego czasu wymieniłem kilka listów z Tannhausem, ale później doszły mnie słuchy, że dał się zabić, po tym jak przyłączył się do kompanii najemników wyruszającej do Arabii.

Paweł napił się znowu.

- Niedobrze to. Lubiłem Tannhausa. Walczył jak diabeł, a umiał też wypić.

- Najwyraźniej odbiło mu po pięćdziesiątce - ocenił Kaspar - powinien do cholery wiedzieć, że w tym wieku szukanie sławy i przygód to czysta głupota. Wojna to gra dla młodych, Pawle. Nie dla takich starych przyków jak my.

- Na Olryka! Jesteś dziś w bardzo kwaśnym nastroju, człowieku z Imperium -

wymamrotał Paweł, gestem proponując przyjacielowi napitek. - No, napij się.

Nie odrywając wzroku od wyczerpanych żołnierzy, Kaspar wziął do ręki bukłak i napił się. Przełknął już dość sporo zanim się zorientował, że w środku jest kvass. Zaskoczenie i moc trunku sprawiły, że

aż zgiął się w pół. Wnętrznosci paliły żywym ogniem. Rozkaszał

się gwałtownie, oczy zaszyły mu łzami.

- Pawle, do cholery! - zaklął. - Co ty wyprawiasz? Dopiero ranek, dzień ledwo co się zaczął!

- I co? W Kislevie to normalno, że pije się od rana. Dzięki temu reszta dnia nie jest taka zła.

Kaspar spojrział na niego gniewnie i otarł usta grzbietem dłoni.

- Wyświadcz mi w takim razie przysługę i staraj się być trzeźwy, dobrze?

Paweł wzruszył ramionami i odebrał bukłak. Nie odezwał się do momentu, gdy żołnierze z ambasady w końcu do nich dotarli i padli zupełnie wyczerpani na ziemię. Kaspar czuł, że jego już i tak podły humor jeszcze bardziej się pogarsza. Nie mógł uwierzyć, że jego poprzednicy pozwolili, by ci ludzie upadli tak nisko. Gdyby miał taką możliwość, odesłałby ich wszystkich bez wahania z powrotem do Imperium.

Niestety, biorąc pod uwagę okoliczności, nie mógł tego uczynić. Kurt Bremen zapewnił go, że jest w stanie zrobić z nich żołnierzy i przez cały ostatni tydzień, odkąd przybyli do stolicy, zajmował się tym z ochotą i entuzjazmem. Przechadzał się długimi krokami pomiędzy leżącymi na ziemi, dyszącymi ciężko mężczyznami. W swojej połyskującej zbroi, z udrapowaną na ramionach lamparcią skórą, wyglądał groźnie i majestatycznie. Jego twarz przywodziła na myśl spowite ołowianymi chmurami niebo tuż przed burzą.

- I wy śmiecie nazywać siebie żołnierzami?! - ryczał. - Znałem dziewczki służebne, które były bardziej żywotne i wytrzymałe niż wy! Jedna godzina w szyku podczas bitwy i sami będziecie prosić wroga, żeby wypruł wam flaki!

Przynajmniej ci ludzie zdają się być naprawdę zawstydzeni, zauważył Kaspar. Być może znajdą się między nimi tacy, którzy będą warci tego, by założyć na siebie mundur Imperium.

- Moi rycerze zakończyli tą przebieżkę w pełnych zbrojach i żaden z nich nie był tak zmęczony, spocony i nie miał twarzy czerwonej niczym jakaś tileańska dupa.

- Nie ćwiczyliśmy przez cały ostatni rok - wyjaśnił jakiś słaby głos spomiędzy żołnierzy.

- To akurat widać na pierwszy rzut oka - warknął Bremen. - Wasze lenistwo właśnie dobiegło końca. Teraz ja tu dowodzę i obiecuję, że będziecie mnie nienawidzić bardziej niż kogokolwiek innego w waszym dotychczasowym życiu.

- Jesteśmy gotowi - odezwał się jakiś inny głos.

Bremen uśmiechnął się, ale w wyrazie jego twarzy nie było nic krzepiącego.

- Dobrze - warknął. - W takim razie zaczynamy. Złamię was do końca, będziecie cierpieć, dopóki sami nie zaczniecie mnie błagać, bym was pozabijał i w ten sposób uwolnił

od męki. Złamię was, zniszczę, a potem powoli odbuduję w najlepszych wojowników, jacy służą pod sztandarami Imperatora.

Uwagę Kaspara odwrócił nagle dochodzący ze szczytu wychodzących w kierunku wzgórz miejskich murów śmiech. Jakaś grupka kislevskich żołnierzy zebrała się dookoła płonących palenisk. Najwyraźniej nie mieli co robić i śmiejąc się głośno pokazywali sobie palcami utrudzonych żołnierzy z Imperium.

Kaspar byłby prawdziwym głupcem, gdyby nie wykorzystał teraz tych drwin. Dźgnął konia ostrogami i wyjechał przed Bremena. Potem wskazał na otoczone murem miasto Kislev.

Odwinął chustę z szyi. Gdy mówił, jego oddech zamieniał się w parę w chłodnym powietrzu.

- Widzicie tych ludzi na murach? - nie podnosił wcale głosu, ale wszyscy żołnierze rozpoznali w jego brzmieniu lata doświadczenia i ogromny autorytet. Machnął ręką, wskazując na forteczną ścianę.

- Ci Kislevczycy to prawdziwi wojownicy! Żyją w ciągłym zagrożeniu w kraju nawiedzonym przez istoty z waszych najgorszych koszmarów. W każdej chwili muszą być przygotowani by walczyć i zwyciężyć. A teraz oni śmieją się z was!

Kaspar obrócił konia i poprowadził go pomiędzy gromadę żołnierzy.

- I mają rację, że się śmieją, bo wszyscy jesteście pożałowania godnymi, bezwartościowymi kawałkami gówna. Nic nie wartymi śmieciami, których należy się brzydzić. Jesteście najgorszymi żołnierzami, jakimi kiedykolwiek dowodziłem i, niech Sigmar będzie mi świadkiem, nie będę tolerował waszych braków i zaniedbań.

Odpowiedziały mu gniewne pomruki, ale nowy ambasador jeszcze nie skończył mówić.

- Tym właśnie jesteście, a może nawet czymś gorszym - ciągnął Kaspar. - Teraz! To, czym się z czasem staniecie, to już zupełnie inna sprawa. Wszyscy jesteście żołnierzami Imperatora Karla Franza i jesteście teraz także moimi ludźmi. Razem postaramy się, by Imperium było z was dumne. Ambasador Teugenheim pozwolił wam zapomnieć o tym, że jesteście żołnierzami Imperium. Koniec z tym, teraz ja tu dowodzę. Ja nie pozwolę wam zapomnieć!

Kaspar jeszcze raz obrócił wierzchowca, kiedy odezwał się gruby i drwiący głos z ciężkim akcentem.

- Wszystko tu było w porządku, dopóki się nie zjawileś.

Spojrzał w dół, na człowieka, którego mięśnie dawno już sflaczały, a twarz zdradzała trwające pewnie przez całe życie uzależnienie od alkoholu. Oblicze miał lekceważąco wykrzywione, a dłonie oparł na udach w pozie zdradzającej chęć do konfrontacji. Kaspar znał

ten typ - w swoim żołnierskim życiu spotkał wielokrotnie jemu podobnych.

Zeskoczył zręcznie z siodła i opadł lekko na błotnisty grunt. Wodze podał Kurtowi Bremenowi, a potem ruszył ku mężczyźnie. Z ziemi podniosło się teraz jeszcze kilku żołnierzy. Niektórzy stawali w bezpośredniej bliskości brodacza, inni natomiast starali się trzymać od niego z daleka. Kaspar zdawał sobie sprawę z powagi całej sytuacji, w jednej sekundzie mógł teraz zjednać sobie tych ludzi, albo też ostatecznie stracić szansę na jakiegokolwiek porozumienie. Kurt Bremen także to zauważył i zrobił krok, by stanąć za plecami Kaspara, ale ambasador odesłał go ruchem ręki. W tej sytuacji musiał sobie radzić sam.

- Jak się nazywasz? - syknął, mierząc wzrokiem stojącego przed nim żołnierza. Był to postawny mężczyzna o wielkich, mięsistych łapskach. Z pewnością mogły one uderzać z siłą kowalskiego młota.

- Mariusz Loeb - odparł zapytany. Jego oddech cuchnął. Zapewne po całonocnej libacji.

Loeb skrzyżował ręce na piersiach. Kaspar wyraźnie widział, że ufa on we wsparcie innych żołnierzy, stojących za jego plecami. Prowadzili sobie w ambasadzie łatwe, przyjemne życie i nie zamierzali pozwolić, by wszedł im w drogę jakiś stary głupiec.

- Loeb... - zamyślił się na moment Kaspar, przesuwając wzrokiem po reszcie żołnierzy

- tak, Herr Korowicz wspominał mi o tobie.

Paweł uśmiechnął się i uniósł do góry bukłak w przyjacielskim geście, gdy usłyszał, że wymieniono jego nazwisko. Kaspar ciągnął dalej.

- Jesteś pijakiem i złodziejem. Leniwym łajdakiem, który nadużywa swojej siły. Nie nadającą się do niczego kupą końskich odchodów. Do południa już cię tu nie będzie.

Twarz Loeba poczerwieniała. Oczy zabłyśły w furii. Kaspar zobaczył nadlatującą pięść, zanim ta pokonała połowę drogi w kierunku jego twarzy. Rzucił się w przód i trzasnął

Loeba w poczerwieniały pysk. Był to krótki, mocny i oszczędny cios wytrawnego boksera.

Pod wpływem uderzenia nos brodacza głośno trzasnął. Jego potężna sylwetka zakołysała się, krew buchnęła ze środka twarzy, ale ku zdziwieniu Kaspara mężczyzna utrzymał się jednak na nogach. Powarkując, rzucił się w jego stronę, wymachując swymi wielkimi i twardymi niczym skała pięściami. Kaspar odstał na bok i uderzył go mocno w żołądek. Następnie wyprowadził piorunujący prawy sierpowy. Prosto w szczękę brodacza.

Wielkolud zachwiał się po raz kolejny, ale wciąż napierał, młóćąc dziko pięściami.

Wyprowadził cios, starając się za wszelką cenę trafić Kaspara w głowę. Uderzenie nie było zbyt celne, ale brodaczowi udało się jakoś zahaczyć pięścią o czoło przeciwnika. Przed oczami Kaspara eksplodowały nagle białe ogniki. Otrząsnął się błyskawicznie i przeszedł do zwarcia. Zasypał pokrwawioną twarz Loeba serią niezwykle mocnych i precyzyjnych uderzeń. Żołnierze otoczyli

walczących kołem i wznosili teraz okrzyki zachęcające po równo obu pięściarzy do walki. Krew i kawałki zębów leciały z masakrowanej twarzy brodacza.

Kaspar był już zmęczony i wiedział, że długo nie wytrzyma takiego tempa. Miał

nadzieję, że powali brodacza jednym dobrze wymierzonym ciosem, ale ten po prostu nie chciał się poddać. W innych okolicznościach uznalby to za cechę godną prawdziwego żołnierza, ale teraz...

Oczy Loeba były zapuchnięte. Krew spływała mu po twarzy. Musiał teraz walczyć na ślepo, ale nie wyglądało na to, że bardzo mu to przeszkadza. Zaryczał i wyprowadził mocne kopnięcie między nogi Kaspara. Ambasador znów odskoczył na bok i niczym młotem uderzył

z półobrotu zgiętym łokciem w policzek mężczyzny. Poczuł, jak pod wpływem ciosu pęka kość. Oczy Loeba zaszyły nagle mgłą i opadł wreszcie na kolana, a potem zwałił się bezwładnie twarzą w przód, prosto w błoto.

Kaspar odszedł na bok i rozmasował swoje pokaleczone i obolałe kostki u rąk.

Zwrócił się do garstki żołnierzy, którzy stali uprzednio za plecami Loeba i powiedział:

- Zabierzcie to ścierwo z powrotem do budynku ambasady i zajmijcie się jego ranami.

Jutro z rana wyrusza do Imperium.

W czasie gdy towarzysze Loeba pochylali się, by unieść jego nieprzytomne cielsko, do przodu wystąpił jakiś młody żołnierz.

- Panie?

Kaspar założył ręce do tyłu i pomaszerował powoli, by stanąć wreszcie tuż przed mówiącym. Był to młodzian, mający pewnie około dwudziestu lat, bardzo szczupły, z bujną szopą ciemnych włosów na głowie i mający całkiem przystojne oblicze.

- A ty kimże jesteś? Kolejnym buntownikiem pragnącym przysporzyć mi kłopotów? -

zapytał Kaspar.

- Nazywam się Leopold Dietz, panie, pochodzę z Talabheim. - odpowiedział żołnierz, wpatrując się w jakiś punkt w przestrzeni tuż nad ramieniem ambasadora. - I nie, panie, nie jestem kolejnym buntownikiem. Chciałem jedynie, byś wiedział, panie, że nie wszyscy tu jesteśmy tacy jak Loeb. Jest tu sporo dobrych chłopaków i możemy być znacznie lepsi niż byliśmy do tej pory. O wiele lepsi.

- Dobrze, Leopoldzie Dietz. Mam nadzieję, że masz rację. Byłby to wielki wstyd, gdybym musiał jeszcze dziś rozbić kilka czerepów.

- W rzeczy samej - zgodził się młodzian z krzywym uśmiechem na twarzy - choć nie wszyscy tu mamy tak kruche szczęki jak wielki Loeb.

Kaspar zaśmiał się głośno.

- Bardzo się z tego cieszę, synu. Będę teraz potrzebował twardych żołnierzy, na których można będzie polegać.

Odwrócił się od Dietza i wskazał na żołnierzy, trujących się u bramy z bezwładnym ciałem wielkiego brodacza.

- Ten człowiek... - zaczął Kaspar - to był rak, trawiący wasze szeregi. Zaraził każdego z was pragnieniem, by robić mniej, niż wymagał tego wasz obowiązek. O wiele mniej niż byliście w stanie. Teraz rak został wycięty i od tego momentu wszystko wróci do normy.

Wszystko będzie wyglądać tak, jak powinno w garnizonie wojsk Imperium. Jestem bardzo wymagającym człowiekiem, ale też sprawiedliwym i jeśli udowodnicie mi, że jesteście warci tego stanowiska, zostaniecie za to odpowiednio wynagrodzeni.

Kaspar odwrócił się do wykrzywionego Kurta Bremena. Wyraźnie było widać, że rycerz nie akceptuje w pełni metod ambasadora, choć wiedział doskonale, iż był to jedyny sposób, by zaskarbić sobie uznanie i respekt zwykłych żołnierzy. Sam kiedyś również służył

w regularnej armii. Kaspar odebrał wodze swojego wałacha od Kurta i wsunąwszy jedną nogę w strzemię wskoczył na siodło.

Paweł pochylił się w jego stronę.

- Twój pierwszy cios był dobry, ale ty za bardzo się z nim cackała. Tak myślę.

Zapomniałaś już, co Paweł ci mówił o takich brudnych walkach? Oczy i jajca. Wał w nie, a chroń swoje.

Kaspar uśmiechnął się blado. Zaciskał i rozluźniał pięści. Już w tej chwili czuł jak sztywnieją mu palce i doskonale wiedział, że niedługo pokryją się siniakami, a obtarcia również nabiorą intensywnego koloru.

- Ten wielkolud prawie cię miał, gdy cię trzasnął w łepetynę - komentował dalej Paweł. - Być może ty masz rację. Być może za starą już na żołnierkę.

- Prawda, twardy był z niego przeciwnik - oznajmił wreszcie Kaspar. Naciągał na dłonie czarne, jeździeckie rękawice, kiedy Paweł klepnął go w ramię i ruchem głowy wskazał

w kierunku bram miasta. Obserwowało ich stamtąd w milczeniu trzech konnych.

Kaspar zasłonił oczy przed słońcem i patrzył, jak niewielka grupka zmierza w dół

drogi w ich stronę. Dwóch postawnych rycerzy w brązowych pancerzach i ze skórą niedźwiedzi spływającymi na plecy eskortowało jakiegoś chudego, ascetycznie wyglądającego mężczyznę, zakutanego w niebieski płaszcz. Na głowę miał głęboko nasadzony futrzany kołpak.

- Kto to jest?

- Kłopoty - chrząknął Paweł.

Kaspar spojrział ze zdumieniem na spokojnego zwykle Kislevczyka, zaskoczony wyrazem nietajonej nienawiści, który przemknął przez jego twarz. Gestem nakazał

Bremenowi kontynuować zajęcia z żołnierzami, a sam trącił konia ostrogami i ruszył na spotkanie jeźdźców.

- Chodź zatem ze mną, Pawle. Chyba musimy wyjść naprzeciw kłopotom.

- Gospodarzy powiadają, mój przyjacielu, tak: „nie szukaj kłopotów, one same znajdą cię wystarczająco szybko” - mruknął Paweł i zmusił swego konia, by podążył za Kasparem.

Tymczasem chudzielec ściągnął wodze swojego wierzchowca - kasztanowatego wałacha z Imperium, a nie typowego dla tych ziem mniejszego konika stepowego. Już samo posiadanie takiego zwierzęcia świadczyło, że był to z pewnością ktoś znamienity. Mężczyzna był też gładko ogolony, co odróżniało go od większości mieszkańców stolicy.

Chudzielec wydał wargi z niesmakiem, kiedy spoglądał rozognionym wzrokiem na ciało nieprzytomnego Loeba. Kaspar zorientował się od razu, że ten człowiek był świadkiem bójki.

Mężczyzna skłonił się formalnie przed Kasparem, ignorując zupełnie Pawła, i zapytał:

- Czy mam zaszczyt zwracać się do ambasadora von Veltena?

Kaspar przytaknął.

- W rzeczy samej, choć czuję się niezręcznie. Ty jesteś...?

Zdawało się, że chudzielec nagle urósł pod przykryciem swojego obszernego, niebieskiego płaszcza. Wyprężył się i odparł:

- Jestem Piotr Iwanowicz Łosow, główny doradca Carycy Katarzyny Wielkiej, i chciałbym niniejszym powitać cię na jej ziemiach.

- Bardzo dziękuję, Herr Łosow. Czym mogę ci służyć?

Chudzielec wyciągnął z fałd swojego płaszcza welinową kopertę, fantazyjnie zdobioną i opatrzoną pieczęcią samej Królowej Lodu. Podał ją Kasparowi.

- Przynoszę ci to - powiedział - i mam nadzieję, że znajdziesz odrobinę czasu, by być obecnym.

Kaspar przyjął kopertę i złamał pieczęć. Następnie wydobył ze środka zaproszenie -

pięknie ozdobione i wydrukowane na ciężkim, czerpanym papierze ze znakiem wodnym samej

Carycy. Stało tam, wypisane złotymi literami, że Kaspar jest zaproszony na dziś wieczór do Zimowego Pałacu, by zostać przedstawionym samej Katarzynie Wielkiej.

Ambasador złożył zaproszenie i wsunął je z powrotem do koperty.

- Zanieś, proszę, moje najszczerze podziękowania Carycy i przekaz jej, że oczywiście wielki to będzie dla nas honor móc pojawić się w pałacu.

Brwi Piotra Łosowa zmarszczyły się ze zdziwienia.

- Dla nas...? - zaczął, ale zanim zdołał powiedzieć cokolwiek więcej, Kaspar wszedł mu w słowo.

- Doskonale. Mój kislevski towarzysz i jednocześnie kapitan straży z pewnością również będzie zachwycony tą perspektywą. Słyszałem wiele niesamowitych i barwnych opowieści dotyczących Zimowego Pałacu.

Łosow zmarszczył czoło, ale nie odezwał się ani słowem, zdając sobie sprawę, że odmawiając gościowi ambasadora możliwości uczestniczenia w przyjęciu złamałby protokół.

- Oczywiście - odparł, spoglądając z niesmakiem na Pawła.

- Caryca będzie zachwycona, mogąc gościć tak znamienitych mężów, jestem tego pewien.

Kaspar uśmiechnął się, słysząc ten ledwo skrywany sarkazm i rzekł:

- Bardzo dziękuję za dostarczenie mi tej korespondencji, Herr Łosow. Z

niecierpliwością oczekuję momentu, gdy spotkamy się ponownie dziś wieczorem.

- Ja również - odparł Łosow, kłaniając się Kasparowi i chwytając pewniej wodze swojego konia. Razem ze swoją eskortą ruszył drogą w górę zbocza, dołączając do długiej kawalkady wozów i odzianych w futra wieśniaków, kierujących się do miasta.

Kaspar jeszcze przez chwilę przyglądał się oddalającemu się orszakowi, a potem zwrócił się do Pawła:

- Coś mi się zdaje, że wy dwaj znacie się dość dobrze?

- My mieli pewne wspólne sprawy w przeszłości, tak - potwierdził Kislevczyk obojętnie, ale nic więcej już na ten temat nie powiedział. Kaspar postanowił pozostawić wszelkie wyjaśnienia na później i wniósł oczy do stojącego nisko, jesiennego słońca. Wciąż było bardzo jasne, choć zdawał sobie sprawę, że od południa musiało upłynąć już kilka godzin.

- Przyjęcie dziś wieczorem! Mogłaby okazać nam, do cholery, choć trochę więcej uwagi. Cały tydzień czekałem na tę przekłętą audiencję!

Paweł wzruszył ramionami. Gdy Łosow zniknął z pola widzenia, zaczął do niego najwyraźniej wracać zwyczajny mu entuzjazm.

- Tak właśnie postępuje nasza Caryca, przyjacielu. Chodź, musimy jechać nazad do ambasady i się przygotować. Paweł musi być pewny, że godnie zaprezentujesz się Królowej Lodu.

Kaspar dotknął swojej prostej, szarej koszuli i płaszcza, spojrzął na uwalane błotem buty i uświadomił sobie, na jakiego prostaka i prowincjusza musiał wyglądać w oczach doradcy Carycy.

- Tuszę, że byłoby to niezbyt dobrze widziane, gdybym uchylił się od uczestnictwa w tym przyjęciu? - zapytał Kaspar, niedbale machając kopertą w powietrzu.

Sam pomysł zdawał się przerażać Pawła. Energicznie pokiwał głową.

- Byłoby bardzo źle. Tak. Bardzo źle. Nie możesz się uchylać. Etykieta wymaga, by wszelkie zaproszenia od Królowej Lodu miały pierwszeństwo. Nawet, jeśli ty umówił się z kimś innym tydzień wcześniej. Nawet powinność wobec zmarłych musi poczekać. Żałoba nie zwalnia zaproszonego z obowiązku obecności na dworskich ceremoniach.

- A perspektywa darmowego jadła i picia nie ma nic wspólnego z twoją ochotą wzięcia udziału w tym cholernym spektaklu...

- W żadnym razie! - zarechotał głośno Kislevczyk. - Paweł chce być po prostu pewien, że nie uchybisz w żaden sposób Królowej Lodu. Paweł mógłby opowiedzieć ci historię o ostatnim człowieku, który nie zadowolili Carycy. Gdyby twoje włosy nie były już srebrzyste, zapewne słysząc to i tak byś osiwił. Na szczęście miał on już wcześniej dzieci, tylko tyle ci powiem!

- W takim razie idziemy, przyjacielu - wyszczerzył w uśmiechu zęby von Velten, ruszając w kierunku bram miasta. - Nie uśmiecha mi się wcale wizja poniesienia podobnej kary.

Obejrzał się jeszcze na żołnierzy. Zaczynali właśnie kolejne okrążenie miejskich murów. Zauważył, że na przedzie biegnie Leopold Dietz, dotrzymując dziarsko kroku Kurtowi Bremenowi i zmuszając innych do większego wysiłku. Miał nadzieję, że optymistyczne słowa młodzieńca nie były jedynie pustą deklaracją. Bardzo potrzebował w nadchodzących miesiącach żołnierzy, z których mógłby być dumny i na których mógłby polegać. Jeżeli chciał, żeby traktowano go poważnie jako ambasadora, potrzebował takich ludzi.

II

Kaspar narzucił na ramiona swój długi płaszcz i przejrzał się w wysokim lustrze. Miał

na sobie czarne bryczesy wpuszczone w szare, skórzane buty i haftowaną koszulę z oślepiająco białej bawełny. Na koszulę założył wycięty głęboko, czarny kaftan. Sługa Imperium w każdym calu, ocenił zadowolony. Pomimo swych pięćdziesięciu czterech lat starał się utrzymywać dobrą kondycję i rzeczywiście, jego ciało było szczupłe i sprężyste.

Od momentu wyjazdu Teugenheima, wcześniej w tym tygodniu, Kaspar zajął kwatery poprzedniego

ambasadora i przemeblował je na własny koszt. Nie żył jeszcze co prawda w warunkach, do których był przyzwyczajony, ale musiało mu to na razie wystarczyć.

Dwie godziny temu powrócił z objazdu na zewnątrz miejskich murów i zdążył się już przez ten czas wykapać, używając kislevskiego mydła ziołowego o dziwnym, choć całkiem przyjemnym zapachu, a potem jeszcze ogolić. Przy goleniu zaciął się dwukrotnie w policzek.

To typowe - pomyślał - tak wiele razy goliłem się rankiem, będąc jeszcze na wpół przytomny, i nie zaciąłem się ani razu. A kiedy nadchodzi jakiś ważny moment, mam wrażenie, że skrobię skórę jakimś zardzewiałym ostrzem siekiery.

Rozległo się pukanie do drzwi i zanim jeszcze zdążył odpowiedzieć, do pokoju wkroczył Stefan. Przez jego zdrową rękę przewieszane były jakieś kolorowe tkaniny. Druga ręka kończyła się przy nadgarstku. Jakies dziesięć lat temu ostrze dzierżone przez zwierzoczłeka pozbawiło go dłoni.

- No, i co o tym sądzisz? - zapytał z zadowoleniem Kaspar.

- Och nie, nie, nie! - zaprotestował Stefan, patrząc z przyganą na strój ambasadora i przewracając oczami. - Nie idziesz na pogrzeb, cholerny głupcze, masz być przedstawiony królowej.

- A co jest nie w porządku z ubraniem, które mam na sobie? - zapytał Kaspar i, podniósłszy rękę, obrócił się jeszcze raz do lustra.

- Wyglądasz jak nauczyciel - skomentował Stefan, kładąc kolorowy tłumok na oparciu krzesła stojącego nieopodal okna.

- To Kislev - kontynuował - ludzie tu są wystarczająco surowi nawet bez takich, którzy przez cały czas ubierają się na czarno. Królewskie przyjęcia to okazja dla Kislevczyków, by ubrać się w szaty kolorowe niczym pióra koguta i pysznić się dookoła ich bogactwem.

Jakby na potwierdzenie jego słów drzwi otworzyły się z hukiem i do pokoju Kaspara wszedł dumnym krokiem Paweł. Szcherzył zęby w uśmiechu jakby był niespełna rozumu.

Ubrany był w oszałamiającą mieszankę jedwabiów i aksamitów. Kobaltowo-granatowy kaftan i podpięte do niego bryczesy były naciągnięte na jego wydatny brzuch. Zdobily je wymyślne szwy, zdobione srebrną nicią i pokryte gęsto cekinami oraz połyskującymi kamieniami. Obszyty gronostajami płaszcz zwisał mu z ramion do wysokości kolan, a na nogach miał idiotycznie wyglądające buty, uszyte z niepraktycznego, białego atłasu. Żeby godnie zwieńczyć dzieło, Paweł nawoskował swoje długie, szare wąsiska i zakręcił je w ekstrawaganckie, sięgające poniżej policzka spirale.

Kasparowi na widok przyjaciela aż odebrało mowę. Szok pogłębił się jeszcze, gdy spostrzegł, że Stefan z aprobatą kiwa głową.

- Chodzi dokładnie o coś takiego - skomentował nagłe wtargnięcie Pawła. - Właśnie tak trzeba wyglądać na dworze królewskim w Kislevie.

- Proszę, powiedz, że żartujesz - warknął Kaspar - Przecież on wygląda jak jakiś cholerny błazen!

Paweł założył ręce na piersi, twarz mu spoważniała.

- Lepiej wyglądać jak błazen niż jak kapłan Morra, człowieku z Imperium! Będę tam najprzystojniejszym mężem dziś wieczór! Kobiety zapłaczą, kiedy ujrzą dziś Pawła!

- No tak, co do tego nie mam żadnych wątpliwości - stwierdził oschle Kaspar.

Paweł zaśmiał się, nie zważając na ironiczny ton przyjaciela. Następne dwadzieścia minut minęło na podejmowanych przez Pawła i Stefana próbach namówienia Kaspara, by choć rozważył ubranie się w jakiś bardziej kolorowy strój. Dyskusja była bardzo gorąca.

Wreszcie osiągnęli kompromis i Kaspar przebrał się w szmaragdowozielone bryczesy i, na cześć swych gospodarzy, szkarłatny dolman zdobiony złotem i obrębiony sobolami. Na ramionach miał luźno narzucony krótki płaszcz, który zresztą uważał za zupełnie zbędny i niepraktyczny. Był zbyt mały, by zapewnić choć odrobinę ciepła i wystarczająco nieporęczny, by przeszkadzać w chodzeniu. Zdawało się, że to charakterystyczne dla arystokracji Kisleva, by wymyślać stroje nie mające żadnego praktycznego zastosowania.

Wreszcie Kaspar i Paweł zeszli do głównego wejścia ambasady i spotkali tam czekającego już na nich Kurta Bremena. Jego wypolerowana zbroja błyszczała niczym żywe srebro. Rycerz nie miał przy sobie miecza i wyraźnie było widać, jak bardzo niezręcznie czuje się bez broni. Bremen podniósł głowę, kiedy usłyszał ich kroki i Kaspar zauważył jak walczy, by zachować poważny wyraz twarzy na widok ich przystrojonych z cudzoziemską postaci.

- Tylko bez komentarzy - ostrzegł ambasador, kiedy Bremen otwierał grube, drewniane odrzwia.

Wyszli wprost w chłód kislevskiej nocy. Niebo było zupełnie ciemne. Wciąż jeszcze był wczesny wieczór, ale w tych okolicach noc zapada ze zwykłą w północnych krainach chyżością i ostrym chłodem, pomyślał von Velten.

- Na Sigmara! Te cudaczne ubrania nie trzymają nawet odrobiny ciepła - ryknął.

Przytupnął, by ogrzać się choć trochę i ruszył szybko w dół schodów, w stronę czekającej już na nich za bramą ambasady otwartej karocy. Na niewielkiej ławeczce pojazdu siedział

ogromny woźnica z długą brodą, owinięty w okazałych rozmiarów płaszcz, z kwadratową, czerwoną czapą z atlasu nasadzoną głęboko na głowę. Zszedł teraz ze swego siedzenia i otworzył drzwi karocy. Kiedy Kaspar, Paweł i Bremen wsiadali, z szacunkiem im się skłonił.

Potem wspiął się na swoje miejsce, strzelił głośno z bata i z wielką wprawą pokierował

karocą wprost ku Placowi Bohaterów.

Woźnica kierował kłusującymi końmi z wynikającą z wieloletniej praktyki łatwością.

Pewnie trzymał w dłoniach cienkie lejce i Kaspar musiał przyznać, że taki sposób podróżowania jest w rzeczy samej niezwykle wygodny. Końska uprzęż zrobiona z wąskich, skórzanych pasów była prawie niewidoczna i dodawało to zaprzęgowi niezwyklej elegancji -

zdawało się, że konie pędzą zupełnie wolne, i oprócz drewnianego, zakrzywionego łukowato chomąta nic im nie przeszkadza. Gdyby Madeline żyła, z pewnością spodobałaby jej się taka jazda. Kaspar przez chwilę pogrążył się w myślach i wyobraził ją sobie, jak jedzie wraz z nią poprzez noc.

Karoca przemknęła przez środek placu i zaczęła zwalniać, gdy zrobiło się bardziej stromo. Poniosła ich gładko dalej wzdłuż Prospektu Urskoj. Ta wspaniała, paradna ulica brała swoją nazwę od stojącego przy jej początku klasztoru - Relikwiarza Świętego Aleksieja Urskoj. Ten masywny, kamienny gmach był sanktuarium, poświęconym największemu bohaterom Kisleva i jednocześnie miejscem spoczynku ojca Królowej Lodu, samego wielkiego Cara Radii Bokhy.

Ulica wzdłuż całej długości tętniła życiem. Po obu stronach czekały na pasażerów skromniejsze pojazdy, zaprzężone w niższe i krępe stepowe koniki i powożone przez odzianych skromnie wieśniaków, którzy uciekli do miasta przed zbliżającą się armią z północy.

Droga stała się powoli mniej stroma i wreszcie zobaczyli przed sobą, w całej okazałości, stojący na samym szczycie Wzgórza Bohaterów pałac Lodowej Królowej. Kaspar widział go już kilkakrotnie w ciągu ostatniego tygodnia i był przytłoczony jego majestatem, ale teraz, w nocy, gdy budynek był oświetlony od dołu przez wielkie latarnie z Kataju, jego piękno było wręcz urzekające.

- Jest przewspaniały - szepnął von Velten, kiedy woźnica sprawnie przeprowadzał

karocę przez żelazną bramę oddzielającą pałacowe tereny od miasta i przejeżdżał pomiędzy szpalerami lśniących, opancerzonych żołnierzy, których hełmy wykute były na podobieństwo ryczącego niedźwiedzia. Sam ogrom królewskiej rezydencji stał się jeszcze bardziej zauważalny, gdy podjechali bliżej. Pałac był również doskonale umocniony, co najmniej tak dobrze jak miejskie mury.

Przed nimi stały tuziny sań i powozów. Tuż przy czarnych, drewnianych wrotach wysiadali z nich odziani w futra pasażerowie, a pojazdy oddalały się prędko, by zrobić miejsce kolejnym gościom przybyłym na przyjęcie. Przy wejściu tkwili bez ruchu dosiadający białych koni rycerze, obserwując jak puste sanie i powozy zawracają, wyjeżdżają przez bramę i ustawiają się w rzędzie na placu. Woźnice gromadzili się już przy wielkich ogniach, rozpalonych specjalnie dla nich na tę okazję.

Woźnica z ich karocy po raz wtóry zszedł na dół ze swego siedziska i cicho otworzył

drzwi pojazdu. Kaspar i Bremen wysiedli, zupełnie oszołomieni niezwyklej umiejętności, jakimi musiał się wykazać projektant tego pałacu. Paweł wcisnął kilka miedziaków w wyciągniętą rękę woźnicy i stanął tuż obok swoich dwóch towarzyszy.

Podążył za ich wzrokiem dookoła zawile rzeźbionych kolumn i frontonu, tworzących wejście do Zimowego Pałacu.

- Obydwaj wyglądacie tak, jakbyście nigdy nie widzieli królewskiej rezydencji.

Pójdźmy lepiej do środka, zanim ktoś nas weźmie za jakichś wieśniaków - stwierdził Paweł i ruszył do wejścia.

Kaspar i Bremen pospiesznie do niego dołączyli. Drewniane drzwi otworzyły się gdy się do nich zbliżyli i wkroczyli wreszcie do rezydencji Carycy Kisleva. Gdy tylko znaleźli się wewnątrz wyłożonej marmurem sali, drzwi zamknęły się za nimi. Przeogromny hol wypełniony był ludźmi - plotkującymi radośnie młodymi kobietami i śmiejącymi się mężczyznami.

Przeważającą większość tych ostatnich stanowili żołnierze, młodzi, wąsaci oficerowie przeróżnych wojsk. Ich posępne twarze były ponurym świadectwem wielu bitew, stoczonych na północy województwa przeciwko hordom Kurgan. Mieli na sobie kolorowe płaszcze, często podszyte futrem, ich zbroje były w widoczny sposób naprawiane w pośpiechu i wszyscy mieli ze sobą zdobione piórami hełmy zwieńczone srebrną podobizną niedźwiedzia z rozpostartymi łapami. Tu i ówdzie można było dostrzec dowódców rot husarskich i oddziałów konnych łuczników, z czerwonymi napierśnikami i zielonymi płaszczami, a także strzelców w charakterystycznych, długich tunikach, najeżonych pasami srebrzystych ładownic.

Gdzieś tam można było zauważyć w tłumie paziów i dworki Carycy, ubranych w długie, lodowobłękitne płaszcze, odbierających od gości ciężkie futra i roznoszących na srebrzystych tacach kielichy z migotliwym, bretońskim winem. Paweł sięgnął ręką i zatrzymał jednego ze służących niosących napitki, a potem zabrał z tacy trzy pełne naczynia.

Kaspar przyjął jeden z kielichów i upił odrobinę wina, napawając się odświeżającą cierpkością napoju.

- Wszystko to wygląda jak scena żywcem wzięta z jakiejś dziecięcej opowieści -

stwierdził wreszcie oczarowany von Velten.

- To tutaj? - zdumiał się Paweł, szczerząc w uśmiechu zęby - To jest nic. Poczekaj, jak ty zobaczysz Galerię Bohaterów, mój przyjacielu.

Kaspar uśmiechnął się i pomimo swojej dotychczasowej rezerwy poczuł, że jego również ogarnia ten przedziwny i ekscytujący nastrój, który zdawał się przepelniać wszystkich gości Carycy, kierujących się teraz z godnością w kierunku wyłożonych marmurem i pięknie zakręconych schodów.

Cała procesja wstąpiła po długich, ozdobionych kwiatami stopniach. Zewsząd pomiędzy porfirowymi kolumnami zwieszały się łańcuchy z koronek, drogocenne kamienie i klejnoty migotały w świetle przesłoniętych jedwabiem, kręcących się delikatnie lamp. Przez westybul przewijała się istna feeria kolorowych strojów, poszczękiwanie ostróg i stuknięcia końcówek szabli na podłodze nie milkły ani na chwilę. Goście powoli przechodzili pomiędzy szeregami najprzystojniejszych kislevskich rycerzy, wybranych na tę okazję z Gwardii Pałacowej, niezwykle godnie prezentujących się olbrzymów, którzy stali w swych wypolerowanych, brązowych pancerzach niczym posągi, z twarzami nie wyrażającymi jakichkolwiek uczuć.

Całą ścianę u szczytu schodów zajmował kolosalny obraz, przedstawiający ojca Carycy dosiadającego wielkiego, białego niedźwiedzia.

Kaspar dostrzegł elegancko ubranego Piotra Łosowa. Miał na sobie szkarłatną szatę, przystrojoną zawijasami z żółtej skóry i ozdobioną srebrnymi chwostami. Doradca Carycy dostrzegł ich również i podniósł do góry dłoń w powitalnym geście.

- Uważaj na tego tu - ostrzegł Paweł, gdy dotarli do szczytu schodów. - To waż. Nie można mu ufać.

Zanim Kaspar zdążył pociągnąć temat dalej i wypytać Pawła o szczegóły, zbliżył się do niego Łosow i potrząsnął jego dłonią. Uśmiechnął się i rzekł:

- Witamy w Pałacu Zimowym, ambasadorze von Velten. Dobrze cię znowu widzieć.

- To wielki zaszczyt dla mnie, że zostałem tu zaproszony, Herr Łosow. Pałac jest przewspaniały, nigdy jeszcze czegoś podobnego nie widziałem. W rzeczy samej to prawdziwy cud.

Łosow przytaknął skinieniem głowy, z godnością przyjmując komplement.

- Pozwól mi przedstawić sobie moich towarzyszy, panie. To mój kapitan straży, Kurt Bremen z Rycerzy Pantery.

- Zaszczyt to dla mnie, panie rycerzu - odparł Łosow, gdy Bremen skłonił się dwornie i trzasnął obcasami.

- A to - ciągnął Kaspar, wskazując na Pawła - jest kislevski doradca przy ambasadzie Imperium, Paweł Korowicz. Paweł i ja służyliśmy wiele lat temu razem w armii Imperium.

To mój stary i zaufany przyjaciel.

Ledwo starając się ukryć lekceważenie, Łosow skinął nieznacznie głową w jego kierunku.

- Jeżeli pozwolicie, chciałbym was poprowadzić do Galerii Bohaterów. Jest tu dziś w nocy tak wielu ludzi, z którymi, jak wierzę, powinieneś się spotkać, Herr ambasador, jeżeli chcesz, by twój pobyt tu przyniósł Imperium jakąś korzyść.

- Jeżeli tylko uda mi się przedstawić punkt widzenia Imperatora na dworze, uznam, że czas, który tu spędziłem, rzeczywiście przyniósł jakieś wymierne korzyści.

- To właśnie miałem na myśli, Herr ambasador.

Odziani w błękit służący przytrzymały białe drzwi tuż pod imponującym portretem, kiedy Łosow powiódł ich przez nie i wprowadził do Galerii Bohaterów. Po raz kolejny Kaspar oniemiał i zabrakło mu słów zachwyty, by opisać to, co przed sobą ujrzał.

Galeria Bohaterów zajmowała jeden fragment ogromnej, podzielonej na trzy części hali, zbudowanej w całości z czegoś, co na pierwszy rzut oka Kaspar wziął za szkło. Wkrótce uświadomił sobie jednak ze zdumieniem, że wcale nie było to szkło, lecz lód. Pierwszy fragment galerii stanowił jednocześnie południowe skrzydło pałacu i migotał oszałamiająco refleksami światła, padającego z setek srebrnych kandelabrow. Z jednej strony galeria przechodziła pod pojedynczym, ogromnym łukiem i wzdłuż rzędów lodowych kolumn, by dotrzeć wreszcie do półokrągłej, wielkiej komnaty, zastawionej stołami i przygotowanej już do uczy.

Po drugiej stronie szereg niewielkich, łukowatych przejść prowadził z galerii do kolejnego nie mniejszego pomieszczenia, gdzie klaszczący widzowie obserwowali grupę rozebranych do pasa wojowników, toczących właśnie pojedynki na długie, zakrzywione szable.

Kaspar zatrzymał się by popatrzeć, zafascynowany widokiem walczących. Z ich ogolonych głów spływały w dół długie, pojedyncze kosmyki włosów, w pasie przewiązani byli błękitnymi szarfami. Jakiś przystojny mąż z sumiastymi, nawoskowanymi wąsami i natłuszczonym czubem kołysał się lekko na nogach, balansował z jednej strony na drugą, nie odrywając stóp od ziemi. Stał dokładnie w centrum pomieszczenia, otoczony przez innych przygotowujących się do walki mężczyzn. Miał w sobie grację i szczupłość tancerza w połączeniu z wąskimi biodrami i szerokimi barami żołnierza nawykłego do robienia mieczem.

Dzierżył dwa dziwaczne ostrza i miał na sobie luźne, szkarłatne, kawaleryjskie spodnie. Jego ciało było świeżo nasmarowane oliwą, ładnie rzeźbione mięśnie połyskiwały w świetle pochodni.

Czterech podobnie jak on przygotowanych do walki mężczyzn otoczyło go i skłoniło się nisko, zanim wzniesli swoje szable do góry.

Kaspar przyglądał się okiem doświadczonego szermierza, jak samotny wojownik staje w pozycji wyjściowej, jednym ostrzem celując w najbliższego przeciwnika, a drugie trzymając nad głową.

- Kim jest ten człowiek? - spytał Kaspar, gdy u jego boku stanął Piotr Łosow.

- To - odparł z dumą zapytany - jest Sasza Fiodorowicz Kajetan. Dowodzi jednym z najświetniejszych oddziałów Legionu Gryfa. Posiadłości jego rodziny znajdują się w jednym z najbardziej malowniczych zakątków nad rzeką Tobol. Wielu ludzi mówi, że nim minie rok, już będzie dowodził całym Legionem.

Kaspar skinął głową; był pod wrażeniem, kiedy czterech przeciwników zaczęło zbliżać się do Kajetana.

- Nie wygląda to na wyrównaną walkę.

- Tylko na pierwszy rzut oka - zgodził się Łosow - ale Kajetan to Drojaska, mistrz miecza. Gdyby walczył z większą ilością przeciwników, wyglądałoby na to, że się popisuje.

Kaspar spojrzał zdumiony na Łosowa, a potem z powrotem zaczął obserwować walkę.

Kajetan zdawał się zupełnie nie przejmować faktem, że staje sam przeciwko czterem uzbrojonym

oponentom. Jego twarz była spokojna, był najwyraźniej bardzo pewny siebie.

Kaspar nie był pewny, czy widzi przed sobą pokaz arogancji, czy też szaleńczej odwagi.

Walka rozpoczęła się i skończyła tak szybko, że przez chwilę von Velten nie mógł

uwierzyć w to, co właśnie zobaczył. Kiedy pierwszy przeciwnik rzucił się na Kajetana, ten skoczył i obróciwszy w powietrzu wylądował pomiędzy dwoma mężczyznami, uderzając ich jednocześnie rękojeściami obu mieczy w czoła. Nie zdążyli jeszcze upaść na ziemię, gdy on był już znów w ruchu, odchylając się przed cięciem wymierzonej w niego szabli i przetaczając się po podłodze, by uniknąć wysokiego zamachu, który z pewnością odciąłby mu głowę. Przeturlał się i uniósł na kolana. Wyrzucił naprzód jedną nogę i podciął kolejnego przeciwnika. Kiedy ten upadał, zdzielił go potężnie łokciem w szyję, a następnie wygiął plecy i skrzyżował nad głową oba ostrza, by zablokować nadchodzący już z góry cios. Przetoczył

się z powrotem i zaaplikował ostatniemu przeciwnikowi niezwykle mocne kopnięcie prosto w szczękę. Następnie obrócił się, wyskakując w powietrze, i wylądował z gracją z wyciągniętymi przed siebie, skrzyżowanymi raz jeszcze mieczami.

Gromki aplauz wypełnił całą halę i Kaspar uświadomił sobie, że sam przyłącza się do wiwatów, zadziwiony niesamowitymi umiejętnościami wojownika. Pokonani podnosili się chwiejnie na nogi, a owacje jeszcze się wzmożyły.

- Gdzie na wszystkich bogów ten człowiek nauczył się tak walczyć? - zapytał.

- Dano mi do zrozumienia, że pobierał nauki w zakonie wojowników z dalekiego wschodu - niepewnie wyjaśnił Łosow - Na jednej z wysp Kataju, jak sądzę.

Kaspar skinął ze zrozumieniem głową, wciąż oszołomiony niesamowitym występem Kajetana, i pozwolił się wyprowadzić z tej zaimprovizowanej areny walk z powrotem do głównej galerii. Jej masywne, łukowate sklepienie zdobiła ogromna mozaika, przedstawiająca koronację Igora Straszego. Ze środka zwisał wspaniały kandelabr, pamiętający jeszcze czasy Cara Aleksisa. Sklepienie podparte było wysokimi i potężnymi lodowymi kolumnami. Każda z nich zabarwiona była lekko na kolor sepii, poznaczona żyłkami subtelnego złota i zwieńczona żłobionym kapitelem. Ściany komnaty były niezwykle gładkie i lekko prześwitujące. Niezliczone dywany i kilimy z Bretonii, Estalii i Tilei pokrywały zimną podłogę.

Kaspar był zaszokowany. Odwiedził niegdyś wiele lat temu pałac Imperatora w Altdorfie; było to wtedy, gdy odbierał swój generalski tytuł, ale splendor tamtego budynku bladł na tle przepychu, który miał właśnie przed oczami.

Zauważył, że Bremen chyba podziela jego odczucia i jest pod wielkim wrażeniem wspaniałości otaczającego ich gmachu. Tymczasem Paweł zbliżył się do kolejnego służącego i zadbał o to, by ich kielichy nie pozostawały próżne. Łosow prowadził Kaspara przez komnatę, wskazywał co bardziej interesujące płótna i zachwycające szczegóły.

- Galeria ta zawdzięcza swą nazwę wspaniałej kolekcji obrazów, przedstawiających Kislevskich Carów, która właśnie tutaj wisi. To jest wciąż żywa historia naszego państwa i jego pradawnych władców, z obrazami przedstawiającymi tak znamienitych ludzi jak Car Aleksis, Radii Bokha, Aleksander wraz z dziećmi i oczywiście sławne chan-królowe - Miska i Anastazja.

Kaspar przytakiwał bezwiednie, słuchając wyjaśnień Łosowa, zupełnie zagubiony i oszołomiony cudownością tego miejsca.

Doradca Carycy ciągnął dalej.

- Meble pochodzą głównie z Bretonii i znajdują się tu między innymi te wykonane przez sławnego Eugene Fosse; zostały przywiezione do Pałacu Zimowego z Bordeleaux w roku 2071.

Kiedy Łosow zaczął mówić o portretach chan-królowych, Kaspar uświadomił sobie, że jego wzrok i cała uwaga skupiła się na czarnowłosej kobiecie, ubranej w suknię o kolorze kości słoniowej, od której oddzielał go tłum gości. Udając, że wciąż słucha opowieści Łosowa, starał się jednocześnie przyjrzeć dokładniej jej twarzy, ale w denerwujący sposób wciąż coś mu przeszkadzało. Kiedy kątem oka zauważył drwiący uśmiech, miał wrażenie, że coś sobie przypomina, ale po chwili wrażenie prysło.

Kaspar uświadomił sobie, że Łosow się oddala i ruszył za nim. Z siłą kuli armatniej wpadł na kogoś i oblał go trzymanym w rękę winem.

Przerażony, rzucił szybko:

- Proszę o wybaczenie. To była wyłącznie moja wina...

W odpowiedzi zalał go potok niezrozumiałych, kislevskich słów i choć jego znajomość tego języka była raczej mizerna, zorientował się od razu, że został śmiertelnie obrażony. Mężczyzna, którego oblał, był szeroki w barach i krzepki, jego grube futra i pancerz były bez wątpienia bardzo kosztowne. Nosił spiczasty hełm zdobiony na brzegach złotem, co znaczyło, że jest to jeden z bojarów, przedstawiciel kislevskiej szlachty. Jego rumiana, okolona brodą twarz świadczyła o tym, że wiódł ciężkie życie pod otwartym niebem. Zderzenie prawie zważyło go z nóg i Kaspar od razu zauważył, że człowiek ten jest pijany. W nieprzyjaznych, półprzytomnych oczach czaił się gniew.

- Ty z Imperium? - zapytał łamanym staroświatowym.

- Tak jest - odparł von Velten - w rzeczy samej...

- Bękart Imperium - wybełkotał bojar - bezpieczny dzięki naszej krwi. Ty i twój kraj bez nas by nie żyły. Synowie Kisleva umierać, by twój kraj był bezpieczny i tylko kiedy Imperium spowijają płomienie, wy wtedy chcieć walczyć.

Kaspar walczył ze sobą, by powstrzymać na wodzy gniew, kiedy pijany szlachcic dźgnął go w pierś grubym paluchem.

- Po co tu? Wy chcieć nasi wojownicy walczyć dla was? Ha! Traktujecie nas jak psy, a potem

chcecie byśmy my umierali za was?!

- To nie...

- Mam cię w rzyci, człowieku Imperium. Ja mam nadzieję, że twój kraj spłonie w piekle - ryknął bojar i Kaspar zacisnął pięści, czując, że gniew narasta w nim jeszcze bardziej.

Schwycił brodacza za poły tuniki i przyciągnął jego twarz do swojej.

- A teraz ty mnie posłuchaj, ty kupo....

- Idź już, Aleksieju Kowowicz - wtrącił się delikatnie Piotr Łosow, pojawiając się jakby znikąd u boku Kaspara i rozdzielając obu mężczyzn. - To naprawdę nie jest konieczne.

Ambasador von Velten ma być dziś przedstawiony Carycy i jestem pewien, że nie chciałbyś go uszkodzić zanim to się stanie, nieprawdaż?

Aleksiej Kowowicz przez chwilę skupiał wzrok na Łosowie, po czym splunął

siarczyście pod nogi Kaspara, odwrócił się i chwiejnym krokiem ruszył w kierunku komnaty, gdzie odbywały się pokazy walk. Głowy pobliskich gości obróciły się w ich kierunku, by obejrzeć całe zajście i Kaspar poczuł, że się czerwieni.

- Upraszam o wybaczenie, ambasadorze - zwrócił się do niego Łosow. - Bojar Kowowicz potrafi być odrobinę nieokrzesany, gdy wychyli zbyt wiele kielichów, ale mimo wszystko jest też wielkim wojem, gdy tylko uda mu się pozostać trzeźwym. Z przykrością muszę powiedzieć, że jest to dość typowe dla sporej części naszej arystokracji.

- Nie ma sprawy - odparł Kaspar, zawstydzony, że stracił nad sobą kontrolę. Jakże to wszystko mogło zrobić wrażenie na Kislevczykach? Napięcie powoli opadło i Łosow ustawił

ambasadora w długim szeregu gości, zaczynającym się przy drzwiach z kutego złota w odległym końcu sali. Wyglądało na to, że nie jest on jedyną osobą, która miała być przedstawiona Carycy tej nocy, a sądząc po jego pozycji w szeregu, nie był też jedną z najważniejszych.

Zdobiony zegar ponad drzwiami zaczął wybijać godzinę i dokładnie w momencie, kiedy odezwał się po raz dziewiąty, podwójne drzwi prowadzące najwyraźniej do wewnętrznych apartamentów wreszcie się rozwarły. Natychmiast całą galerię ogarnęła absolutna cisza. Jakiś głos gromko obwieścił:

- Caryca Katarzyna Wielka, Królowa Kisleva! - i Kaspar wreszcie po raz pierwszy ujrzał na własne oczy niesławną Królową Lodu.

Była wysoka i majestatyczna, piękna urodą rzeźbionego w kamieniu posągu. Miała na sobie długą, bladoniebieską suknię z koronką, w której migotały jakby drobiny lodu. Jej włosy miały odcień czystego, zimowego nieba, upięte pod półksiężycem z niebieskiego atlasu wyszywanego perłami, z którego zwieszał się w dół długi, biały welon.

Tuż za Carycą podążała wielka ilość służących i członków najbliższej rodziny. Kiedy władczyni witała stojących najbliżej wejścia, Kaspar z uwagą obserwował, jakie wrażenie zrobiło jej pojawienie się na ludziach znajdujących się w komnacie. Każde oblicze przybrało natychmiast ten sam wyraz - zagościł na nich poważny uśmiech, jakby wszyscy obecni bali się zwrócić na siebie uwagę królowej, jednocześnie nie mogąc się powstrzymać przed tym, żeby spróbować.

Caryca już prawie dotarła do miejsca, gdzie stał. Natychmiast przypomniał sobie, że Królowa Lodu jest również władczynią przepotężnej magii pochodzącej, jak mówiono, od skutej lodem krainy, którą rządziła. Uświadomił to sobie, ponieważ otaczające go powietrze stało się nagle o wiele chłodniejsze. Zadrzał, gdy jego wzrok padł na kibić Carycy, do której przypasany był długi miecz. Rozchodziły się od niego fale lodowatego zimna i Kaspar pojął

od razu, że patrzy na potężne i sławne ostrze, Widmo Mrozu. Ten przepelniony mocą miecz wykuty został w starożytnych czasach przez chan-królową Miskę, która dzierżyła go wtedy, gdy podbijała ze swymi hordami całe połacie Imperium.

Von Velten zrozumiał, że było to celowe działanie ze strony Carycy. Z pewnością na takie okazje nie przypasała zwykle miecza, szczególnie takiego, który w przeszłości zabił tak wielu szlachetnych synów Imperium.

Wreszcie władczyni dotarła do niego. Kiedy się jej kłaniał, dogłębnie czuł pulsujące od jej postaci zimno, przenikało ono aż do szpiku kości. Królowa Lodu wysunęła w jego kierunku dłoń, a Kaspar uniósł ją do ust i delikatnie ucałował. Usta zapłonęły żywym ogniem, zupełnie jakby dotknął nimi bloku czystego lodu. Wyprostował się i napotkał spojrzenie Carycy, która właśnie odgarnęła z twarzy przesłaniający ją do tej pory welon. Skórę miała bardzo bladą i jakby lekko przejrzystą. Na jej ustach igrał drwiący uśmiezek. Oczy miała niczym dwa kawałki zimnego szafiru.

- Ambasador von Velten. Jesteśmy bardzo zadowoleni, że mogłeś uczestniczyć w dzisiejszym przyjęciu. Mam nadzieję, że nie oderwaliśm cię od jakichś nie cierpiących zwłoki zajęć, zapraszając tutaj.

- Nic z tych rzeczy, wasza wysokość. Nie przegapiłbym takiej okazji za całe złoto Szarych Gór.

- Z całą pewnością - zgodziła się z nim Caryca. Jej jasne oczy zwracały się już w stronę kolejnych stojących w szeregu gości.

- Przyjmij proszę wyrazy uznania dla tego pałacu, jest prawdziwie niesamowity i przepiękny.

- Dziękuję za te komplementy, ambasadorze von Velten. Jesteśmy jak zwykle zaszczyceni, mogąc gościć tu, w Kislewie, przedstawiciela naszego sojusznika i przyjaciela -

Imperium. Mamy nadzieję, że spotka cię tu więcej sukcesów niż twojego poprzednika.

- Jestem tu po to, by służyć, wasza wysokość.

- Cóż za wspaniała filozofia, ambasadorze von Velten - powiedziała żartobliwie, zanim ruszyła do kolejnej stojącej za Kasparem osoby. Poczuł, jak chłód oddala się wraz z nią.

Gdy tylko zabrzmiały pierwsze takty marsza, w sali rozległ się elegancki aplauz.

Caryca wraz ze swym obecnym faworytem poprowadzili resztę gości w kierunku środka długiej sali. Wspaniałe dywany z całego świata zostały usunięte i wypolerowana podłoga mogła teraz służyć jako parkiet tańczącym. Inne pary podążyły za Królową Lodu i Kaspar kątem oka zauważył Pawła, podającego dłoń jakiejś siwiutkiej staruszce, która z powodzeniem mogłaby być jego babką i uśmiechającego się, gdy tak pysznie stąpał, jakby był

samym Carem. Von Velten zaśmiał się szczerze, kiedy zobaczył młodą dziewczynę - mogła mieć zaledwie jakieś szesnaście lat - która schwyciła za rękę Kurta Bremena i siłą wciągnęła go na parkiet. Zebrany tłum klaskał w rytm kroków Carycy Katarzyny. Kaspar przyłączył się do nich, ale uśmiech zastygł mu na twarzy, gdy jakaś ręka wślizgnęła się w jego dłoń i pociągnęła go do tańca.

Otwierał już usta, by się sprzeciwić, ale zamknął je prawie tak szybko, jak przed sekundą otworzył. Od razu rozpoznał ciemnowłosą kobietę, którą jeszcze niedawno obserwował. Kaspar zastanowił się, ile mogła mieć lat i doszedł do wniosku, że trochę ponad trzydzieści. Jej dzikie piękno uderzyło w niego z impetem spadającej komety. Kruczoczarne włosy spływały kaskadami spod jedwabnej, nabijanej klejnotami opaski i opadały na ramiona, mieniąc się wszystkimi kolorami tęczy niczym rozlany olej. Tworzyły doskonałe obramowanie dla jej pełnych ust i zielonych oczu. Ubrana była w suknię koloru kości słoniowej, która aż ociekała zbytkiem. Pomiedzy jej obszernymi fałdami wisiał złoty pendent.

Przyciągnął on oczy Kaspara. Rzeźbiony był w kształt korony otaczającej serce i ambasador błyskawicznie rozpoznał ten herb, widziany uprzednio na karecie, którą mijał

podczas swego wjazdu do Kislewa. Ulotne wspomnienie, które tak chciał uprzednio pochwycić, teraz przebiło się na powierzchnię jego umysłu. Przypomniawszy sobie tę twarz, widzianą jedynie przelotnie na Gromadnym Prospekcie. Poczł na sobie jej wzrok i zmieszał

się, uświadomiwszy sobie, że wpatruje się w nią bezczelnie.

Kobieta zachichotała rozbawiona, kiedy mijali serię łukowatych przejść po wschodniej stronie galerii. Głową wskazała znajdującą się za nimi kolejną wspaniałą galerię.

Kaspar skinął potakująco, szybko sprawdzwszy, że Bremen i Paweł wciąż są zajęci tańcem i podążył za nieznajomą do następnego pomieszczenia.

Komnata była z pewnością mniejsza niż Galeria Bohaterów, ale bez wątpienia również robiła wielkie wrażenie. Po lewej stronie Kaspara szerokie schody wiodły w dół, do podwójnych drzwi otwartych na migotliwy ogród białych drzew i lodowych rzeźb. Wystrój komnaty zdominował całkowicie ogromny obraz, przedstawiający ostatnią bitwę Wielkiej Wojny Z Chaosem, mającą miejsce u wrót Kislewa. Wciąż trzymając się za ręce, Kaspar i nieznajoma podeszli i stanęli dokładnie przed nim. Kobieta patrzyła na obraz z wyraźnym zachwytem i von Velten podążył

wreszcie za jej wzrokiem. Malowidło było dziełem stworzonym z rozmachem, na wielką skalę, i Kaspar był pod wrażeniem bijącej z niego pasji, choć nie wszystko mu się tam podobało.

Obraz przedstawiał miasto Kislev w płomieniach. Wspaniali kislevscy woje namalowani byli grubymi, zdecydowanymi pociągnięciami pędzla i mieli szlachetne oblicza.

Krasnoludy i żołnierze z Imperium, którzy także walczyli z siłami Chaosu, oddani byli bardziej oszczędnymi i mniejszymi ruchami pędzla, ich twarze okrywał cień. Musiał dobrze się przyjrzeć, by wyłowić spomiędzy walczących samego Magnusa Pobożnego, bohatera Imperium, który poprowadził połączone wojska do zwycięstwa.

Rzucił szybkie spojrzenie przez ramię, w stronę Galerii Bohaterów, gdzie coraz więcej osób przyłączało się do tańca. Rozpoznał pierwsze takty mazurka, żywego, wojskowego tańca pochodzącego z Kisleva i uśmiechnął się, widząc jakiegoś młodego żołnierza z Legionu Gryfów, który przytupywał do rytmu, uderzając podszwami swych butów z ostrogami o podłogę. Żołnierz porwał w ramiona jakąś rudą dziewczynę i ruszył z nią w tany, posuwając się przez salę długimi skokami. Okręcił śmiejącą się partnerkę a potem padł przed nią na kolana. Serce Kaspara zabiło mocniej, gdy przypomniał sobie, jak kiedyś sam tańczył

mazurka ze swoją Madeline, jeszcze w Nuln. Był to taniec pamiętający jeszcze stare dni i prawdziwą galanterię wobec dam, pełen delikatnych aluzji do romantycznej i szczerzej miłości.

Poczuł na sobie wzrok kobiety i odwrócił wzrok od zwawych wywijasów tancerzy.

Uniósł jej dłoń i delikatnie złożył na niej pocałunek. Była ciepła.

- Jesteś w rzeczy samej szarmanckim mężczyzną, Kasparze von Velten.

- Któż nie byłby szarmancki w towarzystwie tak pięknej kobiety? - odparł Kaspar, nie wypuszczając jej dłoni.

- Gdyby tylko wszyscy mężczyźni myśleli podobnie - uśmiechnęła się nieznajoma. -

Ale niestety nie zawsze tak jest.

- Smutne to, pani - zgodził się z nią Kaspar. Chciał zapytać o jej imię, albo o to skąd znała jego, ale czuł, że gdyby to zrobił, strzaskałby kruchy urok tej chwili.

- Nazywam się Anastazja Wilkowa - odezwała się wreszcie, wyjaśniając zagadkę.

- Chan-królowa - wyszeptał Kaspar, natychmiast przeklinając się w duchu za swą niezręczność. Miał być dyplomatą, a zachowywał się jak onieśmielony szczeniak, bezwiednie wypowiadający swoją pierwszą myśl.

Anastazja zaśmiała się.

- Tak, to właśnie po niej dostałam to imię, ale żeby cię uspokoić, panie, od razu powiem, że nie mam

wcale zamiaru nabijać twojej głowy na pal.

- Uff. To prawdziwa ulga - odparł żartobliwie Kaspar, czując jak wraca do niego spokój.

- Choć niektórzy podobno mówią, że jestem zepsuta, nawet dla mnie byłaby to już przesada.

- Szczególnie biorąc pod uwagę moje stanowisko tu, w Kislevie. Na pewno nie byłoby to zbyt rozsądne - zgodził się z nią Kaspar.

Oczy Anastazji spojrzały ponad jego ramieniem. Kaspar odwrócił się i zobaczył

zbliżającego się do nich wojownika, tego samego, który niedawno dał tak oszałamiający pokaz umiejętności walki. Kroczył ku nim pewnym krokiem doświadczonego żołnierza. Miał

teraz na sobie wyszywaną, zieloną tunikę i szkarłatną szarfę, skrzyżowaną na piersi. Oba bliźniacze miecze spoczywały spokojnie w pochwach przypasanych na plecach. Gruby kosmyk włosów był świeżo natarty oliwą i zwieszał się do szyi niczym połyskujący wąż. Jego fiołkowe oczy były zimne niczym stal, jak oczy wojownika idącego właśnie do bitwy. Kaspar ledwie przewyciężył chęć zrobienia kroku do tyłu.

Mężczyzna dwornie skłonił się przed Anastazją, zupełnie ignorując Kaspara i powiedział coś w skomplikowanym języku Kisleva. Jej twarz wykrzywiła się jakby z przykrością i kobieta potrząsnęła niecierpliwie głową, rzucając w kierunku Kaspara ostrożne spojrzenie.

- Kasparze, czy byłeś już przedstawiony Saszy Kajetanowi? - zapytała.

- Jeszcze nie - odparł, odwracając się, by zwrócić się bezpośrednio do Kislevczyka i wyciągnął w jego stronę dłoń. - Zaszczyt to dla mnie, panie.

- Co ty robisz? - rzucił Kajetan, ignorując zupełnie wyciągniętą rękę ambasadora -

Dlaczego ty rozmawiasz z Anastazją w taki sposób?

- Przepraszam? - powiedział Kaspar. - Chyba czegoś tu...

- Ale ja wszystko rozumiem! - przerwał mu mistrz miecza. - Nie myśl sobie, że nie rozumiem, co próbowałeś tu osiągnąć. Anastazja jest moja, nie twoja.

- Daj spokój - wtrąciła się czarnowłosa piękność - nie sądzę, żeby to był odpowiedni czas i miejsce na tego typu sprzeczki.

- Może chcesz mi jeszcze powiedzieć, że on nie całował twojej ręki jeszcze kilka sekund temu?

- Jako dżentelmen miał do tego prawo - dumnie odparła Anastazja i Kaspar usłyszał w jej głosie lekkie podniecenie. Najwyraźniej podobało jej się, że dwaj mężczyźni się o nią kłócą.

Zobaczył, że kark Kajetana zaczyna pokrywać się purpurą i wiedząc, że nie jest to człowiek, w

którym warto jest mieć wroga, szybko wyjaśnił:

- Zapewniam cię, Herr Kajetan, że moje intencje były czyste i honorowe. Gdybym wiedział, że Madame Wilkowa i ty jesteście parą, nigdy nie zachowałbym się w tak nieodpowiedni sposób.

Anastazja zachichotała.

- Sasza i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi, nie jesteśmy parą.

Kaspar zauważył, że po twarzy mężczyzny przebiegła fala emocji i zastanowił się, czy zdawał on sobie z tego sprawę. Usłyszał dobiegającą z głównej galerii muzykę, która powoli zamierała i jego gniew wobec Kajetana jeszcze się powiększył, gdy ten impulsywnie schwycił

rękę Anastazji.

- Miałem dziś wcześniej przyjemność oglądać twe niesamowite umiejętności w walce, Herr Kajetan. Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

Najwyraźniej zaskoczony Kajetan skinął głową i odpowiedział:

- Bardzo dziękuję.

- Naprawdę pouczające to było widowisko - ciągnął Kaspar, chwytając palcami jakiś paproch, który przyczepił mu się do kołnierza - Ale to i tak nie to samo, kiedy nie ma żadnego ryzyka, a wszyscy walczący są towarzyszami.

Twarz Kajetana pokryła się purpurą i kislevski wojownik warknął:

- Będę niezmiernie szczęśliwy, mogąc skrzyżować z tobą ostrza i udowodnić ci dobitnie, co dzieje się, gdy walczący nie są kompanami.

- To z pewnością nie będzie konieczne - prędko wtrąciła się Anastazja, wkraczając zręcznie między obu mężczyzn. Szybko wyciągnęła zza dekoltu poskładaną kartkę papieru i wcisnęła ją w dłoń Kaspara tak, by nie widział tego Kajetan. Kiedy z głównej galerii rozległ

się dobywający ze wszystkich gardeł jęk zgrozy, pochyliła się ku niemu i wyszeptała:

- To są wskazówki, jak trafić do mojego domu. Musimy się spotkać.

Szybko złapała Kajetana za rękę i odeszła wraz z nim.

Kaspar bezwiednie skinął głową i schował papier do kieszonki swej koszuli. Wtedy też ujrzał zbliżającego się w jego kierunku Kurta Bremena. Oblicze mężczyzny było chmurne i zatroskane.

- Co się stało? - zapytał, spoglądając za plecy rycerza i widząc morze zaniepokojonych twarzy.

- Wolfenburg upadł - odparł Kurt Bremen.

ROZDZIAŁ 3

I

Patrzył, jak bojar pochyla się i chwieje po jednej stronie alei i pozwala, by wypity tego wieczora kvass opuścił jego ciało w strumieniu gorącej uryny. Patrzył, jak kołysze się w pijanym widzie i kiedy już skończył sikać, z trudnością dopina swoje bryczesy. Bojar ruszył

niepewnie w dół ulicy, a on znów wyobraził sobie jej twarz. Nie było to miłe wspomnienie.

Pomknął niezauważalnie w dół alei, nagi niczym bestie z ciemnych lasów, i podążał

dokładnie za idącym zakosami bojarem, kierującym się teraz bez wątpienia do swojej kwatery. Miasto spowijała mglista ciemność.

Kiedy spoglądał na chwiejącego się do tyłu mężczyznę, poczuł w piersiach jakże znajomą gorycz. Jego ojciec nie zadowolil się pobiciem matki prawie na śmierć za pomocą pogrzebacza. Długim kawałkiem poczeriałego, żelaznego pręta ćwiczył również chłopca.

Wbił w niego posłuszeństwo i oddanie w równych proporcjach.

Zaszlochał na wspomnienie ogromnego wstydu i bólu. Bezsilności, która trzymała go w swym uścisku do momentu, kiedy stał się wreszcie sobą. Prawdziwym sobą.

Ludzie z tego miasta w swej ignorancji nazywali go Rzeźnikiem. Śmiał się z tego przyzwiska, z jego niestosowności.

Bojar odwrócił się niezdarnie i oparł o ścianę, słysząc śmiech za plecami. Polujący zamarł. Stopił się w jedno z cegłami ściany i wstrzymał oddech na samą myśl, że ten pijany głupiec mógłby go zobaczyć.

Wiedział, że to nieprawdopodobne. Niewielka ilość księżycowego światła sprawiała za ledwie, że mgła pałała widmową bielą, a pochodnie w tej części alei były jedynie odległym wspomnieniem. Szurające stopy bojara były teraz o wiele głośniejsze. Mógł też bez trudu wyłowić z ciemności masywną, spowitą futrami postać, niepewnie idącą przez gęstą, zupowatą mgłę. Znajome słowo zagościło znów w jego umyśle.

Zwierzyna.

Ponownie wyobraził sobie jej twarz. Pokrwawioną, zbitą i z jednym okiem straszliwie napuchłym i zamkniętym. Zęby zazgrzytały z wściekłości i miłości, która nie wygasła z czasem. Ręce zacisnęły się w pięści, kiedy pomyślał o zakończeniu żywota tego nędznego przedstawiciela ludzkości. Przedstawiciela, który chwiał się i zataczał tuż przed nim. Obiecał

sobie, że tym razem zrobi to, co musi, z prawdziwą przyjemnością. Jego drugie ja będzie wyc i szlochać, ale kimże był, jeśli nie sekretną twarzą tego właśnie drugiego ja? Ta słabość została już zapędzona w odległy zakątek jego umysłu i zostanie uwolniona dopiero wtedy, gdy on zakończy swe

łowy.

Wyobraził sobie, co się zaraz stanie, jeszcze raz przypomniał sobie zielone pole, gdzie stawał pierwsze, niepewne kroki na drodze, która doprowadziła go aż tu. Pierwsze przebłyski jego prawdziwej świadomości. Krew, siekierę i smak ciepłego mięsa, oderwanego od kości żywej istoty.

Bojar miał nawet na sobie podobny spiczasty hełm, ten sam kolor szaty, jak...

Wziął głęboki oddech, by się uspokoić. Czuł, że ogarnia go znów znajoma ekscytacja na samą myśl o ponownym zaspokojeniu.

Wysunął z ciała wąski i długi nóż, który dała mu matka i bezgłośnie podbiegł do przodu.

Tutaj. Widział bojara, próbującego utrzymać równowagę przy rogu jakiegoś starego budynku z czerwonej cegły. Księżyc oświetlał zniechęcone oblicze. Twarz Aleksieja Kowowicza była poczerwieniała od alkoholu i oburzenia. Doskonale potrafił sobie wyobrazić satysfakcję, jaką odczuwał bojar, obrażając nowego ambasadora z Imperium. Zagryzł wargi by nie wrzasnąć, gdy gniew wezbrał w nim do niespotykanego dotąd stopnia. Wyprysnął do przodu i schwycił rękę pijanego mężczyzny. Obrócił go szarpnięciem i uderzył nożem wprost w wykrzywioną, brzydką twarz.

Bojar ryknął z bólu i opadł na kolana. Głowa kołysała się na boki, mięśnie szyi były zbyt wiotkie, by utrzymać ją prosto. Światło księżyca odbijało się od opadającego ostrza, dźwięk raz za razem. Krew bluznęła z krtani Kowowicza, a on był już przy nim. Nóż upadł

gdzieś, zapomniany, gdy rozrywał ciepłe ciało gołymi rękami. Zaczął się ślinić, krew płynęła strumieniem pośród zimnej nocy.

Przełknął kawałki twardego mięsa razem z chrząstkami, tak jak odgryzł je z twarzy bojara.

Zwymiotował na jego pierś, kiedy kciuki zagłębiały się w miękkie oczodoły.

Po raz kolejny utoczył krwi, po raz kolejny zapłakał, odbierając ludzkie życie.

Nie mógł czerpać z tego przyjemności.

Nienawidził tego równie mocno, jak siebie samego.

II

Kaspar podpisał się na wekslu i podał go Stefanowi z pomrukiem niezadowolenia.

Czuł się jak ostatni głupiec, trwoniąc własne pieniądze na ponowne urządzenie budynku ambasady i przywrócenie mu jego uprzedniej świetności, kiedy hordy najeźdźców z północy parły właśnie z zamiarem obrócenia tu wszystkiego w perzynę. Ale pewien poziom musiał

być zachowany, a czekał jeszcze na kolejne fundusze, które wkrótce miały nadejść z Altdorfu.

Na zewnątrz słycać było wynajętego Kislewczyka, który czyścił właśnie fasadę z malunków, a szklarze zrywali drewniane deski zasłaniające okna i zamiast nich wstawiali w ramy świeżo zrobione szyby.

- Jakoś tu powoli zaczyna wyglądać - stwierdził Stefan. - Niedługo ta ambasada będzie placówką, z której byłby dumny sam Imperator.

- Zajmie to jeszcze trochę czasu. Chociaż, jeśli mam być szczery, to nie wiem, czy mamy go wystarczająco dużo.

- Być może - rzekł sługa, rzucając ostrożne spojrzenie na przesiadującego w kącie pokoju Pawła, który trzymał w ustach swoją długą, niesamowicie śmierdzącą fajkę - ale nie możemy pozwolić, by Kislewczyki sądzili, że są lepsi od nas, nieprawdaż?

Paweł przymrużył oczy i zanim wydmuchnął do góry kolejny pierścień dymu, rzekł:

- Ja to już wiem od dawna.

- Nie o to chodzi - wtrącił Kaspar. - Czułbym się lepiej, gdybym wiedział, że nie jest to marnotrawienie moich pieniędzy.

- Czy przybyły jeszcze jakieś wieści z Imperium? - zapytał Stefan. Stary sługa wypowiedział te słowa z pozoru lekkim tonem, ale von Velten wyczuł czający się w nich niepokój.

Wiadomość, że upadł Wolfenburg, była okrutnym ciosem dla morale, pogłębionym jeszcze brakiem jakichkolwiek dalszych wiarygodnych wieści.

Jeźdźcy i posłańcy przybywali bardzo nieregularnie. Przynosili sprzeczne ze sobą wieści z Imperium.

- Nic pewnego, zupełnie nic - pokręcił głową Kaspar.

- Rozmawiałem wczoraj z kilkoma arkebuzerami z Wissenlandu. Ich regiment został

zniszczony pod Zedewką, ledwo udało im się przeżyć od tamtej pory. Mówili, że słyszeli, jakoby Kurganie napierali na południe i rozłożyli się obozem nieopodal Talabheim.

- No tak - odparł Kaspar, marszcząc brwi. - A ja słyszałem, że Kurganie są na zachodzie naszej ojczyzny, gdzieś w okolicach Middenheim.

- Nie wierzysz w to?

Kaspar pokręcił głową.

- Oczywiście, że nie. Żadna armia nie potrafi przemieścić się na taką odległość w tak krótkim czasie. Powinieneś to wiedzieć najlepiej. Teraz, jak sądzę, gdy zbliża się zima, Kurganie skierują się z powrotem ku północy, do Kisleva.

- Chodzi plotka o wielkim pułku, zbierającym się na obrzeżach województwa. Wielu, wielu żołnierzy
- zauważył Paweł.

- To prawda? - spytał Kaspar.

- A cholera wie. Caryca nie zwykła dzielić się ze mną dokładnymi informacjami.

- To wspaniale, dziękujemy ze twoje cenne spostrzeżenia - odparł Stefan.

Kaspar zignorował ich sprzeczkę i przejrzał kupkę papierów, leżącą na biurku. Potem splótł palce. Był bardzo zmęczony i stres ostatnich dni dawał wreszcie o sobie znać. Jego prośby o audiencję u Carycy, by omówić sprawy militarne współdziałania, natrafiały na zwarty mur, choć przecież Piotr Łosow obiecał mu, że Królowa Lodu przyjmie go tak szybko, jak tylko to będzie możliwe.

- A ci arkebuzerzy z Wissenlandu, z którymi gadałeś - spytał - gdzie są zakwaterowani?

- Nigdzie. Obozują tuż za murami miasta. Oni i jeszcze kilka setek innych, którzy przybyli tu po ciężkich walkach na północy.

- Chcesz powiedzieć, że biedują bez żadnego wsparcia?

- Tak jest.

- Dowiedz się, kto nimi dowodzi i przyślij go tu do mnie. Dowiedz się też, gdzie podziało się zaopatrzenie wysłane do Kisleva, by tych ludzi nakarmić. Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego ci żołnierze nie są odpowiednio karmieni.

Stefan skinął głową i wyszedł. Paweł wstał i podszedł do okna.

- Nadchodzą ciężkie dni - stwierdził.

- Masz rację - przytaknął von Velten, przecierając oczy.

- Paweł nigdy nie widział miasta w takim stanie, nigdy do tej pory.

- W jakim stanie?

- Ty myślisz, że Kislev zawsze tak ożywiony? Nie. Większość żyje w stepie. W

stanicach. Wiesz, niewielkie osady. Większość przychodzi tu w zimie. Oni sprzedają futra, mięso i takie rzeczy.

- Ale teraz prą na południe z powodu plemion barbarzyńców, atakujących z północy?

- Prawda. Tak bywało już kiedyś, ale nie aż tak. Kozaccy bandyci, Kule i Tahmacy najczęściej. Oni buszują po stepie, zabijają i rabują. Ludzie są bezpieczni za drewnianymi palisadami stanic. Teraz to co innego. Musi to być coś więcej niż kilku bandytów. Tak wielu ludzi ucieka do miasta. My, Kislevczycy, jesteśmy ludźmi ziemi, nie kamienia. Oni nie porzucają stepu, chyba że muszą.

Kaspar zamyślił się nad słowami Pawła. Miasto rzeczywiście było ożywione, ale nie różniło się tym zbyt od innych miast, które dotąd odwiedzał. Do tej pory nie przyszło mu na myśl, że może to nie jest wcale zwykły porządek rzeczy.

- Jeżeli kolejna armia zbiera się na północy, to może być tylko jeszcze gorzej, sytuacja raczej się od tego nie poprawi.

- Bez znaczenia. Kislev widział już wcześniej tak ciężkie czasy. Przeżył tamte, przeżyje i te.

- Zdajesz się być bardzo pewny siebie.

- Jak długo mnie znasz? - zapytał nagle Paweł.

- Dokładnie nie pamiętam. Jakies dwadzieścia pięć lat?

- I przez ten czas widziałeś, jak ja choćby raz się poddaję?

- Nigdy - prędko przyznał Kaspar.

- To właśnie nasz sposób bycia. Ziemia jest wszystkim, co ważne. My możemy umrzeć, Kislev ciągle żyw. Tak długo, jak ta ziemia żyje, my także żyjemy. Wrogowie mogą zabić nas wszystkich, ale

wreszcie kiedyś oni sami szeszna, albo teŝ ich ktoŝ ubije. To bez znaczenia dla ziemi. Kislev jest ziemią, ziemia jest Kislevem.

Sposób myślenia Pawła był dla Kaspara zbyt obcy i abstrakcyjny. Skinął tylko głową, niepewny, co tamten miał właściwie na myśli. Od konieczności udzielania odpowiedzi uratowało go kolejne pytanie Pawła:

- Spodziewasz się gości?

- Nie - odparł von Velten, wstając z krzesła na dźwięk wściekłych głosów, dochodzących z ulicy poniżej.

III

Obudził się, lecz nie mógł otworzyć ust.

Sięgnął palcami do warg i zdarł ze swojej twarzy maskę z trupiej skóry. Odrzucił ją na podłogę z obrzydzeniem. Jednym szarpnięciem uniósł się do pozycji siedzącej, oczy miał

szeroko otwarte ze strachu. Nisko stojące słońce przeświecało przez brudnawy nieboskłon, wątki blask ledwie oświetlał drewniane poddasze, drobiny kurzu wirowały w smugach światła. Słysząc było bzyczenie licznych much. Siadały mu na rękach i wargach, zwabione przez plamy zaschniętej krwi.

Coś zawieszzonego na haku kołysało się za jego plecami, ale nie miał ochoty tego na razie oglądać.

Zmusił się, by wstać na nogi. Gdy wreszcie dotarł do niego zapach panujący na poddaszu, poczuł, jak ogarniają go torsje. Ohydny smród zgnilizny i balsamujących płynów, skradzionych z budynku Czekaistów.

Z samego faktu, że obudził się właśnie tu, wywnioskował, iż istota w jego wnętrzu nazywająca siebie „prawdziwym ja”, znów kogoś zabiła. Nie pamiętał, kogo pożarł tym razem. Był pewien jedynie tego, że kolejne życie zostało odebrane, i że to on był za to odpowiedzialny. Opadł z powrotem na kolana i prawie zwymiotował, czując smak surowego mięsa w ustach. Poczucie winy było wszechogarniające i prawie przez godzinę szlochał

niczym nowonarodzone dziecko, kołysząc się skulony w pozycji płodu. Potem przypomniał

sobie o medalionie, otworzył go z cichym kliknięciem i wpatrywał się w jej portret. W środku ukryty był skręcony kosmyk kasztanowych włosów. Przycisnął go do twarzy i wdychał

bogaty aromat jej zapachu.

Zaczął oddychać głęboko i potrząsać głową. W końcu doprowadził się do stanu, w którym był zdolny podnieść się na kolana. Błądzące gdzieś w głowie echa prawdziwego ja odeszły, gdy podniósł czerwoną szarfę, zupełnie taką samą, jaką nosił kislevski bojar, i wytarł

nią twarz. Czuł, jak siła i świadomość wracają, gdy wreszcie trochę się oczyścił.

Powoli podszedł do klapy w podłodze i wsłuchał się w ciszę, starając się wyłowić wszystkie dźwięki i hałasy dochodzące z dołu. Zawsze był na tyle ostrożny, by dokładnie maskować czyny prawdziwego ja przed wzrokiem innych ludzi - oni nie potrafiliby zrozumieć bólu, jaki odczuwał, będąc rozdartym pomiędzy dwiema różnymi osobowościami.

Usatysfakcjonowany tym, że najwyraźniej sklep żelazny na dole był pusty, uniósł

klapę i szedł w dół na zimną, drewnianą podłogę. Wyczuwał, że oprócz koni stojących w swych zagrodach poniżej, budynek jest zupełnie opustoszały. Prędko skierował się do swojej kwatery, znajdującej się w sąsiednim budynku. Tam odnalazł jakieś czyste ubranie, płócienny ręcznik i kostkę pachnącego mydła, i z tym wszystkim udał się z powrotem na plac ćwiczebny. Nappełnił lodowatą wodą z pompy spore końskie koryto stojące przed stajniami i zaczął myć całe ciało mydłem. Z każdą zmytą plamą zaschniętej krwi i wypowiedzianą przy tym uspokajającą mantrą robił się coraz spokojniejszy, silniejszy i bardziej rzeczowy. Jego druga osobowość wciąż tu była, to jasne, ale czuł, jak zapada się w jego umysł coraz głębiej z każdym kolejnym oddechem. Nie wiedział, kogo zamordował. Wiedział jedynie, że ktokolwiek to był, zginął bardzo okrutną i bolesną śmiercią. Jednak nie mógł przecież siebie za to obwiniać, to przecież oczywiste. Kiedy nadchodziły sny i jego prawdziwe ja przejmowało kontrolę, nie miał na to żadnego wpływu. Nawet teraz, kiedy o tym myślał, druga tożsamość przebiła się przez chwilę na powierzchnię jego umysłu.

Prawdziwe ja myślało o medalionie, czując, że on sam jest podekscytowany na samą myśl o niej. Jej dotyk, jej skóra, jej zapach i delikatne pocałunki.

Tylko dla niej był w stanie robić te wszystkie rzeczy.

Pomyślał o pozbawionej oczu głowie, wiszącej na haku na poddaszu i uśmiechnął się.

Prawdziwe ja było pewne tego, że ona byłaby zadowolona.

IV

- Co, na Sigmara, dzieje się tam na dole? - powiedział Kaspar, przyglądając się tłumowi rozwrzeszczanych ludzi, wypełniających podwórzec przed ambasadą. Prawie sto osób napierało na żelazny płot, rzucając gardłowe obelgi w stronę budynku ambasady i Rycerzy Pantery, którzy skryli się za ogrodzeniem i zamknęli bramy.

Tłum skupiał się dookoła szlochającej niewiasty, zawiniętej od stóp do głów w czarną paszminę; jej zawodzenie było pełne żalu i bardzo szczere.

Kaspar odwrócił się od okna i porwał swój czarny płaszcz. Narzucił go na ramiona, a następnie przytroczył do prawego uda dwa bliźniacze pistolety.

- Ty pewien, że to rozsądne? - zapytał z powątpiewaniem Paweł.

- Byłbym szaleńcem, gdybym stanął oko w oko z tym tłumem bez broni.

Paweł wzruszył ramionami i podążył za ambasadorem do holu, gdzie spotkali Kurta Bremena i Valdhaasa, schodzących do westybulu. Bremen zatrzymał się i odwrócił do von Veltena widząc, że ten również zdąża pośpiesznie ze swoich komnat.

- Ambasadorze, powinien pan pozostać w środku. My się tym zajmiemy.

- Nie, Kurt. Nie mogę pozwolić, by inni toczyli za mnie moje bitwy.

- Herr von Velten - tłumaczył cierpliwie rycerz - takie jest właśnie nasze zadanie.

Kaspar już chciał się sprzeczać, ale uświadomił sobie, że Bremen ma rację.

- Dobrze, chodźcie więc ze mną. Ale pozostawajcie z tyłu.

Bremen skinął głową. Zauważył dwa przytroczone pod płaszczem pistolety.

- Paweł - rzucił Kaspar, gdy biegli po schodach, skacząc po dwa stopnie na raz - ta kobieta ubrana na czarno. O co tu chodzi?

- Ja nie wiem. Odziana na żałobę. Nie poznaję jej.

- Dobra, widocznie ktoś nie żyje i z jakichś powodów oni są źli właśnie na mnie. Nikt z was nikogo nie zabił i nie zapomniał mnie o tym poinformować, mam rację?

- Nie, ambasadorze - odpowiedzieli jednocześnie Paweł i Bremen.

- To bardzo dobrze. Zobaczmy więc, o co chodzi - Kaspar pchnął drzwi.

Powietrze wypełniały obelżywe wrzaski i krzyki. Wyjścia kobieta osunęła się po prętach żelaznej bramy, ręce miała szeroko rozpostarte w niewypowiedzianym żalu.

Krzyczała i szlochała, nie kontrolowała się zupełnie. Trzech młodych mężczyzn z twarzami wykrzywionymi wściekłością trzęsło bramą i krzyczało coś w stronę Kaspara.

- Co oni mówią? - zapytał Kaspar, uświadomiwszy sobie nagle, jak ogromny gniew przepelnia ten tłum.

Paweł wskazał na szlochającą kobietę.

- Oni mówią, jej mąż nie żyje.

- A co to ma ze mną wspólnego?

- Oni mówią, to ty go zabił.

- Co? Dlaczego?

- Nie jestem pewien. Trudno wychwycić coś sensownego z ich krzyków - stwierdził

Paweł i ostrożnie podszedł do bramy. Sześciu Rycerzy Pantery przytrzymało ją przed naporem ciał, kiedy wykrzykiwał coś, gestykulując żywo rękami i wskazując to na kobietę, to na Kaspara. Po kilku minutach takiej gwałtownej wymiany zdań wrócił do Kaspara. Twarz miał bardzo ponurą.

- Jest źle - stwierdził.

- Wiem - rzucił Kaspar - tego zdołałem się domyślić sam. Ale co się właściwie stało?

- Ta kobieta to Natalia Kowowicz, a jej mąż ubity. Zamordowany. Tak mówią.

- Nigdy nawet nie słyszałem o jej mężu - stwierdził z przekonaniem Kaspar, choć nazwisko było mu w jakiś sposób znajome - nie mówiąc już o mordowaniu go.

- Pijany - powiedział nagle Bremen. - Pijany bojar, którego oblałeś winem na przyjęciu w pałacu. To był właśnie on.

- Cholera - zaklął Kaspar, kiedy przypomniał sobie wreszcie imię i nazwisko, i przyporządkował je odpowiedniej twarzy. Teraz dokładnie widział w myślach oblicze pijanego bojara i jego słowa o tym, że Imperium powinno spłonąć w ogniu piekielnym.

Przypomniał sobie swój wybuch wściekłości i to, że zapoznałby zuchwalca ze swymi pięściami, gdyby nie interwencja Łosowa.

Nie, to niemożliwe. Ci ludzie nie myśleli chyba, że on go rzeczywiście zamordował?

To było czyste szaleństwo i czuł, że cała sytuacja z każdym gniewnym okrzykiem skierowanym w jego stronę coraz bardziej wymyka się spod kontroli. Wyciągnął jeden z pistoletów i odwiódł kurek.

- Ambasadorze, nie sądzę, by to był dobry pomysł - ostrzegł Bremen.

Ale było już za późno.

Kaspar popędził do bramy, wznosił pistolet nad głowę i zanim ktokolwiek zdołał go powstrzymać, wystrzelił w powietrze.

Kiedy rozległ się huk, ludzie zaczęli wrzeszczeć. W powietrze uniósł się gęsty kłęb prochowego dymu.

- Paweł! - zawołał von Velten. - Tłumacz dla mnie.

- Ursunie, ocal nas - mruknął Kislevczyk, ale stanął u boku ambasadora.

- Powiedz im, że podzielam wielki smutek madame Kowowicz, ale nie mam nic wspólnego ze śmiercią jej męża.

Paweł wykrzyczał te słowa w tłum, ale ludzie najwyraźniej nie byli w nastroju do ugody, bo zagłuszyli go wrzaskliwymi obietnicami zemsty. Pozostali Rycerze Pantery spieszenie nadbiegali z

budynku ambasady. W rękach dzierżyli obnażone miecze. Tuż za nimi biegli lekko przestraszeni żołnierze, trzymający w rękach halabardy.

Kaspar włożył do olstra pierwszy pistolet i dobył kolejnego. Ale zanim zdążył wystrzelić, Kurt Bremen chwycił go za rękę i powiedział:

- Proszę, ambasadorze von Velten. To tylko zaogni sytuację.
- Nie mogę się poddać tłumowi, Kurt.
- Wiem o tym, ale czy chcesz naprawdę jeszcze bardziej rozsierdzić tych ludzi?

Niewiele brakuje, by poląła się tu krew.

Chłodna jasność umysłu spłynęła wreszcie na Kaspara. Zrozumiał powagę sytuacji.

Reagował dotąd jak zwykły człowiek, nie jak przywódca. Była tu setka ludzi, może więcej, wszyscy pragnęli jego krwi, a oddzielał ich od siebie zaledwie dawno nie reperowany parkan.

Bremen miał rację, pora jakoś tę sytuację rozładować, a nie jeszcze bardziej ją zaognić.

Skinął twierdząco głową.

- Dobrze Kurt, zobaczmy więc, co da się zrobić, by uspokoić tych ludzi.

Bremen odetchnął z wyraźną ulgą. Odwrócił gwałtownie głowę, kiedy rozległy się kolejne wystrzały i krzyki odbiły się echem od ścian. Dwudziestu jeźdźców ubranych na czarno w lakierowane, skórzane napierśniki, z długimi, okutymi brązem pałkami w dłoniach wjechało na ulicę. Wypalili z pistoletów ponad głowami zebranych ludzi, a potem wjechali w tłum, tłukąc niemiłosiernie pałkami na lewo i prawo. Prawie każde uderzenie kończyło się złamaniem kości lub rozbitą czaszką.

- Co się tu do cholery dzieje? - zapytał Kaspar, zanim jeszcze Paweł pociągnął go z powrotem do budynku ambasady. - Kto to jest?

Paweł, nie zatrzymując się, rzucił:

- Czekiści! Coś jak straż miejska. Ale gorsi, dużo gorsi.

Wokół rozlegały się znów okrzyki i wrzaski, ale tym razem przesycone strachem i bólem. Jeźdźcy krążyli dookoła, wciąż młóćąc pałkami. Bez litości rozpędzali tłum. Minęło zaledwie kilka sekund i ludzie uciekli w panice. Na brukowanym placu przed ambasadą pozostało jedynie kilku krwawiących nieszczęśników. Kaspar i Rycerze Pantery patrzyli oniemiałi jak czarni jeźdźcy okrążają jeszcze raz stojącą na środku fontannę, by upewnić się, że nie ma tam już nikogo, kto chciałby stawiać opór.

Większość z nich odjechała po chwili za umykającym tłumem, ale część wstrzymała konie tuż przed bramą do ambasady. Dowódca w pełnym, zasłaniającym twarz, zdobionym piórami hełmie z

ciemnego żelaza zsiadł z konia i podszedł do wierzei.

Rycerze Pantery obejrzelili się na Kaspara i Bremena.

Ambasador skinął przyzwalająco głową i rycerze otworzyli bramę, pozwalając przywódcy Czekaistów wejść do środka. Ten pewnym krokiem pomaszerował w kierunku budynku. Zanim zdjął z głowy hełm, starannie przypasał do boku swoją pałkę.

Miał długie włosy, zebrane z tyłu w wąski kucyk, Wąsy miał krótkie, przystrzyżone tuż nad górną wargą. Czarne niczym węgle oczy były zupełnie bez wyrazu. Nosił się jak na wojownika przystało.

- Ambasador von Velten? - zapytał płynnym staroświatowym, zupełnie pozbawionym jakiegokolwiek obcego akcentu.

- Tak jest.

- Nazywam się Paszenko. Władimir Paszenko z Czeki. Obawiam się, że muszę zadać panu kilka pytań.

V

Głucha cisza powitała pytanie Paszenki.

- Czy może nie rozumie pan pytania, ambasadorze?

- Rozumiem je dosyć dobrze, Herr Paszenko. Nie jestem po prostu pewien, jak możesz spodziewać się, że wezmę je na poważnie.

- Być może dlatego, że morderstwo jest dosyć poważną rzeczą.

- Nie mógłbym się nie zgodzić z tym twierdzeniem, ale trudno mi uwierzyć, że naprawdę sądzicie, iż miałem cokolwiek wspólnego ze śmiercią bojara Kowowicza.

- Dlaczego? - zapytał Paszenko.

- Ponieważ spotkałem go w swym życiu tylko raz, a całe spotkanie trwało niecałą minutę.

- Jak dobrze znał pan bojara Kowowicza?

- Przecież przed chwilą powiedziałem.

- Czy słyszał pan o nim wcześniej, zanim zaatakował go pan na przyjęciu w Pałacu Zimowym?

- Nie zaatakowałem go, on...

- Mam inne informacje, ambasadorze. Mam tu zeznanie świadka, który twierdzi, iż schwyciłeś bojara i groziłeś mu, zanim rozdzielił was doradca Carycy.

- On mnie obraził - warknął Kaspar.

- I to cię rozwścieczyło.

- Nie. No dobrze, zdenerwowałem się trochę, ale nie aż tak, żeby go od razu zabijać.

- Więc przyznajesz, że byłeś zdenerwowany?

- Nigdy temu nie zaprzeczałem. Powiedział, że ma nadzieję, iż cały mój naród spłonie w piekle.

- Rozumiem - stwierdził Paszenko, pisząc coś w swoim notesie. - A kiedy opuściłeś Pałac Zimowy?

- Nie jestem pewien dokładnie, ale było to wkrótce po tym, jak rozeszła się wieść o upadku Wolfenburga.

- Mam też świadków mówiących, że bojar Kowowicz opuścił pałac mniej więcej w tym samym czasie, co dałoby ci okazję do śledzenia go, a potem zarżnięcia.

- Zarżnięcia? O czym ty właściwie mówisz, człowieku?

- Ciało bojara zostało znalezione rankiem następnego dnia po przyjęciu w pałacu.

Kilka dni zajęło nam samo jego zidentyfikowanie, zważywszy na fakt, iż denat nie miał głowy. Większość jego szat i samego ciała była popalona, jakby przez kwas.

- Czy ten opis miał mnie zszokować?

- A zszokował?

- W pewnym sensie tak, ale nie bardziej niż wiadomość, że myślisz, iż ja to zrobiłem.

Na młot Sigmara, czy nie macie już tu, w Kislevie, jednego zabójcy, który działa właśnie w ten sposób? Tego Rzeźnika?

- Mamy, w rzeczy samej - skinął Paszenko. - Ale nie jest to rzadkie, że inni bandyci popełniają przestępstwa w podobny sposób, próbując tym samym zrzucić z siebie winę za te morderstwa, które sami popełnili. I nie zapominajmy też o wariatach i szaleńcach, próbujących naśladować tych, którzy są według nich tego warci.

Kaspar zaniemówił. Ten idiota z pewnością nie wierzył, że on naprawdę ma coś wspólnego z tą śmiercią?

Ale pomimo oczywistej śmieszności zarzutu Paszenko roztaczał wokół siebie aurę niesamowitej pewności siebie, która irytowała i niepokoiła Kaspara.

- Kiedy zidentyfikowaliście ciało bojara? - zapytał Kurt Bremen.

- A co to ma właściwie do rzeczy? - odparł pytaniem Paszenko.

- Być może nic, ale kiedy to było? - naciskał rycerz.

- Stało się to dokładnie dziś rano. Jego głowę pozostawiono przed naszym budynkiem przy Prospekcie Urskoj.

- I niezbyt długo po tym zebrał się rozwścieczony tłum, ten, który był tu niedawno?

Wygląda na to, że wszyscy mieszkańcy tego miasta są doskonałymi detektywami, by wspomnieć tylko o wszystkich tych twoich świadkach. Wszyscy oni prędko wykoncypowali, że zamieszany był w to ambasador i dotarli tu, zanim wy zdążyliście zareagować.

- Co sugerujesz? - rzucił Paszenko.

- Daj spokój, Herr Paszenko - stwierdził Kaspar - Nie graj z nami w te swoje gierki.

Ktoś podsunął ci te informacje i powiedział tej rozżalonej kobiecie, gdzie ma się udać, nieprawdaż?

- Mylisz się - odparł Czekista.

- Nie, panie, to ty się mylisz sądząc, że jestem nieświadomym niczego prostakiem, którego możesz pognać swoją poruszającą próbą zastraszenia - rzekł Kaspar, podnosząc się ze swego siedziska i wskazując drzwi. - A teraz, jeśli mi wybaczysz, mam pilne sprawy, które wymagają mojej uwagi. Jestem pewny, że sam trafisz do wyjścia.

Paszenko podniósł się ze swojego krzesła i pokłonił się dwornie von Veltenowi.

- Zapamiętam twoje stanowisko, Herr ambasador. Życzę dobrego dnia.

Czekista obrócił się na pięcie i opuścił pokój bez słowa. Kiedy zamknęły się drzwi, w pokoju rozległo się zbiorowe westchnienie ulgi.

Kaspar potarł ręką po potylicy.

- Dacie wiarę? Gdyby to wszystko nie było tak idiotyczne, może byłoby nawet śmieszne.

- Nic, co dotyczy Czekistów, nie jest zabawne - oświadczył ponuro Paweł.

- Daj spokój, Pawle - zaśmiał się Kaspar - nie miał żadnego, najmniejszego nawet dowodu.

- Ty nie rozumiesz. Czekiści nie potrzebują dowodu - ostro wtrącił Paweł, wstając i dźgając Kaspara palcem - Ty nie w Imperium. W Kislevie to, co mówią Czekiści, to prawo.

Oni zabierają ludzi. Ty rozumiesz? Jak się kimś zajmą, to już nigdy o nim nie słyhać, już nigdy go nie uwidzisz. Przepadł...

- Nawet ambasadora innego państwa? - zadrwił Kaspar.

- Nawet ciebie - przytaknął Paweł.

Kaspar ujrzał w twarzy przyjaciela wielką powagę i wreszcie zrozumiał, skąd brała się pewność siebie Paszenki. Uświadomił sobie także, że zagrożenie ze strony Czekistów nie jest może tak nieznaczące i małe, jak dotąd mu się zdawało.

ROZDZIAŁ 4

I

Po podwórzu niósł się jęk stali uderzającej o stal. Tam, gdzie stykały się dwa ciężkie ostrza, sypały się skry. Kaspar zakręcił nadgarstkiem i dźgnął końcówką swej broni, ale jego oponent z łatwością uskoczył w bok przed atakiem. Tak ciężki miecz nie był stworzony do klucia, służył raczej do przebijania zbroi i to właśnie miały zapewnić jego ciężar i niezwykle ostra krawędź. Zrobił krok do tyłu, gdy jego oręż został odtrącony na bok i szybki kontratak minął zaledwie o cal jego pierś.

Był już porządnie spocony i ręka paliła go od zmęczenia żywym ogniem. Owinięta drutem rękojeść miecza była śliska od wilgoci i Kaspar schwycił ją również drugą dłonią.

Broń trzymał teraz uniesioną na wprost przed sobą.

- Nie dość jeszcze? - zapytał jego przeciwnik.

- Nie, czujesz się już zmęczony? - odpowiedział pytaniem.

Bader Valdhaas uśmiechnął się. Swój równie ciężki miecz trzymał tak, jakby był on lekki niczym piórko. Kaspar nie był tym wcale zaskoczony. Valdhaas był mężczyzną w kwiecie wieku, trzydzieści trzy lata młodszym od von Veltena. Kaspar z podziwem obserwował codzienne treningi Rycerzy Pantery, patrzył, jak wprawiają się w walce ciężkimi mieczami i kopiami, pielęgnując siłę i żywotność potrzebne do tego, by władać tak nieporęcznym orężem.

Nie przypominał sobie, by za jego czasów broń była równie ciężka, ale nie był już młodzikiem i ta siła była już dla niego jedynie odległym wspomnieniem.

Valdhaas odziany był w płytową zbroję. Kaspar miał na sobie żelazny napierśnik i naramienniki. Bogato ornamentowane, okolone złotymi zawijasami, z brązowym orłem na środku pancerza. Żeby zabezpieczyć się przed przypadkowym zranieniem podczas fechtunku, miał na sobie także kolczugę, noszoną zazwyczaj pod pełną zbroją.

Ostrza mieczy były tępe, ale i tak Kaspar wiedział, że samo uderzenie tak ciężkim orężem byłoby niesamowicie bolesne. Rycerze i gwardia zebrali się na okalających podwórzec balkonikach, by obserwować swego nowego przywódcę i Kaspar zaczynał

zastanawiać się nad tym, czy dobrze postąpił, rozpoczynając od nowa treningi. Raczej nie chciałby być wynoszony na noszach na oczach całej służby. Stanowczo wolałby czegoś takiego uniknąć.

- Odpuść mu trochę, Valdhaas! - zawołał z góry Paweł - Ambasador ma już swoje lata i nie widzi też najlepiej!

- O nie, Paweł - odkrzyknął Kaspar. - To ja powinienem trochę odpuścić. Stary pies jeszcze pamięta parę sztuczek.

Valdhaas wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i zaatakował. Ostrze pomknęło nisko, celując wprost w nogi Kaspara. Ambasador odruchowo postąpił do przodu i zastawił

się mieczem z zamiarem wkręcenia się za gardę rycerza i zaliczenia celnego uderzenia w bok.

Ale spodziewane uderzenie nie nastąpiło i Kaspar przeżył chwilę prawdziwej grozy, kiedy zauważył miecz rycerza, pędzący wprost ku jego twarzy. Szybki kontratak von Veltena sprawił, że znalazł się o wiele bliżej rycerza, niż ten się spodziewał i miecz Valdhaasa miał

właśnie strzaskać jego czaszkę na kawałeczki.

Tak jakby trzymał lekki, pojedynkowy mieczyk, Bader Valdhaas wstrzymał w ostatniej chwili rozpędzone ostrze, tak że nie ściał głowy Kaspara, ale nie był w stanie zapobiec uderzeniu w ramię. Siła ciosu zerwała naramiennik, który kręcąc się poszybował w powietrze i z trzaskiem upadł na kamienie podwórca. Usłyszał głośne westchnienie obserwatorów i poczuł kleistą wilgoć na karku.

- Ambasadorze! - krzyknął Valdhaas, upuszczając swój miecz i rzucając się w stronę Kaspara.

- W porządku - odrzekł von Velten, niepewnie sięgając do szyi.

Spojrzał w bok i ujrzał przeciętą przeszywanicę oraz porozdzierane kółka kolczugi. Z

płytkiej rany tuż nad obojczykiem sączyła się krew.

- Ambasadorze, przyjmij moje przeprosiny - powiedział strapiony rycerz - Nie sądziłem, że zaryzykujesz i podejdziesz aż tak blisko do ataku.

- Wiem i nie martw się. To był mój błąd. Muszę pamiętać, że nie jestem już młodzieniaszkiem i mam swoje lata.

- Próbowałem ci to powiedzieć, nim wy zaczęli, ale nie słuchałeś Pawła - zaśmiał się Kislevczyk.

- Ale przecież on jest typowym mężczyzną i musiał dać sobie prawie uciąć głowę, by się o tym przekonać - dodał kobiecy głos z akcentem podobnym do tego, który słychać było u Pawła. Dobiał z krużganka pod balkonem, na którym stał Kislevczyk.

Kaspar z uśmiechem na ustach podniósł się na nogi, Valdhaas pomógł mu ze zbroją.

Odwrócił się, by spojrzeć na mówiącą. Była to wysoka kobieta o kasztanowych włosach upiętych w kok z tyłu głowy. Twarz miała pokrytą zmarszczkami, ale pomimo tego urodziwą, nosiła długą, zieloną suknię z białym fartuchem. Na ramionach miała płócienną chustę, bogato zdobioną,

wyszywaną na całej powierzchni.

- Wiem Sofio, wiem - powiedział z rezygnacją Kaspar, ściągnając przez głowę koszulę i pozwalając jej obejrzeć ranę. Odchyliła jego głowę na drugą stronę i ręką koszuli wytarła krew.

- Trzeba będzie zaszyć - oceniła wreszcie - Poczekaj tu przez chwilę.

Rycerze i gwardziści porozchodzili się już, przedstawienie się skończyło i powrócili do swoich zajęć. Kaspar położył rękę na pancerzu Rycerza Pantery.

- Dobra robota, chłopcze. Masz niezwykle wyćwiczoną rękę. Mocarną i, dzięki Sigmarowi, szybką.

- Dziękuję, ambasadorze - Valdhaas skłonił się nisko i odszedł.

Kaspar przysiadł na krawędzi kamiennego koryta i oparł się plecami o żelazną pompę, zaś Sofia namoczyła jego podartą koszulę i oczyściła z jej pomocą ranę.

- Ty jesteś jednak cholernym głupcem. Wiesz o tym, prawda? - stwierdziła bezceremonialnie.

- Jasne. Zresztą ktoś wcześniej już zwrócił mi na to uwagę.

- Nie wątpię, że usłyszysz to po raz kolejny już wkrótce.

Kaspar został przedstawiony Sofii Walencik, kiedy Stefan zatrudnił ją na stanowisku osobistego medyka ambasadora. Pojawiła się trzy dni temu u bram ambasady z pokaźną ilością listów polecających i rozpoczęła pracę od zasugerowania, że musi dokładnie obejrzeć i zbadać Kaspara, by poznać tego, za kogo będzie od tej pory odpowiedzialna.

Pomiędzy przekleństwami rzuconymi w stronę nieszczęsnego Stefana i usiłowaniami przeciwstawienia się jej próbom zdjęcia z niego ubrania, podejmowanym w celu dokładnego egzaminowania nowego pacjenta, Kaspar zasugerował, że nie potrzebuje żadnych kislevskich łapiduchów, by kłuli i obstukiwali jego ciało. Ale Stefan i Sofia nalegali, więc koniec końców zmuszony był się poddać.

Sofia Walencik często bywała oschła, nie czuła żadnego respektu dla jego stanowiska ani pozycji i najwyraźniej miała gdzieś dzielącą ich przepaść społeczną. Ale jednocześnie Kaspar odkrył u niej nie znający respektu dla żadnych świętości rodzaj humoru. Jej zachowanie było zawsze szczere i uczciwe, a jeśli nie podobał ci się jej sposób bycia, to mogłeś sobie iść do demona.

Kaspar polubił ją niezmiernie, prawie od samego początku połączyła ich nić sympatii.

- Mężczyzna w twoim wieku wywijający mieczami... No nie wiem - stwierdziła, kręcąc głową i wyciągając dratwę oraz zakrzywioną igłę z kieszeni fartucha.

- Wcale nie wywijalem - zaoponował Kaspar, przeklinając fakt, że tłumaczy się jak łajany właśnie chłopiec. Sofia nawlekła igłę i wbiła ją w skórę. Von Velten zagryzł zęby, kiedy z wielką wprawą i starannością zszywała rozcięcie. Po chwili wyciągnęła długą końcówkę nici i obcięła ją małym,

kieszonkowym nożykiem.

- Skończone - oznajmiła - ramię zupełnie jak nowe.
- Dziękuję, Sofio, to było prawie bezbolesne.
- Lepiej podziękuj bogom, że nie zapomniałam wziąć dziś ze sobą swojej małej igielki
- uśmiechnęła się szelmowsko.

II

Miasto buzowało życiem. Jednak po wyjaśnieniach, jakich udzielił mu Paweł, ambasador widział teraz wyraźnie, że wielu z ludzi wypełniających ulice i parki nie jest tak naprawdę jego mieszkańcami. Widać było u nich wyraźnie zdziwienie i lekki przestrah, charakterystyczne dla wieśniaków odwiedzających duże miasta. Nawet w przeciągu tych kilku krótkich tygodni, jakie tu spędził, Kaspar zauważył, że codziennie pojawiała się tu coraz więcej takich ludzi.

W tych rzadkich przypadkach, kiedy wyjeżdżał poza miejskie mury, by zobaczyć jak Rycerze Pantery ćwiczą żołnierzy z ambasady, widział zawsze nieprzerwaną kolumnę ludzi, wozów i zaprzęgów zmierzających drogami na południe. Jedyne ruch, jaki odbywał się w przeciwnym kierunku, stanowiły nieliczne barki rzeczne z Imperium, głęboko zanurzone w ciemne wody Urskoj, przywożące tu jakże potrzebne zaopatrzenie. Miejskie zapasy ziarna były już solidnie naruszone, a sytuacja mogła się jedynie pogorszyć, jeżeli ciągły strumień uchodźców z północy nie ustanie.

Kaspar wysłał wiele listów do handlujących w Kislevie kupców z Imperium, próbując zabezpieczyć zaopatrzenie dla porozrzucanych niedobitków regimentów imperialnych, ale jak do tej pory nie miał zbyt wiele szczęścia i nie uzyskał spodziewanej pomocy.

Za każdym razem, kiedy barka rzeczna prędko odpływała po wyładowaniu towarów, które wiozła, Kaspar upewniał się, że jej kapitan zabiera ze sobą do Altdorfu zapieczętowane listy. Pytał w nich o wiadomości z domu, żądał lepszego zaopatrzenia i wypytywał o toczącą się wojnę.

W mieście panowało już bardzo duże napięcie i kilka razy brutalne bójki o jedzenie zostały rozpędzone przez straż miejską i Czekistów. Miasto wypełniało się już do granic możliwości i zważywszy na to, że niedługo mogło zostać oblężone, nie był to dobry znak. Na wiosnę znów rozgorzeje wojna. Kaspar zdawał sobie sprawę, że wkrótce Caryca będzie zmuszona zamknąć bramy miasta i odmówić wielu ludziom schronienia w miejskich murach.

Sam już był kiedyś zmuszony dokonać takiego wyboru i nie zazdrościł Królowej Lodu momentu, kiedy będzie musiała podjąć tę decyzję. Wciąż jeszcze pamiętał twarze o błagalnym wyrazie poza murami Hauptburga, kiedy zmuszony był zawrzeć bramy, by uratować to górskie miasto przed rabującymi i niszczącymi wszystko na swej drodze plemionami zielonoskórych.

Zdesperowane oczy patrzyły na niego z każdej ulicy i wysadzanego drzewami bulwaru, oblicza wypatrujące jakiegokolwiek nadziei, której on nie mógł im dać. Czasami pośród tłumu widywał odzianych na czarno Czekistów i zastanawiał się, czy to Paszenko kazał go śledzić. Wcale by się nie

zdziwił, gdyby rzeczywiście tak było, ale w żaden sposób nie mógł temu zapobiec, kiedy wraz z dwoma rycerzami jechał powoli w dół Prospektu Urskoj, kierując się do domu Anastazji Wilkowej.

Kobieta ta intrygowała Kaspara, i pomimo że nie chciał drażnić po raz kolejny zazdrosnego i wojowniczego Saszy Kajetana zorientował się, że myślami wraca wciąż do jej ciemnych włosów, zielonych oczu i pełnych warg. Nie było wątpliwości, że coś go do niej ciągnęło. Wierzył, choć widzieli się zaledwie przez chwilę, że coś pomiędzy nimi zaiskrzyło.

Nie był pewien, czy nie było to tylko jego pobożne życzenie, ale postanowił to sprawdzić i jechał właśnie w towarzystwie rycerzy w kierunku południowej, bardziej bogatej części Kisleva. Była to prawdopodobnie bezcelowa wyprawa, ale wiele lat temu Kaspar obiecał sobie, że nie będzie nigdy wypuszczał z rąk nadarzających się okazji. Nieważne, jak bardzo byłyby nieprawdopodobne.

Kiedy Sofia skończyła zszywać mu ranę i posmarowała ją jakąś miło pachnącą maścią, oboje usiedli razem, smakując jakieś słodkie, lecznicze zioła i wtedy też zapytał ją o Anastazję Wilkową.

- Ona jest szlachcianką - taka była rzeczowa odpowiedź Sofii - A skąd ją znasz?

- Właściwie wcale jej nie znam - wyjaśnił Kaspar - spotkałem ją w Pałacu Zimowym na zesłotygodniowym przyjęciu i zaprosiła mnie do siebie.

- Rozumiem - zamyśliła się. - Ale bądź bardzo ostrożny. Słyszałam, że upodobał ją sobie Sasza Kajetan.

- Tak jest. Miałem okazję odczuć to na własnej skórze.

- Nie wiem o niej zbyt wiele, nie więcej niż ludzie mówią, naprawdę. Wiem tylko, że pochodzi z Praag i że jej mąż został zamordowany jakieś sześć, siedem lat temu.

Prawdopodobnie wskutek przypadkowego ataku jakichś wędrownych zbirów. Zaraz potem przejęła wszystkie jego interesy.

- Czemu powiedziałaś „prawdopodobnie”?

- No tak, otóż mówiło się, że jej mąż był zaangażowany w kilka, powiedzmy sobie, ryzykownych interesów z ludźmi, którzy konkurowali z przestępczym podziemiem.

- Mów dalej.

- Powiadano, że jeden z hersztów bandytów wreszcie znudził się tą konkurencją i nakazał swym ludziom, by tropili męża Anastazji, kiedy wracał do siebie z pewnego domu o szemranej reputacji.

- To bękart.

- Kto? - parsknęła Sofia - Mąż, odwiedzający kurewski przybytek, czy też przywódca bandy, który wydał na niego wyrok?

- Wiesz, o co mi chodzi. Nie dworuj sobie, nie udawaj głupszej niż jesteś, bo to do ciebie nie pasuje.

Sofia przekornie pokazała mu język i ciągnęła dalej:

- Tak jak już mówiłam, madame Wilkowa przejęła interesy swojego zmarłego tragicznie męża. Natychmiast też odcięła się od wszelkich działań, które stawiały ją w pozycji konkurentki dla przestępców. Jest teraz całkiem bogatą osobą. Mówi się też, że przeznaczą spore sumy na przeróżne hospicja i domy pomocy w mieście.

- Jest więc filantropem.

- Właśnie. Jest jedną z nielicznych osób pośród naszej szlachty, której naprawdę należy się to miano - zgodziła się Sofia. - Ciekawe, czegoż od ciebie chce, skoro zaprosiła cię do domu?

- Tego niestety nie zdążyła mi powiedzieć.

- Być może zadurzyła się w tobie - zaśmiała się Sofia.

- Być może. Tak trudno to sobie wyobrazić? - spytał Kaspar bardziej oschle niż zamierzał.

- Wcale nie. Jesteś jeszcze całkiem niezłą partią.

- Teraz drwisz sobie ze mnie - stwierdził ambasador, wstając z kamiennej cembrowiny fontanny.

- Tylko troszkę - przytaknęła mu z uśmiechem Sofia.

Kaspar zostawił Sofię na podwórku i udał się do swoich prywatnych komnat, by zażyć kąpieli i przebrać się przed opuszczeniem ambasady i podróżą do domu Anastazji. Z początku chciał tam jechać samotnie, ale Kurt Bremen był nieprzejednany i nie chciał pozwolić ambasadorowi na tak niebezpieczną eskapadę bez obstawy. Wszyscy pamiętali jeszcze, jak Czekiści brutalnie rozpędzili tłum tuż pod bramą ambasady.

Gdy myślał o śmierci tego bojara, wciąż nie był pewny, co ma myśleć o przedziwnych okolicznościach, które jej towarzyszyły. Jego praktyczny umysł nauczył go, by nie wierzył w podobne zbiegi okoliczności. Nie mógł się pozbyć denerwującego przeczucia, że ta śmierć jeszcze okaże się być powiązana z jego osobą w jakiś tajemniczy sposób. W jaki, tego jeszcze nie wiedział, ale nie był typem człowieka, który pozostawia takie sprawy własnemu biegowi.

Kaspar już próbował dowiedzieć się jakie, jeśli w ogóle, koneksje miał nieżyjący bojar Kowowicz z przedstawicielami światka przestępczego. Miał nadzieję, że ten trop zawiedzie go do Czekatila.

Pokierował koniem w bok, w brukowaną uliczkę. Tabliczka wisząca na budynku z czarnego kamienia informowała, że uliczka nazywa się Magnustrasse. Jej pochodząca z Imperium nazwa bardzo go zaskoczyła.

- Może jednak oni aż tak nas wcale nie nienawidzą, co? - stwierdził.

- Nie, ambasadorze - odparł Valdhaas, który wciąż czuł się winny z powodu zranienia swego dowódcy.

Ulica była mniej zatłoczona niż te znajdujące się bliżej centrum i Kaspar niemal namacalnie czuł otaczające go bogactwo. Czyste, pokryte tynkiem mury, zwieńczone tłuczonym w moździerzku szkłem, otaczały domy zamożnej szlachty Kisleva. Były na tyle wysokie, że odstraszały z pewnością wszystkich nieproszonych gości, może za wyjątkiem tych najbardziej natarczywych.

Jechali wzdłuż ulicy, dopóki nie dotarli do skweru, na którym rosły wiecznie zielone topole. Według wskazówek z kartki, którą otrzymał w Pałacu Zimowym, topole powinny się znajdować dokładnie naprzeciwko domu Anastazji.

Dom ten otoczony był murem, pokrytym dużymi płytkami. Do środka prowadził

otwarty wjazd. Za ogrodzeniem Kaspar zobaczył zaprojektowany ze smakiem budynek, stojący na końcu brukowanej uliczki. Otoczony był przepięknym, bujnym i doskonale utrzymanym ogrodem, pełnym ziół, żywopłotów i kolorowych kwiatów.

Von Velten zauważył też samą Anastazję. Klęczała w ogrodzie tuż przed krzaczkami jakichś ziół i niewielką łopatką uklepywała świeżo przekopany czarnoziem. Kaspara zakłuło w sercu bolesne poczucie déjà vu. Zmusił się do uśmiechu, kiedy go zobaczyła i zamachała w jego stronę. Ruszyła mu na spotkanie.

- Tak się cieszę, że przyszedłeś - powiedziała.

III

Kaspar zorientował się bardzo szybko, iż Sofia nie myliła się, określając Anastazję jako bardzo bogatą osobę. Tuż za bramą ich końmi zajęli się odziani w zielone liberie służący, którzy poprowadzili zwierzęta w kierunku długiego budynku stajni, opierającego się o wewnętrzną stronę muru. W tym samym czasie służki przyniosły jeźdźcom napoje na ochłodę.

Kaspar i rycerze otrzymali oszronione szklanice jabłkowego soku, w którym pływały kawałki pokruszonego lodu. Już sama obecność lodu wiele mówiła o bogactwie tej kobiety.

Rzadko kto mógł sobie pozwolić na utrzymywanie specjalnego pomieszczenia pod domem, gdzie powietrze było zawsze zimne dzięki magicznym zdolnościom mistrzów lodu z Kisleva.

Towarzyszący Kasparowi rycerze dyskretnie pozostali przy wejściu do domostwa, podczas gdy on wraz z Anastazją przeszli do wyłożonego dębową boazerią pokoju gościnnego o wysokim, alabastrowym suficie. Na lśniącej, drewnianej podłodze leżał

rozłożony puszysty dywan, ozdobiony wzorem skręcających i splatających się smoków.

Całe wnętrze domu świadczyło o wielkim bogactwie, lecz nie ostentacyjnym, ale wysmakowanym, w dobrym guście. Każdy pokój był elegancko wyposażony, lecz nie atakował gościa przesadnym zbytkiem, tak jak miało to miejsce w przypadku wielu zamków szlachty z Imperium. Tam każdy ką

niał za zadanie pokazać, jak zamożny jest właściciel posiadłości.

Kaspar z Anastazją usiedli na kosztownym dywanie i rozmawiali niczym starzy przyjaciele o jakichś mało ważnych rzeczach. Beztronski nastrój trwał do momentu, gdy rozmowa zesłała na śmierć bojara Kowowicza.

- Słyszałam o tym przerażającym morderstwie i o sprawie z tym głupcem Paszenko -

powiedziała Anastazja. - To nie do pomyślenia, żeby człowiek taki jak ty był posądzony o związek z tak strasliwym mordem.

- Tak, to było dość śmieszne - zgodził się ambasador.

- Ale co sprawiło, że Paszenko podejrzewał w całej tej sprawie jakiś związek z tobą?

Kaspar wzruszył ramionami.

- Ludzie w Pałacu Zimowym widzieli, jak między mną a bojarem wywiązała się sprzeczka i Paszenko doszedł do błędnych wniosków.

- Ho! Paszenko jest niekulturny i jeśli chciałby zaaresztować wszystkich ludzi, którzy mieli jakieś zatargi z Kowowiczem, to pół Kisleva musiałoby już siedzieć u Czekistów.

- Mam przez to rozumieć, że nie był on zbyt lubiany i popularny? - zapytał Kaspar.

- Nieszczerólnie - przytaknęła Anastazja. - Był gburowaty, a jego żona powinna chyba zostać aktorką po przedstawieniu, jakie dała przed bramą twojej ambasady. Wszyscy mówili, że bojar bił ją bez litości, tak więc jej rozpacz jest dla mnie zupełnie niezrozumiała.

Kaspar potrząsnął głową. Teraz, kiedy dowiedział się więcej na temat Aleksieja Kowowicza, nie było mu już tak szkoda tego człowieka. Był pijakiem i madame Kowowicz z pewnością będzie o wiele szczęśliwsza i bezpieczniejsza bez niego. Dokończył swój sok i odstawił szklanice na ręcznie rzeźbiony, orzechowy stół, stojący tuż obok dywanu.

- Ale dość już o tym, Kasparze - powiedziała wesoło Anastazja - Obecne czasy są już wystarczająco ponure bez naszych narzekania i opowieści. Powiedz mi coś o sobie. Jestem zaintrygowana. Chciałabym się dowiedzieć, co sprawiło, że człowiek taki jak ty przybył do Kisleva w tak niesprzyjających czasach.

- Zostałem tu przysłany przez mojego Imperatora.

- Och, daj spokój. Musi być w tym coś więcej. Obraziłeś może kogoś na wysokim stanowisku i to sprawiło, że dostałeś tak niekorzystny przydział?

- Niekorzystny? Czemu tak mówisz?

- Ponieważ twoje obecne stanowisko nie przyniesie ci z pewnością ani bogactwa, ani prestiżu.

Gdybyś był w tej chwili w sercu dyplomatycznej aktywności, w Marienburgu powiedzmy, albo na przykład Bordeleaux, mógłby to być wstęp do ministerialnej kariery.

Albo może gdzieś w Tilei? Słyszałam, że tam przynajmniej klimat jest łaskawy i przyjemny.

W porównaniu z nimi Kislev nie niesie ze sobą aż tylu atrakcji, prawda? Powiedz mi więc, ale tak poważnie, dlaczego przyjechałeś właśnie tutaj?

- Już ci mówiłem. Imperator poprosił mnie, bym objął to stanowisko i przystałem na jego propozycję.

- Tak po prostu?

Kaspar skinął głową.

- Służyłem w armii Imperium przez prawie cztery dziesięciolecia. Przyjąłem żołd Imperatora Luitpolda, gdy miałem szesnaście lat. Przez sześć lat służyłem w regimencie pikinierów. W tym czasie walczyłem w Averlandzie przeciwko kolejnym potężnym przywódcom orków. Zeszliśmy cały kraj wzdłuż i wszerz, zdobyliśmy niemałą sławę, tępiąc stwory polujące na ludzi w mrocznych ostępach, pokonując plemiona barbarzyńców nadchodzących z północy, plądrujących Averland i Ostermark. Walczyliśmy ze wszystkimi wrogami, którzy przychodzili tu, by mordować. Po pewnym czasie zostałem dowódcą regimentu i walczyłem ramię w ramię z samym Imperatorem Karlem Franzem w bitwie pod Norduin. Przez lata awansowałem, by wreszcie dowodzić całymi armiami w imieniu mojego władcy.

- To niesamowita historia - westchnęła podekscytowana Anastazja.

Na twarzy Kaspara pojawił się lekki uśmiech.

- Być może, ale mój naród jest teraz w potrzebie i jeśli ma przetrwać, potrzebuje ludzi, którzy rozumieją prawa wojny i potrafią stanąć naprzeciwko wroga. Dyplomacja i negocjacje to jedno, ale przychodzi taki czas, kiedy człowiek musi być gotów walczyć za to, co jest właściwe i dobre. Kislev nie jest może zbyt wspaniałym miejscem dla kogoś, kto poszukuje sławy, ale jeśli przyjeżdżając tu mogę pomóc armiom mojego kraju przetrwać nadchodzącą inwazję, to właśnie tutaj powinienem się znaleźć.

Tym razem uśmiechnęła się Anastazja.

- W takim razie jesteś wielkim patriotą i altruistą. Ludzie tacy jak ty są obecnie rzadkością.

- Chyba nie aż tak wielką jak myślisz.

Anastazja zaśmiała się i zapytała:

- Czemu w takim razie wcześniej porzuciłeś służbę dla Imperatora?

Uśmiech zniknął nagle z twarzy ambasadora.

- Moja żona, Madeline, miała słabe serce i moje ciągłe nieobecności miały bardzo zły wpływ na jej zdrowie - odpowiedział melancholijnym tonem. - Kiedy powróciłem do domu z wojny w Księstwach Granicznych, postanowiłem opuścić służbę i osiedliliśmy się w Nuln.

- Rozumiem. A twoja żona... oczekuje cię teraz pewnie, wygląda twojego powrotu?

- Nie - odpowiedział Kaspar, kręcąc głową. - Madeline zmarła trzy lata temu. Upadła na ziemię w ogrodzie, gdzie zajmowała się właśnie swoimi różami. Kapłan Morra stwierdził, że po prostu poddało się jej serce. Nie było w stanie już dłużej wtłaczać w nią życia. Mówił, że nic nie czuła. Było to, jak sądzę, swego rodzaju błogosławieństwo.

- Tak mi przykro, Kasparze - rzekła Anastazja, przesuwając się po dywanie i ujmując jego dłonie. - To było bezmyślne z mojej strony. Proszę, wybacz mi. Nie chciałam wywoływać w tobie takich bolesnych wspomnień.

- Wszystko w porządku, Anastazjo, nie mogłaś przecież wiedzieć.

- Może i nie, ale powinnam była sama pomyśleć. Ja także wiem, jak to jest stracić ukochaną osobę. Andrzej, mój mąż, został zamordowany sześć lat temu.

Kaspar wyciągnął dłoń i starł łzę, zbierającą się w kąciuku oka kobiety.

- Przykro mi. Złapano tego mordercę?

- Ha! Straż miejska i Czekiści nie ruszyli nawet palcem! Andrzej, Ursunie świeć nad jego duszą, był z jednej strony niezwykle kochany, a z drugiej niesamowicie naiwny. Bez mojej wiedzy zainwestował część swoich pieniędzy w kilka dość ryzykownych przedsięwzięć, związanych z osobą niejakiego Czekatilo.

Kaspar miał już jeden powód, by nie za bardzo lubić tego człowieka. Teraz znalazł się kolejny.

- Znam tego Herr Czekatilo - powiedział głośno.

- Nikt nie wie tego na pewno, ale powiedziano mi, że Andrzej wracał właśnie do domu ze spotkania w Gildii Kupieckiej. Dopadli go jacyś ludzie, zrabowali sakiewkę i zatłukli na śmierć żelaznym drągiem.

Kaspar pomyślał o innej wersji tej opowieści, tej, którą wcześniej przekazała mu Sofia, i podziękował w myślach temu, kto oszczędził Anastazji szczegółów na temat tego, skąd tak naprawdę wracał do domu jej mąż.

- Oczywiście nic nie zostało w tej sprawie zrobione, ale ja znam prawdę. Nie mogę niczego udowodnić, ale wiem, po prostu czuję, że to ten parszywiec Czekatilo maczał swoje paluchy w śmierci Andrzeja.

Oczy Anastazji wypełniły się łzami. Ukryła twarz w dłoniach.

- Przepraszam. Przepraszam za ten wybuch, ale na samą myśl o tym śmieciu, bezczelnie chodzącym sobie bezkarnie po ulicach, nie mogę się opanować.

Kaspar pochylił się nad nią i objął ręką jej ramiona, nie wiedząc, co ma powiedzieć, żeby ją pocieszyć. Zamiast tego przyciągnął ją do siebie i pozwolił, by ułożyła głowę na jego ramieniu. Jej łzy zmieszane z barwiczką do oczu pozostawiły mu na kaftanie ciemne smugi.

- Nie martw się - powiedział Kaspar - Nie pozwolę mu skrzywdzić cię ponownie.

IV

Kaspar wręczył monetę trzymającemu jego wierzchowca stajennemu. Z

zadowoleniem zauważył, że mężczyzna zajął się zwierzęciem, znalazł czas, by wyszczotkować jego srebrzystą grzywę i ogon, a także oczyścił kopyta z kamyków. Chwył

łęk i wskoczył na siodło, rzucając jednocześnie okiem na dom Anastazji.

Przez pewien czas znajdowali ukojenie w swoich ramionach, aż wreszcie Kaspar zdecydował, że powinien zostawić ją sam na sam z jej smutkiem i wracać do ambasady.

Wciąż jednak czuł zapach jej włosów i skóry. Nawet wtedy, gdy razem z dwoma Rycerzami Pantery kierował się z powrotem na Magnustrasse.

Zbliżał się zmierzch i słońce z wolna chowało się za linię budynków stojących na zachodzie. Kaspar spostrzegł sześciu jeźdźców na końcu ulicy, okolonych oślepiającymi promieniami nisko stojącego słońca. Serce w nim zamarło, gdy rozpoznał spiczastą czapę Saszy Kajetana. Kislevczyk cwałował w ich kierunku, mając u boku pięciu muskularnych, poznaczonych bliznami towarzyszy. Twarz Kajetana była zimna, a jego oczy pałały nietajoną wściekłością.

- Na krew Sigmara, tylko nie to - syknął Kaspar, wypuszczając powietrze.

Obaj Rycerze Pantery wysforowali się do przodu i zasłonili go. Wodze owinęli dookoła lewych dłoni, a prawe ostrzegawczo położyli na rękojeściach mieczy.

- Zignorujcie ich. Spróbujemy przejechać obok - rozkazał Kaspar.

Valdhaas skinął głową i cała trójka skierowała się na bok, trzymając się jednej strony ulicy. Rycerze wciąż odgradzali ambasadora od Kajetana i jego ludzi.

Jednak ten nie dał się tak łatwo wywieść w pole. Jego podkomendni uformowali linię i zajęli całą szerokość drogi. Kaspar wsunął rękę pod połę płaszcza i odciągnął kurek trzymanego tam pistoletu.

- Co tutaj robisz?! - warknął Kajetan.

Kaspar zignorował go. Wzrok miał skupiony na odległym końcu ulicy, palec delikatnie opierał się na zakrzywionym, srebrnym jęczyczku spustowym. Zauważył kolejną grupę zebranych nieopodal konnych,

ale blask zachodzącego słońca nie pozwolił mu ich zidentyfikować. Kaspar i rycerze wciąż jechali do przodu, ale Kajetan i jego woje zręcznie zmusili swoje wierzchowce do cofania się. Wreszcie spojrzenia Kislevczyka i ambasadora spotkały się.

- Zadałem ci pytanie, człowieku z Imperium.

- A ja cię zignorowałem.

Nagle w rękę Kajetana znalazła się szabla. Nastąpiło to tak szybko, że Kaspar ledwie zdążył zauważyć, jak broń opuszcza pochwę.

- Kiedy ja zadaję pytanie, spodziewam się odpowiedzi.

Valdhaas i drugi z rycerzy prędko dobyli mieczy i Kaspar, uświadamiając sobie, że sytuacja może się w każdej chwili wymknąć spod kontroli, rzekł prędko:

- Jeżeli musisz wiedzieć, to byłem z wizytą u przyjaciółki. Madame Wilkowa zaprosiła mnie do siebie, a ja z chęcią przyjąłem to miłe zaproszenie.

- Mówiłem ci już, żebyś się trzymał od niej z daleka - warknął Kajetan.

- Robię to, co uważam za stosowne, Herr Kajetan, i nie sędzę, bym był w jakikolwiek sposób zależny od ciebie jeśli chodzi o to, kogo chcę odwiedzić - odparł von Velten. W tym samym momencie zauważył, że wzrok Kislevczyka zatrzymuje się na ramieniu jego tuniki i uświadomił sobie prędko, na co patrzy w tej chwili Kajetan.

Rozmazane ciemne plamy, pozostawione przez barwnik do oczu Anastazji.

Oczy Kajetana rozszerzyły się. Mocno zacisnął szczęki.

Kaspar uświadomił sobie błyskawicznie co się zaraz stanie i wyszarpnął zza płaszcza przygotowany do strzału pistolet. Wycelował nim dokładnie między oczy Kislevczyka. Ten zamarł. Jedyne w kącikach jego ust wciąż igrał lekki uśmiech.

- Chcesz mnie zastrzelić, człowieku z Imperium?

- Jeżeli będę musiał - odparł Kaspar.

- Moi ludzie zabiją cię zaraz po tym - zapewnił Kislevczyk.

- Wiem, prawdopodobnie tak się właśnie stanie, ale ty i tak będziesz już martwy.

- Bez znaczenia - wzruszył ramionami Kajetan i zszokowany von Velten uświadomił sobie, że tamten mówi to zupełnie poważnie.

Moment kompletnego bezruchu ciągnął się przez długie sekundy, zanim przerwał go jakiś głos,

dobiegający zza pleców Saszy Kajetana i jego ludzi.

- Ambasador von Velten, Sasza Kajetan. Byłbym niezwykle wdzięczny, gdybyście obaj opuścili swą broń. Moi ludzie trzymają was wszystkich na muszkach i zapewniam was, są doskonałymi strzelcami.

Kaspar ostrożnie odwrócił wzrok od twarzy Saszy i ujrzał Władymira Paszenkę oraz dziesięciu innych konnych Czekistów. Wszyscy dzierżyli w dłoniach krótkie muszkiety.

Celowali w obie zwaśnione grupy.

- Zróbcie to, co mówiłem. Proszę - ciągnął Paszenko. Rozległa się seria głośnych trzasków. To Czekiści odciągnęli kurki muszkietów.

Kaspar opuścił pistolet i powoli schował go do olstra. W tym samym czasie Kajetan wsuwał do pochwy swoją zakrzywioną, kawaleryjską szablę.

Dowódca Czekistów zbliżył się, nie zsiadając z konia. Wjechał pomiędzy Kaspara i Kajetana.

- Wygląda na to, że przyciągasz nieszczęścia, ambasadorze - stwierdził swobodnie Paszenko.

- Nakazałeś swoim ludziom mnie śledzić? - zapytał von Velten.

- To oczywiste - odpowiedział Czekista, jakby była to najbardziej naturalna rzecz na całym świecie i Kaspar nie powinien być wcale zaskoczony. - Jesteś potencjalnym podejrzanym w sprawie zabójstwa, dlatego nie miałbym cię obserwować? No i wygląda na to, że powinieneś być szczęśliwy, iż tak właśnie postanowiłem. Ten niewielki dramat z pewnością zakończyłby się dla ciebie tragicznie, gdybyśmy nie wkroczyli, jestem o tym przekonany.

Kajetan wydał pogardliwie wargi, a Paszenko zwrócił się z kolei do niego.

- Nie myśl, że twoja reputacja chroni cię przed zwróceniem na ciebie mojej uwagi, Sasza. Gdybym pozwolił ci zabić tego człowieka, zadyndałbyś na sznurze na Placu Bohaterów jeszcze zanim ten tydzień dobiegłby końca.

- Chciałbym zobaczyć, jak próbujesz to zrobić - odparował Kajetan. Splunął na ziemię pod nogi Kaspara, obrócił konia i pogalopował na wschód. Tuż za nim spieszyli jego ludzie.

Von Velten poczuł, jak opuszcza go napięcie, kiedy patrzył na odjeżdżającego Kislevczyka. Przeciągnął dłonią po głowie i wypuścił powietrze. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że przez cały czas wstrzymywał oddech.

- Na waszym miejscu - poradził Paszenko - trzymałbym się z dala od niego. Jest zakochany w madame Wilkowej, a miłość potrafi popchnąć mężczyznę do różnych głupich rzeczy.

Pomimo swej niechęci do Czekistów Kaspar zmusił się, by okazać Paszence odrobinę wdzięczności.

- Dziękuję za pomoc, Herr Paszenko. Cała ta sytuacja mogła się bardzo łatwo wymknąć spod

kontroli.

- Nie rozpędzaj się tak z podziękowaniami Herr ambasador. Po części byłbym nawet całkiem zadowolony, gdyby Sasza cię zabił, ale jest bohaterem dla naszych ludzi i byłoby mi bardzo przykro, gdybym musiał go powiesić.

Paszenko zawrócił konia i dodał jeszcze na odchodnym:

- Ale ty nie posiadasz takich przywilejów, ambasadorze, więc uważałbym na twoim miejscu, do kogo mierzę z pistoletu.

ROZDZIAŁ 5

I

Pierwszy śnieg spadł na Kislev o zmierzchu Mitterherbstu - dnia poświęconego Ulrykowi, bogu wojny i zimy. Kapłani Ulryka radowali się, spoglądając na pierwsze płatki spadające z nieba o kolorze ołowiu, ogłaszając wszem i wobec, że przychylność wilczego boga jest z nimi. Inni nie byli tego równie pewni - śniegi i spadająca wciąż temperatura oznaczały jednak z pewnością wielkie cierpienia i smutek pośród tysięcy uchodźców, wypełniających miasto i koczujących w pękających już w szwach prymitywnych obozowiskach za miejskimi murami.

Z każdym dniem niekończący się strumień uchodźców z północy jeszcze się powiększał, aż Caryca była wreszcie zmuszona wydać rozkaz zamknięcia bram miasta.

Stolica nie była już w stanie pomieścić większej liczby ludzi. Kislevska biedota z charakterystyczną dla siebie praktycznością ruszyła więc dalej na południe - ku Imperium - w desperackiej próbie oddalenia się jak najbardziej od niebezpieczeństwa. Ci, którzy pozostali, utworzyli dla siebie najlepsze schronienia, na jakie mogli sobie pozwolić wykorzystując swój skromny dobytek i koczowali na zewnątrz, pomiędzy rozsianymi tam obozami żołnierzy Imperium i Kisleva.

Wraz ze wzrostem liczby ludności coraz częściej dawało się słyszeć imię tego potwora, który wypędził ich z domostw. Zaczęło się od cichych rozmów przy ogniskach i wkrótce rozrosło w opowieściach, przybierając przerażające rozmiary - imię to zaczęło żyć własnym życiem i nabrało mocy. Dookoła krążyły historie o spalonych do cna stanicach, kobietach i dzieciach wycinanych w pień. Wraz z kolejnymi mijającymi dniami przypisywano temu potworowi wszelkie okrucieństwa i niegodziwości, coraz więcej i więcej straszliwych opowieści krążyło od ogniska do ogniska.

Powiadano, że jego woje rozpruli brzuchy wszystkich mieszkańców żyjących w stancy Ramejk i nabili ich potem na zaostrome, sosnowe pale, z których zbudowana była palisada. Padlinożerne ptaki ucztowały na wciąż żywych ludziach przez kilka dni, a cała ta makabryczna scenografia została pozostawiona jako świadectwo triumfu bestii.

Pozostaje tajemnicą, kto pierwszy przekazał dalej samo imię. Być może zresztą wcale nie było to imię, ale omyłkowo zasłyszany okrzyk bojowy, albo też jakiś przeklęty talizman, przekazywany z rak do rąk przez kolejnych barbarzyńskich wojów, niosących na południe terror i zniszczenie.

Bez względu na to, jak było w rzeczywistości, szeroko dyskutowano fakt, iż Aelfric Cyenwulf, wielki wódz północnych plemion i ulubiony adiutant samego przerażającego Archaona, przybył do Kisleva. Najazdy wodzów Kurgan nie były niczym nowym, najstarsi mężczyźni i kobiety mieszkający pośród stepów pamiętali wielu żądnych krwi przywódców barbarzyńców, którzy przychodzili i odchodzili. Wiedzieli doskonale, że plemiona z północy już wielokrotnie najeżdżały ich ojczyznę. Wszyscy jednak rozumieli, że tym razem było to coś zupełnie innego.

Tym razem szczepy z północy nie nadchodziły, by rabować. Tym razem przyszły tu, by niszczyć.

II

Kaspar patrzył na śnieg syjący się z ciemniejącego nieba i z mieszaniną niepokoju i ulgi przyglądał się zębataj blankom miejskich murów. Śnieg powinien spowolnić postępy nadchodzącej armii i według wszelkiego prawdopodobieństwa spowodować, że wycofa się ona na zimę do swoich kwater. W innym razie groziłoby jej zniszczenie z powodu głodu i okrutnego mrozu.

Pomimo tego, iż padający śnieg był bardzo drobny i rzadki, Kaspar wiedział

doskonale, że naturalna dla Kisleva lodowata zima zbliża się wielkimi krokami. Dzielili ich od niej w najlepszym razie jakieś dwa tygodnie. Kiedy wreszcie nadejdzie, schwyci wszystko w swój mroźny uścisk i pokryje cały kraj niekończącym się dywanem śniegu. Kislevczycy nazywali ten okres Raspostitsa, co oznaczało brak dróg. Jakiegokolwiek podróżowanie w tym czasie było praktycznie niemożliwe, jako że każda ścieżka i trakt były ukryte głęboko pod białym całunem.

Odwrócił się od murów i nieregularnych kolumn dymu, skręcających się w podmuchach ostrego wiatru, dmącego od strony północnego województwa. Setki małych ogni gorzały w obozowiskach na zewnątrz miasta. Ludzie gromadzili się dookoła nich, by ogrzać się choć trochę. Najbardziej wrażliwi na ekstremalne warunki już umierali - najstarsi i najmłodszy, nie potrafiący przetrwać przejmującego mrozu i braku jedzenia. Pozbawieni zaopatrzenia i wieści z domu obozujący tuż obok żołnierze radzili sobie tylko trochę lepiej.

Ich morale prawie nie istniało.

Kaspar wiedział, że to najprostsze rzeczy utrzymywały motywację żołnierza i podtrzymywały jego wiarę. Pobudzająca do czynu przemowa dowódcy mogła rozpać w jego sercu ogień, ale ciepły posiłek i kilka kropli alkoholu były zdecydowanie bardziej oczekiwane i pożądane. Jak dotąd żołnierze Imperium nie mieli ani jednego, ani drugiego, ale Kaspar właśnie miał zamiar temu zaradzić.

Obserwował konwój piętnastu długich, rzecznych barek, statecznie płynących wzdłuż rzeki Urskoj, zmierzających poprzez ciemne wody wprost ku kracie zachodniej bramy rzecznej. Załoga opuściła żagle na prowadzącej barce, kiedy ta wpłynęła w cień wysokich murów. Kaspar zauważył nazwę jednostki wymalowaną na kadłubie, tuż ponad lustrem wody, i podązał za nią wzrokiem, gdy ta wyłoniła się wreszcie z bramy i kierowała się w górę rzeki, do doków.

Paweł Korowicz i Kurt Bremen wspięli się po schodach, by dołączyć do niego na murze.

- To oni? - zapytał rycerz.

Kaspar przytaknął skinieniem głowy.

- Tak jest. Pierwsza barka to Dziewica Scheerlagena, to na pewno oni. Wasi ludzie są gotowi?

- Gotowi - potwierdził Bremen.

- Ruszajmy więc.

III

Podążali za barkami, kiedy te powoli zmierzały ku głównym dokom miasta. Kaspar nie był żeglarzem, już jako młodzieniec zniecierliwiał wszelkie podróże drogą wodną, ale nawet on mógł stwierdzić, że każda z łodzi jest niebezpiecznie przeciążona. Powolne wody rzeki niemal przelewały się przez burty. Niektóre ulice były tak zapchane ludźmi, że kilkakrotnie zmuszeni byli znaleźć jakąś okężną drogę. Było to dość frustrujące i tracili wtedy z oczu posuwający się wolno konwój. Na szczęście nie było trudno odnaleźć go ponownie. Ruchu na rzece prawie nie było, większość kapitanów popłynęła na południe do Talabeku i wiozła towary jeszcze dalej, do Nuln i Altdorfu.

Cała grupa przedstawiała sobą dość osobliwy widok. Mężczyzna o oczywistej wysokiej pozycji społecznej, jadący wraz z brodatym Kislevczykiem, siedzącym na chwiejącym się na boki pod jego ciężarem wierzchowcu w towarzystwie szesnastu rycerzy w połyskujących pancerzach. Wszędzie śledziły ich ciekawskie spojrzenia przechodniów.

Załogi barek rzecznych też nie pozostały obojętne na ich obecność. Jeden przez drugiego żeglarze wykrzykiwali w ich stronę swoje gromkie „ahoj!”.

Kaspar i rycerze zignorowali te nawoływania, ale Paweł ryknął tubalnym głosem:

- Jakie macie wieści z południa?!

- Nie ma już Wolfenburga! - odkrzyknął jakiś żeglarz.

- Zniszczyła go koszmarna burza! - huknął jakiś inny - Powiadają, że to czarna magia!

Kaspar pozwolił Pawłowi konwersować z ludźmi na barkach, sam był zbyt skoncentrowany na zadaniu, jakie go wkrótce czekało. Nie myślał wcale o dzieleniu się pogłoskami i wieściami z ludźmi, przeciwko którym być może będzie musiał zaraz stanąć.

Czekał na konwój wiedziony przez Dziewicę Scheerlagena już od czterech dni, od momentu, kiedy otrzymał listy z Altdorfu.

Noszące oznaczenia Drugiego Domu Wilhelma i Imperialnego Komisariatu listy domagały się odpowiedzi na pytanie, jakie działania zostały podjęte, by zapobiec kolejnym rabunkom ich towarów. Kaspar nie miał pojęcia, o czym traktują te pisma, dopóki nie spędził

wyczerpującego dnia na sprawdzeniu zapisków, prowadzonych przez uprzedniego ambasadora. Poskładawszy wszystko w całość wiedział już teraz, dlaczego Imperialne regimenty w Kislevie głodowały i czemu spichrze miejskie ciągnęły już resztką sił.

Wyjaśniało to też po części, dlaczego władczyni Kisleva odpowiadała dotychczas w ten a nie inny sposób na jego prośby o audiencję. Zawsze napotykał na drodze niepokonaną biurokratyczną ścianę lub zbywano go grzecznymi i uprzejmymi odmowami.

Wyglądało na to, że zapasy rzeczywiście docierają do miasta, nie trafiają jednak do właściwych odbiorców. Imperialny Komisariat zlecił dystrybucję jedzenia i broni, a także wielu przeróżnych dóbr potrzebnych tutejszym mieszkańcom i ich sprzymierzeńcom w czasie wojny kupcowi z Hochlandu, Matthiasowi Gerhardowi. Imperator wysłał dotychczas do Kisleva prawdziwą fortunę w postaci zaopatrzenia, ale tylko niewielka jego część dotarła do tych, którzy tak bardzo go potrzebowali.

Listy wzmiankowały o częstych kradzieżach ze składów Matthiasa Gerharda i pomimo tego, iż jego odpowiedzi mówiły o podwyższonej czujności i uwadze, wydawało się, że nic nie jest w stanie powstrzymać stałego odpływu dóbr z magazynów. Gerhard oskarżał o wszystko nieporadnych Kislevczyków i dla tych, którzy przebywali w Altdorfie, musiało to wyglądać tak, jakby barbarzyński lud ich północnych sąsiadów, przez swą własną głupotę i lenistwo, skazywał się na głód i nędzę. Ale tu, w mieście, gdzie nikt nie mógł być spokojny o swoje przeżycie, jasne było, że dobra te były kradzione i to nie przez zwykłych złodziejasków.

Im dłużej Kaspar czytał dziennik Teugenheima, tym bardziej był na niego wściekły.

Poprzedni ambasador musiał zdawać sobie sprawę z tego, że bezcenne zaopatrzenie z Imperium było rozkradane przez tych, którzy odpowiedzialni byli za jego dystrybucję. Nie zrobił jednak nic, by temu zapobiec.

Obecny ambasador będzie miał w tej sprawie coś do powiedzenia.

IV

Kiedy dotarli do portowego nabrzeża, Dziewica Scheerlagena była właśnie rozładowywana. Kilka innych barek również dobiło. Ich załogi zarzucały właśnie grube liny na żelazne kołki i mocno je zawiązywały. Inne barki czekały cierpliwie na swoją kolej.

Poczucie ulgi u załogi Dziewicy Scheerlagena było wyraźnie widoczne. Marynarze byli zadowoleni, że wreszcie dotarli do celu, a kapitan zdawał się nawet nie dbać o to, kto ma prawo odebrać towary z jego barki.

Odziani w grube płaszcze kislevscy rozładowywacze ciągnęli i wlekli dziesiątki skrzyń, baryłek i ciężkich worków, wydobytych z ładowni na platformy mocnych, portowych podnośników. Te przenosiły towary na brukowane nabrzeże, gdzie czekały już na nie duże wozy.

Otyły mężczyzna z wielką, zmierzwioną brodą dowcipkował sobie z kapitanem barki, który wyglądał

tak, jakby nie marzył o niczym innym, jak tylko opróżnieniu ładowni i ruszeniu w drogę powrotną.

- Rozdzielić się - rzucił Kaspar. - Nie pozwólcie żadnemu z tych wozów odjechać.

Bremen skinął głową. Swa pancerną pięścią wskazał trzy odchodzące od nabrzeża uliczki. Rycerze ruszyli ku nim, tworząc nieprzerwany mur stali i blokując przejazd swoimi ciężkimi wierzchowcami. Z opuszczonymi przyłbicami byli naprawdę przerażający i choć żaden nie dobył broni, groźba była oczywista.

Załogi barek i zmagający się z ciężarem rozładowywacze wreszcie zauważyli ich obecność i rzucali zdziwione spojrzenia przez całą długość doków, gdy Kaspar, Bremen i Paweł jechali w ich kierunku. Kilku ludzi zajętych rozładowywaniem barki odruchowo sięgnęło po noże i pałki, ale sześćszesnastu niezwykle ostrych mieczy dobywanych z pochew przekonał ich, że nie jest to najlepszy pomysł. Rycerze byli w zdecydowanej mniejszości, ale nawet ci obwiesie wiedzieli, że nie mają szans pokonać dobrze opancerzonych i wyćwiczonych w walce wojowników.

Dowódca Panter i Paweł zsiadli z koni. Kaspar pozostał w siodle, by zachować przewagę wysokości.

- Te dobra - zwrócił się do kapitana. - Co tam jest?

- A cóż cię to może obchodzić, przyjacielu? - odparł zapytany.

- Jestem ambasadorem Imperatora Karla Franza i zadałem ci pytanie.

Widząc rycerzy i słysząc południowy akcent Kaspara kapitan skłonił głowę.

- Dobrze więc. Wieziemy ziarno, sól, ostrza mieczy i główne toporów, a także mąkę.

Wszystko to zamknięte, zapisane i dostarczone. Jaki widzisz problem?

Von Velten puścił pytanie mimo uszu i zwrócił się do stojącego obok Kislevczyka, nadzorującego najwyraźniej załadunek.

- A dokąd zabieracie te towary, kiedy już barki zostaną rozładowane?

Mężczyzna nie odpowiedział, dopóki Paweł nie powtórzył pytania w jego ojczystym języku. Jego wzrok błędził pomiędzy obydwojma mężczyznami. Wreszcie Kislevczyk pogardliwie warknął jakąś odpowiedź. Von Velten nie zrozumiał słów, ale uchwycił nazwisko Gerhard w potoku kislevskiej wymowy.

- Mówi, że są to zapasy dla magazynów Gerharda - przetłumaczył Korowicz.

- Bardzo dobrze - rzekł Kaspar. - Powiedz im, żeby kończyli opróżniać barki i załadowali wozy.

- A co potem? - spytał Paweł.

- Potem poczekamy sobie na Herr Gerharda.

V

Walery Szewczyk przyciągnął bliżej swoją żonę i obie córki, czując wyraźnie ich żebra przez materiał. Tylko te cienkie ubrania i lekka narzuta odgradzały ich ciała od chłodu przeklętej, mroźnej nocy. Padał deszcz ze śniegiem, ale mieli dobre miejsce tutaj, na jednej z wielu brukowanych uliczek miasta. Niewielkie schodki prowadziły do dawno już zamurowanych drzwi. Byli tam przynajmniej chronieni przed największym gniewem dmącego wiatru i śniegiem, kradnącym prędko ciepło z ciała. Było to najlepsze schronienie, jakie mógł znaleźć dla swojej rodziny. Odsunął na bok kosmyk włosów z twarzy Nikolii, żałując, że nie dała mu żadnego męskiego potomka.

Obarczony starymi rodzicami i bez synów, których mógłby posłać na wojnę, walczył

rozpaczliwie o to, by zdobyć wystarczającą ilość jedzenia, potrzebną do wykarmienia sporej rodziny. Ludzie ze stancy starali się im pomóc w miarę możliwości, ale nie mogli przecież narażać na szwank swoich własnych rodzin, żeby pomóc innym.

Trzy tygodnie temu jego rodzice wyszli nocą ze stancy i odeszli ku targanemu wiatrem, bezkresnemu województwu, nie zabierając ze sobą ciepłych ubrań ani żywności.

Nikt nie widział momentu ich odejścia, a ich zamrożone ciała zostały odnalezione niecałe pół ligi od bramy stancy. Leżeli wtuleni w siebie na środku drogi.

Walery opłakiwał rodziców, doceniając ich poświęcenie, musiał jednak w duchu przyznać, że nie zdołałby ich dłużej utrzymywać. Kiedy do atamana doszły wieści o kolejnych stanicach i większych osadach zaatakowanych przez wroga, Walery postanowił

pozostawić swą izbę i ruszyć z rodziną do stolicy.

Załadowali na wóz lichego dobytku i odeszli, żegnając się łzawo ze swymi przyjaciółmi i sąsiadami. Droga na południe była niezwykle ciężka i bolesna. Stracili w tym czasie najmłodszą córkę. Małeństwo ogarnęła gorączka, której nie potrafiły wyleczyć nawet ziołowe leki Nikolii. Pochowali ją na stepie i ruszyli dalej na południe.

Kiedy wreszcie dotarli do stolicy, Walery sprzedał swój wóz i konia za psie pieniądze i desperacko starał się znaleźć jakąś robotę oraz kwaterę dla rodziny. Nie udało mu się znaleźć ani jednego, ani drugiego i zostali zmuszeni do koczowania na tej brudnej uliczce.

Utrzymywali się z tego, co zdołał ukraść i nielicznych miedziaków, rzucanych im przez przechodzących ludzi.

Już trzy razy musiał walczyć ze złodziejami i innymi opryszkami, starającymi się wydrzeć im to schronienie. Pomimo tego, iż był bardzo wygłodzony i wyczerpany, Walery Szewczyk dzięki swej potężnej posturze nie był łatwym przeciwnikiem.

Usłyszał odgłos kroków dochodzący z dalszej części alei i wstrzymał oddech. Zbyt delikatne były te

stąpienia, żeby mogły być wydawane przez obute stopy. Mogło to być jakieś zwierzę - pies, kot albo szczur. Sama myśl o świeżym mięsie spowodowała, że do ust napłynęła mu ślina.

Walery wysunął swój nóż w kościanej oprawie - jedyną rzecz, której nie sprzedał - ze skórzanej pochwy i uwolnił się spod przykrycia. Pomimo tego, że narzuta była bardzo cienka i tak poczuł, że ogarnia go przeraźliwy chłód. Jego żona ocknęła się z niespokojnej drzemki i słabo zamrugła oczami.

- Walery?

- Cicho, Nikolia - wyszeptał. - Być może to jedzenie.

Wstał i prześlizgnął się wzdłuż ściany, potem zszedł ostrożnie po schodkach, ściskając mocno nóż w rękę. Miał nadzieję, że hałas, który usłyszał, uczynił jakiś pies. Tak, psem można się było porządnie najeść.

Nie słyszał już żadnego dźwięku i zaryzykował spojrzenie za krawędź zwałonej ściany, by zobaczyć swoją ofiarę.

Powoli wysunął głowę zza węgła i w tym samym momencie aż zastygł w bezruchu ze zdziwienia. Pośród cieni zasypanej śniegiem alei zobaczył nagiego mężczyznę, przyczajonego przy ziemi. Był to bez wątpienia jakiś szaleniec, nikt przy zdrowych zmysłach nie wyszedłby na zewnątrz bez futer i płaszcza. Na Ursuna, Walery z pewnością nie pozwoli, by ktoś taki pozbawił jego rodzinę schronienia.

Mężczyzna kołysał się lekko i mrucał coś do siebie. Jedną rękę trzymał między nogami, zakończone brudnymi paznokciami palce drapały skórę przedramion. Tam, gdzie padały kropelki krwi, topił się zalegający aleję śnieg.

- Hej, ty tam - zawołał Walery, unosząc jednocześnie nóż. - Znajdź sobie jakieś inne miejsce do odpoczynku na tę noc.

Obcy nie zwrócił na niego najmniejszej uwagi.

- Nie, nie, nie. Oni są tylko snem... Nie jesteś mną... - mrucał do siebie.

Walery zrobił niepewny, nerwowy krok w głąb alei, ostrze noża trzymał zwrócone w stronę skulonej postaci.

Głowa mężczyzny uniosła się i Walery zauważył, że nosił on na twarzy niezbyt dobrze dopasowaną maskę. Maskę z czegoś, co zdawało się być poszarzałą skórą, nierówno pozszywaną i zwijającą się przy brzegach. Spozierały spod niej błyszczące oczy szaleńca.

Obcy wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Błąd. To jest moje prawdziwe ja - skoczył do przodu, w jego rękę połyskiwał nóż.

Ciał z góry błyszczącym ostrzem i Walery zachwiał się. Życiodajna krew trysnęła z rozciętej tętnicy udowej. Kiedy padał na ziemię, ciało skręciło się i głowa uderzyła mocno o kamienie.

- Na Tora, zostaw w spokoju moją rodzinę! - zawył. - Kocham ich tak bardzo, nie dbam o to, że nie miałem nigdy syna. Kocham tak bardzo, nie mogę ich teraz opuścić!

Proszę...

Słyszał wrzaski i jakieś dziwne syczenie, coś jakby mięso smażone na patelni.

Dźwięki dochodziły z podwyższenia za schodkami, ale nie mógł dojrzeć, co się tam właściwie dzieje. Szlochał, gorzkie łzy płynęły mu po twarzy. Czołgał się resztkami sił po zbrukanym śniegu, by dotrzeć do swojej rodziny.

Potem krzyki ustały.

Po schodach spłynął w dół prawdziwy wodospad krwi i utworzył u ich stóp kałużę pośród śniegu.

Mężczyzna, który wymordował jego rodzinę, zszedł z powrotem w aleję. Całą twarz, pierś i brzuch zalane miał krwią, która zdawała się być czarna w świetle księżyca. Oczy mu pałały, dyszał, pierś unosiła się w podnieceniu. Rozkosz popełnionego właśnie morderstwa pulsowała wciąż w jego żyłach.

Walery starał się go dosięgnąć, ale poczuł jak wzrok zasnuwa mu szarawa mgła.

- Nie - rzekł obcy, delikatnie obracając go na plecy i pochylając się w dół.

Szeroko otworzył zakrwawione szczęki. Zwymiotował na jego pierś ohydną, spienioną krwią i Walery wrzasnął w agonii, gdy jego ciało zaczęło syczeć i odchodzić od kości wskutek kontaktu z tym wstrętnym płynem.

Umarł w momencie, kiedy poczuł rękę wciskającą się głęboko w swoją wypaloną klatkę piersiową.

VI

Sorka usłyszał dochodzący skądś krzyk, ale zupełnie go zignorował. W tych dniach dziwne było, gdy nie słyszało się co jakiś czas takich pełnych cierpienia wrzasków. Prędko pomknął przed siebie, w dół ruchliwego prospektu, wciąż zapełnionego ludźmi pomimo zalegających już nad miastem ciemności i okrutnego zimna. Przypuszczał, że niektórzy z tych ludzi po prostu nie mieli dokąd pójść i bali się położyć do snu pośród śniegu, bo wtedy ryzykowali, że nie obudzą się już nigdy.

Pod kaftanem przyciskał do siebie mocno metalowe pudełko. Bał się wyjąć je na wierzch, ale obawiał się też trzymać je zbyt blisko siebie. Pudełko miało jakieś piętnaście centymetrów długości i było znacznie cięższe niż powinno być przy takich wymiarach.

Pomimo tego, że miał przy sobie kluczyk do poczerniałego zamka, sama myśl o jego otwarciu przyprawiała go o mdłości i przerażenie. Zresztą od czasu, gdy Czekatilo dał mu ten przedmiot, by

dostarczył go w pewne miejsce, nie czuł się zbyt dobrze.

Pracował dla przywódcy kislevskiego podziemia od prawie pół roku, spędzając większość czasu na wprowadzaniu w czyn woli swego pracodawcy. Pobicia, podpalenia, zastraszenia - to były jego codzienne obowiązki. Był wielkim, solidnie zbudowanym mężczyzną z niewielką dozą wyobraźni i niepokoiło go trochę, że jego przełożony powierzył

mu misję o tak oczywistym znaczeniu i powadze.

- Sorka - rzekł do niego Czekatilo - ta rzecz jest dla mnie bardzo cenna. Musisz ją dostarczyć równo o północy na sam koniec Alei Lipowej. Znasz to miejsce?

Sorka przytaknął. Sam pozbył się tam przynajmniej trzech trupów.

- Nie zawiodę cię - obiecał. Polecono mu pójść do sutereny i zabrać stamtąd metalowe pudełko, które niósł teraz przy sobie, a potem natychmiast opuścić budynek. Swędziała go skóra i coraz bardziej bolał brzuch. To pewnie ta ryba, którą jadł wcześniej tego dnia, była nieświeża.

Zszedł z Gromadnego Prospektu i podążał dalej krętą drogą przez wijące się uliczki.

Co jakiś czas oglądał się za siebie, by upewnić się, że nikt go nie śledzi. Świeży śnieg i zapełnione ulice nie pomagały mu w tym zadaniu, ale nie zauważył nikogo, kto podążałby jego tropem.

Wreszcie dotarł do Alei Lipowej i prędko obejrzał się za siebie po raz ostatni.

Uspokojony, nie widząc nikogo w pobliżu, wsunął się w głąb uliczki niczym duch i ostrożnie przeszedł całą jej długość. Sorka zauważył, że ktoś już pozostawił tu dziś w nocy jedno ciało.

Mróz nie pozwalał roznieść się zapachowi trupa i dlatego psy jeszcze go nie wyczuły, ale wkrótce z pewnością się tu pojawią.

Z plamy cienia zalegającego przed nim dobiegł głos:

- Masz to?

Sorka aż podskoczył, zaskoczony nagłym pytaniem.

- Tak, jeżeli tylko masz pieniądze.

- Mam - zapewnił go mężczyzna - Połóż pudełko na ziemi i cofnij się.

Nie tak miało to wszystko wyglądać i Sorka starał się wymyślić, co ma teraz odpowiedzieć.

- Pokaż mi kasę, a wtedy tak zrobię.

- Nie.

Sorka nie był przyzwyczajony do tego, by ktoś odmawiał współpracy w tak zdecydowany sposób. Nie był pewien, co powinien teraz zrobić Pracował przecież dla Czekatila - gdy wydawał jakieś rozkazy, powinny one być spełniane szybko i bez oporu.

Postanowił zabawić się z tym głupcem i pograć przez chwilę na jego zasadach. Ujął w dłoń rękojeść sztyletu, przekonany, że bez trudu poradzi sobie z nieznanym, gdyby ten próbował

jakichś głupich sztuczek. Aleja miała przecież tylko jedno wyjście, a to oznaczało, iż mężczyzna musiałby przejść przez niego. Nie było to łatwe zadanie, doskonale o tym wiedział.

- Dobrze - stwierdził wreszcie, wyjmując pudełko spod kaftana i kładąc je na ziemi.

Wyłowił jeszcze wiszący na szyi kluczyk i upuścił go tuż obok pudełka.

Obcy wyszedł z cienia, twarz miał zasłoniętą kapturem płaszcza, klęknął obok szkatułki i prędko ją otworzył. Ściskając w dłoni jakiś mroczny amulet wiszący mu na szyi, delikatnie uniósł wieczko.

Z pudełka wydobywał się miękki, zielonkawy blask. Widmowe światło padało na obcego, rzucał on teraz długi cień na ścianę za swoimi plecami.

Sorka miał wrażenie, że ten cień wije się i żyje własnym życiem. Nie naśladował już dokładnie ruchów mężczyzny. Zmarszczył czoło i zamrugał, żeby wygnać z głowy przedziwny obraz, ale złośliwy cień kontynuował swój taniec. Ciemność tworząca głowę cienia napuchła i nagle zwieńczyły ją bliźniacze rogi wyrastające z czoła.

Sorka już otworzył usta, żeby skomentować to przedziwne zjawisko, i właśnie wtedy klęczący mężczyzna odstrzelił mu głowę z pistoletu.

VII

Głośny odgłos wystrzału rozniósł się echem w alei i kilka minut później głowa odzianego w ciemny płaszcz mężczyzny wychynęła ostrożnie zza rogu. Księżyc wyjrzał

spomiędzy chmur, zalewając swym blaskiem okryte śniegiem ulice i rozświetlając twarz obcego. Ten spojrział ostrożnie w obie strony zanim wstąpił zdecydowanie na ulicę i pomaszerował z powrotem ku centrum miasta.

Z przeciwnej strony obserwowało go dwóch zakutanych w futra ludzi.

- Zastrzelił Sorkę - stwierdził mniejszy z nich.

Wasilij Czekatilo przytaknął, pocierając dłonią policzek i podkreślając końcówki wąsów.

- Masz rację, Rejak, sam postąpiłbym dokładnie tak samo.

- Powinniśmy go zatrzymać! - zaprotestował Rejak. - Przecież on próbuje cię wykiwać.

Czekatilo pokręcił głową.

- Nie, zostaw go. Jestem szczęśliwy, że wreszcie pozbyłem się tego przekłętą pudełka. Ach, jakże chciałbym cofnąć czas i nigdy go nie zdobywać. A poza tym myślę, że na dłuższą metę większe korzyści przyniesie nam wiedza, dla kogo je załatwialiśmy.

- Ale co z Sorką?

- Nie będę po nim płakał. - odparł Czekatilo - Wykonywał moje polecenia całkiem dobrze, ale mamy jeszcze wielu takich jak on. Nie jest to zbyt duża strata dla mojej organizacji.

- Może powinniśmy sprawdzić, czy rzeczywiście nie żyje?

- Nie, zostaw go. Psy też muszą coś jeść.

Rejak wzruszył ramionami. Skinął głową w kierunku mężczyzny oddalającego się z metalowym pudełkiem i rzekł:

- Do czego może być potrzebne komuś takiemu jak on coś tak niebezpiecznego?

- Rzeczywiście, dobre pytanie - zgodził się z nim Czekatilo, zastanawiając się jednocześnie, po co Piotrowi Łosowowi - głównemu doradcy Carycy Kisleva - metalowe pudełko zawierające kawałek spaczenia wielkości ludzkiej pięści.

VIII

Kaspar był pod wrażeniem tego, jak mało czasu zabrało Matthiasowi Gerhardowi przybycie, by sprawdzić, co się dzieje, gdy towary z rzecznych barek nie dotarły o wyznaczonym czasie do jego magazynów. Wszyscy rozładowywacze zostali odesłani, kiedy tylko skończyli opróżniać ładownie. Prędko zniknęli bez śladu w mroku nocy. Kaspar rozkazał, by barki ruszyły w powrotną drogę do Imperium i kiedy odpłynęły, doki pogrążyły się w niepokojącej ciszy. Jedynym zakłócającym ją dźwiękiem było chłupotanie wody, uderzającej o kamienne nabrzeże. Czasami odezwał się gdzieś w mieście krzyk, raz rozległ

się w oddali huk wystrzału.

Czekali w dokach już ponad dwie godziny, aż wreszcie usłyszeli stukot końskich kopyt i zbliżające się klekotanie powozu.

Rycerze Pantery rozstąpili się na boki i przepuścili czerwonozłotą trojkę. Jej koła hurkotały na kocich łbach, którymi wyłożone było nabrzeże. Był to pojazd wywodzący się z Kisleva, ciągnięty przez trzy konie, zaprzężone w jednej linii. Nawet w złudnym świetle księżyca widać było, iż trojka jest niezwykle bogata, zdobiona i przedniej jakości. Nietrudno było zgadnąć, gdzie podziały się pieniądze przywłaszczony przez Matthiasa Gerharda. Na dachu powozu siedziało sześciu zakutych w ciężkie kolczugi i dierzących długie włócznie wojów. Kiedy pojazd zatrzymał się wreszcie, Rycerze Pantery zebrali się dookoła, stworzyli prawdziwy pierścień stali, odcinając jakąkolwiek drogę ucieczki.

Sześciu strażników wymieniło prędkie spojrzenia, zanim ostrożnie zeszli na dół.

Kaspar rozkoszował się ich wyraźną niepewnością. Matthias Gerhard powinien się już domyślić, że zaginięcie dostawy nie było rezultatem zaniedbania jednego z podwładnych i von Velten uśmiechnął się ponuro, gdy drzwi powozu otworzyły się i wysiadł z niego wysoki mężczyzna o dostojnym wyglądzie. Ubrany był w kosztowny, karmazynowy kaftan, ozdobiony żółtym jedwabiem i podbity futrem płaszcz, wyszywany srebrną nicią. Złota obręcz spoczywała na jego długich do ramion blond włosach. Każdy palec zdobił pierścień, mający jeszcze podkreślać pozycję właściciela. Grube, złote łańcuchy - oznaki sprawowanego urzędu - zwieszały się z szyi Gerharda. Wszystko to dowodziło, że z pewnością był

posiadaczem nieliczych bogactw, choć obdarzonym niespecjalnie dobrym gustem.

Niepokój Matthiasa był oczywisty i wyraźnie widoczny, Kaspar zdecydował się więc zaatakować go i jeszcze bardziej wybić z równowagi, zanim tamten zdąży obmyślić jakąś sensowną linię obrony. Zsiadł z konia i długim krokiem zbliżył się do kupca.

- Matthiasie Gerhard, jesteś złodziejskim nasieniem i powinienem z miejsca przekazać cię Czekaikom za wszystkie niecne czyny, których się dopuściłeś.

Pomimo ostrego tonu von Veltena kupiec otrząsnął się dość szybko. Był dość wpływowym człowiekiem w tym mieście, gdzie byle głupiec nie miał szans zejść tak wysoko i nikt nie stawał się tu tak bogaty bez sporej dozy inteligencji i sprytu.

- Przyjmuję, że to ty jesteś ambasadorem von Velten, a to są twoi rycerze? - zapytał.

- Nie mylisz się.

- W takim razie, czy mógłbym się dowiedzieć, czemu zatrzymaliście tutaj zaopatrzenie z Imperium? - odrzekł Gerhard. - Powinno znajdować się już w drodze do magazynów. Wielu jest takich w tym mieście, którzy chętnie zajęliby się tymi dobrami i wykorzystali je dla siebie. Jestem pewien, że zdajesz sobie z tego sprawę.

- No jasne, jeszcze jak zdaję sobie sprawę - huknął Kaspar. - Dziennik Teugenheima i listy nadchodzące z Altdorfu powiedziały mi wszystko, co powinienem wiedzieć o tego typu rzezimieszkach.

- W takim razie nie będziesz miał żadnych obiekcji, gdy wezwę ludzi i zapasy pojedą do miejsca, gdzie mogą być bezpiecznie przechowywane - kontynuował gładko Gerhard.

- Nie rozumiesz, Gerhard? - spytał von Velten, wyciągając list od Imperialnego Komisariatu. - Wszystko skończone. Wiem doskonale co robiłeś i zadyndasz za to na szubienicy.

- Naprawdę? - odparł kupiec. - A cóż takiego wiesz?

- To, że zapisywałeś zaopatrzenie jako skradzione, a potem je sprzedawałeś. Któż inny mógłby być odpowiedzialny za tak wielkie ilości dóbr oznaczonych jako „skradzione”?

- Herr ambasador - ciągnął spokojnie Gerhard. - Zapewniam cię, iż dobra wysyłane przez Imperatora na północ były rabowane przez jakieś zorganizowane grupy, nie przeze mnie. Mam wszelkie możliwe dokumenty wystawione przez straż miejską na potwierdzenie moich słów.

- Nie potrzebuję żadnych potwierdzeń, wiem dobrze, co robiłeś. Widziałem taki proceder już setki razy, gdy służyłem w armii. Fałszywi kwatermistrzowie, zatrzymujący część zaopatrzenia i sprzedający je tym, którzy płacili najwięcej. Jesteś niczym więcej niżli pospolitym złodziejem!

- Starasz się mnie zdenerwować, ambasadorze?

- W rzeczy samej - odpowiedział von Velten, który czuł, jak w nim samym narasta wściekłość.

- Chyba zbyt długo byłeś żołnierzem, ambasadorze. Jestem cywilizowanym człowiekiem, w przeciwieństwie do ciebie potrafię pohamować swój gniew i rozwiązać problemy bez uciekania się do przemocy. Ty również powinieneś postępować w ten sposób.

Kaspar uświadomił sobie, że tym sposobem nic nie wskóra. Schwycił mocno tunikę kupca i pociągnął go ku krawędzi wody. Strażnicy Gerharda postąpili naprzód, ale Rycerze Pantery zacieśnili krąg i nie pozwolili im niczego zrobić.

- Doprawdy, ambasadorze! - podniósł głos Gerhard. - To oburzające!

- Zdaje się, że tutaj muszę się z tobą zgodzić, Matthias - przytaknął Kaspar, dotarłszy wreszcie do prowadzących w dół schodków, wiodących wprost w ciemne, lodowate wody rzeki Urskoj.

- Herr ambasador! - błagał kupiec, gdy domyślił się wreszcie, co zamierza von Velten

- Nie ma potrzeby posuwać się tak daleko!

- Aha, no i właśnie tutaj nasze opinie się różnią - stwierdził Kaspar i zepchnął

Gerharda z kamiennego nabrzeża.

Matthias Gerhard chlupnął w wodę. Po sekundzie wypłynął na powierzchnię, młóćąc w panice wodę rękami. Krztusił się i krzyczał, jego wrzaski przechodziły w rozpaczliwe bulgotanie, gdy napił się wody. Desperacko walczył, by utrzymać się na powierzchni, ale ciężkie szaty i grube złote łańcuchy sprawiły, że jego głowa ponownie skryła się pod powierzchnią wody. Strumień srebrzystych bąbli powietrza wzburzył taflę, zanim po raz kolejny nie wynurzyła się z niej twarz Gerharda.

- Proszę! - zawył, gdy udało mu się wreszcie uchwycić krawędź kamiennych schodów. Rozpaczliwie dyszał i z wdzięcznością wciągał powietrze w płuca, dopóki Kaspar nie zmiażdżył jego palców pod drewnianym obcasem buta. Kupiec zakwilił i osunął się z powrotem pod wodę.

- Podajcie mi jedną z włóczni strażników - zawołał ambasador w stronę nabrzeża.

Widział okoloną księżycową poświatą sylwetkę Kurta Bremena, wyczuwał jego niezadowolenie, ale nie myślał teraz o tym. Teraz liczyło się jedynie załatwienie tej sprawy, a jeżeli musiał dopuszczać

się przemocy, cóż, tym gorzej dla Gerharda. Jeżeli kupiec brał go za nieokrzesanego żołnierzyka, to w taki właśnie sposób będzie się w stosunku do niego zachowywał.

- Proszę - powiedział lodowatym tonem Bremen.

- Dziękuję, Kurt - odparł ambasador. Gerhard raz jeszcze wypłynął na powierzchnię, desperacko uderzając w wodę rękami. Kaspar widział, że kupiec jest już prawie do cna wyczerpany i wyciągnął ku niemu włócznię, utrzymując ją tuż poza jego zasięgiem. Matthias walczył, by dosięgnąć drewnianego drzewca, ale za każdym razem, gdy jego palce już niemal go dotykały, Kaspar odsuwał je dalej.

- Czy teraz jesteś już gotowy, by opowiedzieć mi prawdę, a nie te gówniane dyrdymały? - zapytał zimno von Velten.

- Tak! - wrzasnął kupiec i Kaspar wreszcie pozwolił mu chwycić drąg.

Podciągnął go do schodów i skinął na rycerzy, by wyciągnęli podtopionego mężczyznę z wody. Gerhard przekręcił się na bok i zwymiotował brudną wodą, twarz miał

siną od przebywania w lodowatych odmętach rzeki Urskoj. Płakał. Kiedy Kaspar przyklęknął

przy szlochającym mężczyźnie, wyczuł, że kupiec ze strachu musiał narobić w spodnie.

Odsunął z twarzy Gerharda kosmyki mokrych włosów i powiedział:

- Teraz, kiedy słuchasz mnie już z należytą uwagą, możemy wreszcie poważnie porozmawiać. Sprzedawałeś zapasy przysyłane tu przez Imperatora, prawda?

Gerhard zakaszłał, ale przytaknął powoli skinieniem głowy.

- Dobrze - ciągnął dalej ambasador. - Nareszcie dochodzimy do jakichś konkretów.

Teraz już wszystko skończone. Koniec z tym. Wszystko co posiadasz i to, co przyjedzie od tej pory z Imperium, ma trafić do tych, którzy tych zapasów desperacko potrzebują. Rozumiemy się?

- Tak, tak. Rozumiemy.

Na razie, pomimo tego, że za to co robiłeś, zasługujesz by wtrącić cię do najgłębszego i najciemniejszego lochu, wciąż cię potrzebuję. Będziesz zarządzał dystrybucją tych dóbr wśród wojska i ludzi mieszkających w mieście. Będziesz pracował razem ze Stefanem, moim pomocnikiem. Zaufaj mi, będę wiedział, jeżeli kiedykolwiek powrócisz do dawnego procederu.

Kaspar wstał, masując obolałe kolano, i wspiał się po schodkach na nabrzeże. Czekał

tam już na niego Kurt Bremen. Odezwał się cicho: - Ambasadorze, czy mogę mówić szczerze?

- Oczywiście, Kurt.

- Ambasadorze, nie za bardzo podobają mi się te... brutalne metody, w których zdajesz się gustować. Czy naprawdę przystoi to emisariuszowi Imperium, być widzianym, gdy zachowuje się w taki sposób?

Kaspar pokiwał głową.

- Rozumiem twoje obiekcje, Kurt, naprawdę rozumiem. Wcale nie sprawia mi przyjemności używanie takich metod, ale czasami demonstracja siły jest nieodzowna, by uzyskać coś od osób, które za nic mają idee, obowiązki i uczciwość.

Nie wyglądało na to, że takie wyjaśnienie przekonuje rycerza.

- Ja i moi ludzie jesteśmy jedynie instrumentem, za pomocą którego wprowadzasz w życie swoje postanowienia, ambasadorze von Velten, ale musimy czynić to w sposób zgodny z zasadami i kodeksem honorowym naszego zakonu. To jest nasze zadanie i dopóki jesteśmy przy twojej osobie, nie możemy spełniać odpowiednio naszych powinności, kiedy ty zachowujesz się w taki sposób. Musisz pozwolić nam wykonywać nasze zadanie bez łamania naszych praw i kodeksu honorowego.

- Oczywiście, masz rację, ale może Gerhard wcale tak bardzo się nie mylił - odrzekł

na to Kaspar. - Może byłem żołnierzem zbyt długo, by móc stać się dobrym ambasadorem, ale to jest teraz moje zadanie. A to jest jedyny sposób jaki znam, by spełnić swoją powinność względem Imperatora.

Bremen lekko skinął głową. Kaspar jednak mógłby przysiąc, że rycerzowi nie podobało się zbytnio to, co właśnie usłyszał.

- Co mamy zrobić z Gerhardem? - zapytał Kurt, zmieniając temat.

- Zabierzcie go do domu i pozwólcie się umyć. Chcę, by któryś z twoich ludzi miał na niego oko i zadbał o to, żeby nie uciekł z miasta. Rano wyślę do niego Stefana, a on sprawdzi, co pozostało z dostaw rozkradanych przez Gerharda i zaczniemy wreszcie rozdzielać je między tych, którzy ich rzeczywiście potrzebują.

Bremen odwrócił się i zaczął wydawać rozkazy. Kaspar podszedł do konia. Nagle poczuł na sobie ciężar każdego z przeżytych do tej pory pięćdziesięciu czterech lat.

ROZDZIAŁ 6

I

Przez obozowisko averlandzkich arkebuzerów snuł się zapach gotowanego mięsiwa.

Żołnierze wgrzyzali się w świeżo upieczony chleb, zagryzali go serem i popijali kuflami niezłego ale, przywiezionego wprost z Nordlandu. Śmiech i szmer pełnych podniecenia rozmów można było usłyszeć przy każdym niemal ognisku. Przyjemnie było patrzeć na żołnierzy Imperium, którym wróciła wiara i chęć do życia, myślał Kaspar.

Ta sama scena powtarzała się wielokrotnie przez ostatnie pięć dni, kiedy von Velten i Anastazja prowadzili wozy powożone przez gwardzistów z ambasady, dostarczając tak potrzebnych zapasów dla zmęczonych i głodnych wojaków, obozujących w mieście. Po zinwentaryzowaniu magazynów Gerharda Stefan odkrył prawdziwy róg obfitości, niemal niewyczerpane źródło dóbr i żywności. Zaraz też wraz z okrytym wstydem kupcem rozpoczął

trudne zadanie dostarczania ich wszystkim potrzebującym. Kaspar poprosił Sofię, by przyglądała się baczным okiem Gerhardowi. Nie chciał, żeby kupiec rozchorował się i dostał

gorączki od długiego przebywania w lodowatej wodzie rzeki Urskoj. W żadnym razie Gerhard nie może tak łatwo umknąć karze, którą szykował dla niego von Velten.

Razem z Anastazją siedział teraz na koźle jednego z wozów. Lawirowali powoli pomiędzy tysiącami ludzi obozujących poza murami. Wracali do miasta po dostarczeniu kolejnego transportu z magazynów Matthiasa Gerharda. Światło popołudnia powoli przybierało głębszy odcień purpury, zbliżał się zmierzch i Kaspar nie chciał być na zewnątrz dłużej, niżli to było konieczne - po zmroku temperatura spadała raptownie. Wraz z nimi, po bokach, jechało czterech Rycerzy Pantery. Proporce przypięte do srebrzystych grotów ich kopii łopotały niemrawo na uporczywym, wieczornym wietrze. Uśmiechy i pozdrowienia dobiegające z tłumu uchodźców były przyjemną odmianą od ledwie skrywanej niechęci, którą napotykali w mieście do tej pory.

- To niewiarygodne, Kasparze, jak to zmieniło tych ludzi - odezwała się Anastazja, zakutana szczelnie w biały płaszcz, podbity futrem śnieżnego lamparta. Jej policzki poróżwiały od mrozu, ale w oczach migotały wesołe iskierki.

- Wiem - uśmiechnął się Kaspar, zadowolony diametralną zmianą nastroju wśród wojsk stacjonujących dookoła Kisleva.

- Skąd ty to wszystko wzięłeś? - zapytała kobieta.

- Od pewnej złodziejskiej świni z Hochlandu, niejakiego Matthiasa Gerharda - odparł

von Velten. - Gromadził to wszystko na własny użytek, jego magazyny aż pękały w szwach od przeróżnych zgromadzonych tam dóbr: broni, butów, mundurów, ziarna, solonej wieprzowiny, prochu strzelniczego, kul, narzędzi i sprzętu saperskiego. Były tam nawet trzy armaty z Imperialnej Szkoły Artylerii.

- I on rzeczywiście nie miał zamiaru z nikim się tym podzielić?

- Nie, Anastazjo, nie oddałby nawet garści ziarna. Nie bez odpowiedniej zapłaty.

- Już ci mówiłam, żebyś nazywał mnie Ana. Wszyscy przyjaciele tak do mnie mówią.

- No dobrze - zachichotał Kaspar. - Nie mogę odmówić prośbie damy.

- Bardzo dobrze - odparła Anastazja z udawaną powagą. - Tylko musisz wreszcie to zapamiętać, Kasparze von Velten. A co do Herr Gerharda, to mam nadzieję, że zadbasz o to, by nie minęła go

surowa kara.

- Oczywiście - zapewnił ambasador - nie jestem kwatermistrzem i gdybym nie potrzebował go jeszcze do pomocy przy rozdzielaniu zapasów, które zgromadził, pozostawiłbym go z pewnością w rzece, razem z innymi szumowinami, kryjącymi się pod jej powierzchnią.

Anastazja przytuliła się do niego, kiedy wóz kierował się w stronę szczytu Wzgórza Bohaterów i Kasparowi było bardzo przyjemnie - móc czuć jej ciało tuż obok swojego. Był

bardzo zaskoczony, gdy otrzymał od niej list, w którym oferowała swoją pomoc - każdą, jakiej mogła udzielić - w dostarczaniu żołnierzom i uchodźcom zapasów, ale wtedy też przypomniał sobie, jak Sofia mówiła mu o jej zaangażowaniu w sprawy przeróżnych hospicjów i domów pomocy. Jej pomoc i życzliwość dla ludzi mniej od niej zamożnych i szczęśliwych była znana w Kislevie, a tak po prawdzie Kaspar nie był wcale niezadowolony z odnowienia tej znajomości. Pomimo nieprzyjemnego spotkania z Saszą Kajetanem był

zdecydowany spotkać się z nią ponownie i jego obecna działalność dała mu do tego doskonały pretekst. Ostatnie dwa dni, które spędzili razem na rozwożeniu i dystrybucji zapasów, były swoistym balsamem dla jego duszy, którego tak bardzo potrzebował, by uwolnić się od rosnącej frustracji.

- Kiedy to wszystko się skończy, zadynda na sznurze szubienicy na Konigplatz, nie obawiaj się.

- Co sprawia, że człowiek odwraca się od swego własnego narodu i ojczyzny, by robić takie rzeczy?

- zamyśliła się Anastazja.

Kaspar pokręcił głową.

- Nie mam pojęcia, Ana, naprawdę nie mam. I jeśli mam być szczery, wcale nie chcę tego wiedzieć.

- Zasluguje z pewnością na najgorszą karę, jaką można otrzymać za przestępstwo.

Wiem, że oczekuje się od nas litości i wybaczenia, tak uczy nas miłosierna Shallya, ale Gerhard mógł skazać wszystkich tych ludzi na śmierć.

Kaspar nie odpowiedział od razu, patrząc na grupę kawalerzystów, ćwiczących na pokrytej śniegiem ziemi - dalej w stepie, u podnóża wzniesienia. Jakichś sześćdziesięciu ludzi na zwinnych, długonogich wierzchowcach okrężało szereg wbitych w ziemię palików. Paliki te przypominały z grubsza szerokością i głębokością czworobok ustawionych w szeregi piechurów. Do każdego z nich przymocowano napełniony piaskiem worek, wielkości mniej więcej ludzkiej głowy. Kiedy Kaspar przyglądał się ćwiczeniom, jeźdźcy pędzili dookoła i z bliska wypuszczali śmiertelne salwy strzał o czerwonych lotkach wprost w wyimaginowanych przeciwników.

Każda taka chmura pocisków była zabójczo celna. Strzały wbijały się w worki z piaskiem lub z głuchym stukotem zagłębiały się w drewno tuż poniżej nich. Każdy oddział

atakowany w ten sposób doznałby potwornych strat pod tak zabójczym ostrzałem, tracąc z pewnością całe tuziny żołnierzy z każdą nadlatującą salwą. Każdy jeździec uzbrojony był w krótki łuk, wykonany

z nasączonych żywicą i sklejonych razem pasków drewna. Oręż ten był

o wiele niebezpieczniejszy niżli się to na pierwszy rzut oka wydawało. Kawalerzyści strzelali, kierując w tym czasie wierzchowcami za pomocą nacisku kolan - cały oddział pędził, jakby kierowany jedną myślą.

Na czele konnych łuczników jechał mężczyzna ubrany w białą, workowatą koszulę i szkarłatne, jeździeckie bryczesy. Strzelał ze swego łuku z zawrotną szybkością i śmiertelną precyzją. Koń słuchał jego rozkazów jakby on i człowiek byli jednym ciałem - zupełnie jak bestie z leśnych ostępów, które podobno miały być pół człowiekiem i pół koniem. Dowódca strzelał i pokrzykiwał z dziką radością, gdy kolejne strzały zagłębiały się aż po lotki w skórzanych workach wypełnionych piaskiem. Przy boku przypasane miał dwa zakrzywione miecze i Kaspar z łatwością go rozpoznał - był to Sasza Kajetan.

- On rzeczywiście jest nadzwyczajnym wojownikiem - zauważył głośno.

- Sasza? Rzeczywiście, jest dość groźny, nieprawdaż? Słodki na swój sposób.

- Słodki? - Kaspar uniósł brwi. - Nie jest to słowo, które się, według mnie, najmocniej z nim kojarzy.

- Ach, tak... - stwierdziła Anastazja. - Słyszałam o tym niefortunnym wydarzeniu przed moim domem, ale naprawdę nie powinieneś się tym kłopotać. Dopóki jest mną zauroczony, nie odważy się ciebie tknąć.

- Nie? Czemu jesteś tego aż taka pewna? - zapytał von Velten.

- Ponieważ wie, że nie byłabym zadowolona, a wszystko co on robi, robi po to, by mnie zadowolić.

- Nie byłbym tego taki pewien, Ana. Kiedy spoglądałem w jego oczy, zobaczyłem w nich pragnienie zrobienia mi krzywdy... albo tego, bym to ja skrzywdził jego. Zaufaj mi, to nie jest tylko zauroczenie twoją osobą.

- Cóż, w taki razie to jego błąd. Wiele razy mówiłam mu już, że ja nie traktuję go w taki sposób jak on mnie. Zresztą uważam, że są na tym świecie inni mężczyźni, którzy bardziej zasługują na moje względy, tak myślę.

Kaspar trzymał luźno wodze lewą ręką i poczuł, jak Anastazja bierze go pod rękę i trzyma w uścisku jego mankiet. Uśmiechnął się do siebie i rozkoszował tą spokojną chwilą ciszy. Anastazja przytuliła się do niego jeszcze mocniej. Prowadził wóz wzdłuż zrytej koleinami drogi, wiodącej przez bramę do miasta.

Tłuszcza rozstępowała się przed nimi, widząc siedzącą obok ambasadora odzianą w białe futro Anastazję. Jej reputacja jako osoby przyjaznej i pomagającej najbiedniejszym zapewniła im szybki przejazd przez zatłoczony prospekt. Na ulicach wciąż dawało się wyczuć napięcie i wzburzenie - Kaspar słyszał, że Rzeźnik znów uderzył i zarżnął jak wieprze całą rodzinę, koczującą w niepewnym schronieniu w alejce niedaleko doków.

Wóz szybko pokonywał dystans pomiędzy bramami miasta a ambasadą i nie minął

nawet kwadrans, nim Kaspar przejechał w dół alei tuż obok świątyni Ulryka.

Kiedy wjechał za żelazne ogrodzenie i okrążył stojącą na środku placu fontannę, zauważył, że rzemieślnik wynajęty do przywrócenia budynkowi odpowiedniego wyglądu doskonale wywiązał się ze swego zadania. Wszystkie malunki zostały starannie zmyte a zręczni cieśle wstawili już okiennice i mocne, nowe drzwi.

- No, z pewnością jest to już jakiś postęp - skomentował kwaśno Kaspar. - Nie może być inaczej. Sporo mnie to kosztowało, a nie dostałem ani feniga z Altdorfu.

Nawet fontanna została wyczyszczona, pokryty dotąd warstwą śniedzi brąz znów połyskiwał w świetle słońca, blask rozświetlił twarz cheruba. Czysta woda płynęła bulgocząc z utrzymanego przez niego kielicha.

Kaspar zsiadł z kozła i szybko przeszedł na drugą stronę, by zaoferować Anastazji pomocną dłoń. Ta przesunęła się w bok i nie przyjmując wyciągniętej dłoni oparła się na ramionach von Veltena. Zręcznie zeskoczyła na kamienie i uśmiechnęła się do niego.

- Idziemy? - powiedziała, po raz kolejny biorąc go pod ramię.

Widząc nadchodzącego ambasadora, para strażników pomaszerowała od strony ambasady w ich kierunku.

Kaspar zauważył jakiś czerwony tłumok porzucony pod bramą. Od strony budynku zasłaniała go ozdobna płyta. Kiedy strażnicy dotarli do żelaznych wierzei, Kaspar klęczał już przy zawiniątku i trącał je okrytą rękawicą dłonią. Kiedy wreszcie zaczął je rozwijać, wokoło rozniósł się przeraźliwy smród. Materiał był długi - von Velten rozpoznał dużą, szkarłatną chustę, noszoną zwykle przez bojarów z Kisleva. Fetor stawał się coraz ostrzejszy, ale ambasador nie mógł już teraz przerwać. Jakaś perwersyjna ciekawość zmusiła go, by zakończył rozpoczętą czynność. Wreszcie wydobył zawartość zawiniątka na światło dzienne.

Usłyszał krzyk Anastazji.

Spojrzał w dół.

Na kamieniach leżały cztery ludzkie serca.

II

Szpital Lubjanko został wzniesiony jakieś dwieście lat temu przy wschodnim murze miasta przez cara Aleksisa po Wielkiej Wojnie z Chaosem. Zbyt wielu ludzi umarło niepotrzebnie na skutek ran odniesionych w bitwach i braku pomocy medycznej, więc Aleksis był zdeterminowany, by Kislev mógł się poszczycić najlepszym tego typu przybytkiem w całym Starym Świecie. Po jego ukończeniu kapłanki Shallyi poświęciły ściany szpitala i rzeczywiście był on przez pewien czas domem dla nieszczęśników rannych i oszalałych na skutek horroru wojny. Niedługo jednak szpital stał się

posępnym królestwem chorych, obłąkanych i kalek. Całe piętra objęła we władanie powolna, podstępna śmierć - czy to na skutek wieku, czy też ciosu topora. To tutaj ci, którzy byli zbyt starzy lub też zbyt ciężko ranni, gnili pozostawieni sami sobie, powoli wysączały się z nich ostatnie godziny życia.

Prawdą jest powiedzenie, że nieszczęścia chodzą parami. Szpital stał się magnesem, który przyciąga nieszczęśników różnej maści. Sieroty, bezdomni, chorzy i szaleni - wszyscy przybywają, by odpocząć w jego ścianach. Czarna, kamienna fasada budynku i jego wysokie, zwieńczone ostro ściany służą jako ponure przypomnienie losu tych, którzy poszli złą drogą.

Matki uspokajają swoje rozbrykane pociechy mówiąc, że wrzucą je do mrocznych, koszmarnych sal, a ranni żołnierze modlą się do bogów, by oszczędzili im wizyty w szpitalu Lubjanko.

Nocami z wąskich, zabitych okien dobywa się echo potępieńczego wycia i śmierć nawiedza sale niczym drapieżnik, zbierając obfite żniwo, które rankiem płonie na stosach.

Dwóch ludzi kroczyło zimnym, kamiennym korytarzem. Całą jego długość rozświetlała lekko kapiąca pochodnia, trzymana przez kulejącego mężczyznę, którego otyłe ciało wypełniało prawie całą szerokość przejścia. Mężczyzna odkaslnął i splunął na podłogę gęsta flegmą. Dochodzące z mijanych cel wycia i płacze zagłuszyły nawet ten dźwięk.

Za pierwszym mężczyzną podążał w bezpiecznej odległości kolejny. Piotr Łosow trzymał się środka korytarza. Jego długi płaszcz z kapturem ciągnął się po powycieranych i brudnych kamiennych płytach. Pod nogami przebiegły mu trzy szczury. Łosow zachichotał

pod nosem, gdy zobaczył, że gryzonie obwąchują uważnie plwocinę idącego z przodu człowieka.

Brudne, zniszczone ręce sięgały ku nim spomiędzy prętów drzwi każdej celi. Żalosem zawrota, przekleństwa i splunięcia podążały tuż za nimi. Kulawiec uderzył okutą metalem pałką w drzwi celi, której mieszkańcy wrzeszczeli i hałasowali najgłośniejszym.

- Cisza, przeklęte ścierwa! - ryknął.

- Są coś głośni dzisiejszej nocy, Dymitrij - zauważył Łosow.

- Jak zawsze - warknął kuternoga, waląc pałką w kraty kolejnej celi. - Zawsze tak jest, kiedy zbliża się zima. Myślę, że oni czują ciemność i to, co się w niej kryje.

- Cóż za niespotykane, poetyckie spostrzeżenie, nie poznaję cię, Dymitrij.

Kulawiec wzruszył ramionami.

- Mamy teraz takie czasy, przyjacielu, ale nie ma się czym martwić. Mam tu gromadkę ślicznotek, które na pewno ci się spodobają. Młode. Nieskalane.

Gdy wypowiadał te słowa, obliznął wargi językiem.

Łosow nienawidził tego żalostnego i lubieżnego kaleki, który z pewnością nie był

godzien, by nazwać się człowiekiem. Ogólnie nie pałał co prawda miłością do bardzo wielu przedstawicieli ludzkiego gatunku, ale Dymitrij był szczególnie ohydny przykładem całego zepsucia, które trawiło tę rasę. Ach, jakże pragnął wyciągnąć swój pistolet, wykonany przez mistrza rusznikarza Chazate ze wschodnich krain, i wypalić kulawcowi prosto w łeb, tak żeby mózg obryzgał ściany. Widziały one i tak bardzo wiele okropieństw, jeszcze jedno nie robiło w tym miejscu różnicy.

Nigdy nie wyjawiał strażnikowi swego prawdziwego imienia. Pozwalał mu sądzić, że jego gość jest człowiekiem prowadzącym jakieś podejrzanym interesy i preferującym zdecydowanie młodsze i bardziej uległe obiekty seksualne niż przeciętny mężczyzna. Sam fakt, że Dymitrij uwierzył w to tak szybko, sprawiał, iż doradca Carycy czuł nieprzyjemne ściskanie w żołądku - jak można było sądzić, że ktoś taki jak on należy do tak perwersyjnego, zdegenerowanego towarzystwa?

Była to jednak wygodna wymówka i nie należało wyprowadzać strażnika z błędu, wszak prawda była znacznie gorsza.

Łosow musiał się prawie siłą powstrzymać przed sięgnięciem po pistolet, gdy Dymitrij dotarł wreszcie do zamkniętych na klucz drzwi, znajdujących się na samym końcu korytarza. Spod swoich obfitych szat kuternoga wyłowił pobrzękujący pęk kluczy. Zamek otworzył się z kliknięciem i Dymitrij pchnął drzwi. Odsunął się na bok, by dać przejście Łosowowi i przekazał mu pochodnię, gdy ten wchodził do środka.

W odróżnieniu od innych cel w szpitalu ta jedna była czysta, nie śmierdziała gównem, śmiercią i desperacją. Wzdłuż ścian leżały cztery posłania z mat i na każdym z nich siedziało dziecko - dwóch chłopców i dwie dziewczynki. Żadne nie miało więcej niż pięć, sześć lat.

Spoglądały nerwowo w górę, gdy Łosow wkroczył do pomieszczenia i starały się do niego uśmiechać, tak jak im wcześniej przykazano. Były przerażone, ale przyglądały mu się z nadzieją. Być może sądziły, że dzięki niemu będą miały szansę na wydostanie się z tej śmierdzącej, piekielnej dziury.

Łosow czuł łomotanie serca i pulsowanie krwi w żyłach.

Dymitrij miał rację. Wszystkie te dzieci były nieskalane i wręcz doskonałe. Musiały być niewinne. Ona wiedziałaby od razu, gdyby tak nie było.

Tylko krew niewinnych dzieci będzie wystarczająco dobra.

III

Kaspar wierzył święcie w to, że po odnalezieniu makabrycznego prezentu pod bramą ambasady jego nastrój nie może się już pogorszyć.. Bardzo się jednak mylił. Był to dopiero początek jednej z najgorszych nocy, jakie przeżył kiedykolwiek w swoim życiu.

Gdy zdołał trochę uspokoić Anastazję, weszli razem do ambasady. Znaleźli tam Pawła, czekającego na nich w holu u podnóża schodów prowadzących na piętro.

Wielki Kislevczyk wyglądał na zamyślonego. Kiedy się zbliżyli, rzekł do Kaspara:

- Jeźdźcy z Altdorfu czekają na ciebie na górze z listami. Myślę, że to coś ważnego.

- Czemu tak sądzisz?

- Uzbrojeni po zęby. Na pierwszy rzut oka prawdziwi twardziele. Ostro popędzali konie, by dotrzeć tu na czas.

- Rozumiem - stwierdził Kaspar, ostrożnie podając Pawłowi makabryczne zawiniątko.

- Potrzyмай to.

Paweł skinął głową i odchylił rąbek tkaniny.

- Na zęby Ursuna, toż to ludzkie serca!

- Zauważyłem - odparł z niesmakiem Kaspar, wchodząc już po schodach na górę.

Stopnie przykryte były niedawno kupionym dywanem.

W gabinecie czekało na niego czterech posłańców z Altdorfu. Ich ogorzałe od wiatru i mrozu twarze oraz nie pierwszej świeżości ubrania świadczyły o tym, iż rzeczywiście musieli jechać bardzo forsownie przez parę ostatnich tygodni, by dotrzeć do Kisleva. W gabinecie byli również dwaj rycerze i gdy ambasador wszedł do środka, natychmiast stanęli w gotowości.

- Panowie - zaczął von Velten, przechodząc za swoje biurko. - Widzę, że wasza podróż była niezwykle wyczerpująca. Może chcecie się najpierw odświeżyć?

- Nie, dziękujemy, Herr ambasador - odezwał się krzepki mężczyzna o ponurej twarzy. Trzymał w wyciągniętym ręku kawałek pergaminu, zalakowany zielonym woskiem. -

Nazywam się Pallanz i przynoszę listy najwyższej wagi. Chciałbym przekonać się, że dotarliście do ciebie, panie, zanim wyjdę.

- Jak sobie życzysz, Herr Pallanz - Kaspar przyjął list. Przyjrzał się woskowej pieczęci z odcisniętym znakiem Drugiego Domu Wilhelma i jego niepokój jeszcze się pogłębił. Złamał

pieczęć i rozłożył gruby pergamin, a potem zagłębił się w lekturze. Pismo było pochyłe i zdecydowane; zanim jeszcze ujrzał prosty podpis na dole listu wiedział już, że został on napisany osobiście przez nikogo innego jak samego Imperatora Karla Franza we własnej osobie.

Kaspar przeczytał list dwukrotnie zanim pozwolił mu wysunąć się spomiędzy palców.

Opadł ciężko na krzesło i przeczytane właśnie słowa zupełnie nim owładnęły. Nie chciał

wierzyć, że to co właśnie przeczytał, było prawdą. I co mogło to, nie, raczej co będzie to oznaczało dla jego stanowiska tu, w Kislevie.

Ledwie słyszał, jak posłańcy proszą go o pozwolenie odejścia i nieznacznie skinął

ręką w kierunku drzwi, gdy ponowili prośbę. Kiedy wyszli, do gabinetu wkroczył Paweł, wycierający dłonie w płócienną szmatkę. Wskazał leżący na biurku list.

- Niedobry? - zapytał.

- Niedobry - przytaknął von Velten.

IV

- Musisz wypić wszystko - nalegała Sofia. - Nie przyniesie odpowiedniego skutku, jeśli nie wypijesz całej porcji.

- Psiakrew, kobieto! - warknął Matthias Gerhard. - To okrutne! Próbujesz mnie otruć, wiem to!

Sofia Walencik trzymała pełną szklankę przed kupcem.

- Zapewniam cię, Herr Gerhard, że jeśli rzeczywiście chciałabym cię otruć, na pewno nie byłbyś już w stanie o tym teraz rozprawiać.

Światło lampy przeświecało przez mętny płyn. Sofia wyprodukowała go z zatrważającej ilości składników, które wydobyla ze swej płóciennej torby. Napój pełen był

pływających listków i śmierdział skwaśniałym mlekiem. Nie wyglądał zbyt zachęcająco.

Gerhard kichnął potężnie i wykrzywił twarz. Przyjął jednak szklaneczkę i przełknął jej zawartość jednym haustem. Kiedy pił ziołowe lekarstwo, ogarnęły go mdłości i wydał z siebie jakiś nieartykułowany warkot. Odstawił szklanę pomiędzy sterty papierów a potem kapryśnym gestem założył ręce na piersi.

- Bardzo to denerwujące, kiedy traktuje się w ten sposób człowieka o mojej pozycji.

- Chyba powinieneś być szczęśliwy, Herr Gerhard - odparła Sofia. - Wielu innych ludzi zostałoby wtrąconych w najgłębszy loch Czekistów za czyny, które ty popełniłeś.

Dziękuj bogom, że ambasador von Velten wciąż cię potrzebuje i pozwolił ci pozostać we własnym domu.

- Jestem przetrzymywany w swoim gabinecie przez całe dni pod ciągłą strażą uzbrojonych rycerzy i tego starego węża! - oburzony kupiec wskazał palcem Stefana, siedzącego właśnie za wspaniałym, dębowym biurkiem i skrytego za istną ścianą oprawnych w skórę ksiąg rachunkowych. Na końcu jego nosa tkwił pince-nez, a gęsie pióro z wielką prędkością przesuwano się po długim pergaminie.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, Sofio - odezwał się Stefan, nawet raz nie podnosząc wzroku znad zwalonych na stosy ksiąg Gerharda - powinnaś po prostu dać mu umrzeć od tej gorączki. Z pewnością sobie na to zasłużył.

- Bądź cicho, ty stary głupcze - odparła Sofia, chowając do swej torby słoje z ziołami i kataplazmami. - Ambasador poprosił mnie, bym się upewniła, że ten człowiek nie umrze i wcale nie mam zamiaru pozwolić mu zejść z tego świata.

- Chyba ci się to nie uda - stwierdził Stefan. Pióro skrobało głośno po pergaminie.

- A co to właściwie miało oznaczać? - zapytała Sofia, odwracając się w jego stronę.

- Nic - odparł lekko Stefan - zupełnie nic.

- Dobrze, i wdzięczna będę, jeśli na przyszłość zachowasz takie uwagi dla siebie.

- Mówiłem tylko po prostu...

- Dobrze już, nie tłumacz się - ucięła Sofia. Z dołu dobiegło głośne łomotanie w drzwi wejściowe.

Odwróciła się do Gerharda i spytała:

- Spodziewasz się jakichś gości?

V

Zapadł już zmrok, kiedy Kaspar z Pawłem przebrali się w szaty bardziej odpowiednie na wizytę w

pałacu. Zamiast pojechać konno, jak to Kaspar zwykle czynił, zdecydował tym razem udać się do Zimowego Pałacu powozem. Czterech gwardzistów z ambasady, prowadzonych przez Leopolda Dietza, zajęło miejsca na specjalnej platformie z tyłu, a sześciu rycerzy jechało konno obok powozu.

Pojazd przebiegał się wolno przez zatłoczone ulice miasta, z trudem przedzierał się przez kolejne prospekty, zmierzając cały czas ku wzgórzu, na którym wyrastał Pałac Zimowy.

Kaspar siedział skulony wewnątrz powozu i starał się ułożyć w głowie całą przemowę dla Carycy Katarzyny. Oczywiście przyjmując, że nie zostanie odprawiony z kwitkiem, choć tym razem raczej nie wchodziło to w rachubę. Miał jakieś niepokojące przeczucie, że tym razem biurokratyczna ściana, na jaką napotykał starając się o audiencję u Carycy zniknie, ale bynajmniej nie z jego inicjatywy.

- Może nie będzie aż tak źle - myślał głośno Paweł, siedzący naprzeciwko Kaspara. -

Caryca niegłupia, ona wie, Aleksander tylko przeszkadzał. Ona nie lubiła go wcale.

- Jest pewna różnica między nie lubieniem swego kuzyna, a nie dbaniem o jego śmierć w jakimś zagranicznym mieście - zauważył Kaspar.

- Może, ale to przecież był mniej lub bardziej wypadek.

- Potrafisz sobie wyobrazić Karla Franza, przyjmującego ze stoickim spokojem wieść, że ktoś z jego rodziny został zamordowany „w wypadku” tu, w Kislevie?

- Przypuszczam, że nie - przytaknął Paweł, składając ramiona na piersi i wyglądając przez okno powozu. - Bardzo źle.

- Tak - zgodził się von Velten. - Bardzo źle.

Kaspar zauważył z goryczą, że ocena sytuacji, jakiej dokonał Paweł, nie mogła być bardziej trafna. List od Imperatora mówił o „nieszczęśliwym i godnym pożałowania wypadku”, który miał miejsce w jednej z mniej przyjaznych i bezpiecznych części Altdorfu kilka tygodni temu.

Nieszczęśliwy i godny pożałowania - to było określenie, które nie oddawało nawet w części tego, co się wydarzyło.

Pewnej mglistej nocy miesiąca Brauzzeit karoca wioząca kuzyna Carycy, Aleksandra, zmierzała przez Luitpoldstrasse w kierunku Ulicy Stu Tawern, kiedy zatrzymali ją uzbrojeni egzekutorzy, działający w imieniu jednego z większych kantorów z Altdorfu. Stało się to przed sławną oberżą Półksiężyc.

Jako nałogowy hazardzista i niesławny rozpustnik, Aleksander był dłużny różnym osobom bardzo pokaźne sumy, a ich agenci nie byli w nastroju, by wysłuchiwać po raz kolejny jego błagań o odroczenie spłaty i wtrącili go do najbliższego więzienia dla dłużników.

Rankiem, gdy dowiedzieli się o wydarzeniach mających miejsce poprzedniego wieczora odpowiedni, wpływowi ludzie, zapanowało spore zmieszanie w związku z tak poważnym naruszeniem protokołu dyplomatycznego. Zmieszanie prędko zamieniło się jednak w prawdziwy

horror, kiedy strażnicy otworzyli drzwi celi, w której przebywał Aleksander i znaleźli jego martwe ciało. To inni przebywający tam więźniowie pobili go i w końcu zamordowali.

Kaspar tylko oględnie potrafił sobie wyobrazić furię Królowej Lodu na wieść o tym haniebnym czynie wobec jej rodziny. Sama myśl o stawieniu się przed jej obliczem, gdy będzie w takim nastroju, sprawiała, że czuł gorący strach spływający do żołądka. Wolałby raczej stanąć oko w oko z całą armią rozozoconych zielonoskórych barbarzyńców niż zmierzyć się z wszechpotężnym gniewem wściekłej czarodziejki.

Oparł łokieć na krawędzi okna powozu i położył policzek na dłoni. Wpatrywał się tępo w ciemność, kiedy wyjeżdżali na Plac Bohaterów. Tysiące ludzi - tych szczęśliwców, którzy zdążyli wejść do miasta zanim zamknięto bramy - obozowało właśnie tutaj. Na całej długości i szerokości placu płonęły ogniska. Niegdyś ogromny plac był pusty, lecz teraz wypełniało go szczelnie okazałe miasteczko, wzniesione z obdartych i brudnych namiotów.

- Na młot Sigmara - odezwał się Kaspar. - Będzie to iście tytaniczne zadanie wykarmić tych wszystkich ludzi, kiedy armie z północy wreszcie tu dotrą.

- Prawda - zgodził się Paweł. - Jak długo, ty myślisz?

- Jak tylko zaczną się pierwsze roztopy i mróz trochę odpuści. Późny Nachexen, ewentualnie wczesny Jahrdrung, tak mi się wydaje.

- Niedługo.

- Nie.

Kłopoty zaczęły się, kiedy jeden z Rycerzy Pantery rozkazał grupie ludzi zrobić drogę i rozstąpić się przed ambasadorem Imperium. Odpowiedziały mu obelżywe, pełne gniewu okrzyki kierowane w stronę powozu. Paweł przechylił się, by wyjrzeć przez okno i sprawdzić, co dzieje się na zewnątrz.

- Bystrzej. Pajechali prędko.

- Co takiego? - zapytał von Velten, wyrwany nagle z wypełnionego złymi przecuciami zamyślenia.

- Jechać prędko - powtórzył Paweł, wskazując za okno.

Kaspar wyjrzał na zewnątrz i zobaczył przed sobą setki wykrzywionych wściekłością twarzy ludzi, otaczających powóz szczelnym kordonem, tłoczących się dookoła rycerzy i rzucających bez przerwy w ich stronę obelgi. Nikt nie miał śmiałości zbytnio się do nich zbliżyć, ale Kaspar zorientował się natychmiast, że atmosfera jest paskudna.

- Co oni wyprawiają? Dlaczego tak krzyczą?

- Chyba wiedzą już o Aleksandrze - odparł zaniepokojony Paweł. - Nie podoba im się to.

Okrzyki tłumu stawały się coraz głośniejsze, a powóz jeszcze bardziej zwolnił, kiedy coraz więcej

rozwścieczonych ludzi zbierało się dookoła. Kaspar stwierdził, że podróżowanie po mieście w powozie ozdobionym jego rodzowymi znakami herbowymi i godłem Imperium nie było zbyt dobrym pomysłem. Rycerze krzyczeli na Kislevczyków, by ci się cofnęli i pomimo tego, że mówili w obcym języku, znaczenie słów było jednoznaczne i można było je odczytać ze sposobu, w jaki dźgali tępymi końcami swych kopii w kierunku twarzy zbliżających się zbyt blisko do powozu ludzi.

Byli już niespełna sto metrów od bram pałacu. Przed masywnym budynkiem stało nieruchomo dwudziestu odzianych w spiżowe zbroje rycerzy, dosiadających niespokojnych, parskających wierzchowców.

Czemu nie jadą nam z pomocą? - zastanawiał się Kaspar. - Z pewnością muszą widzieć, że w tej chwili potrzebujemy wsparcia?

Potem uświadomił sobie, że prawdopodobnie rycerze dostali rozkaz, by się nie wtrącać.

Kamień brukowy wyrwany z ulicy uderzył w powóz i, strzaskawszy drewnianą ściankę, wpadł do środka. Gdy posypały się kolejne pociski, łomocząc w drewno i roztrzaskując szkło, zmieniając je w śmiertelnie niebezpieczne zadziory, Kaspar schylił się.

Od strony strażników siedzących na powozie dobiegły do jego uszu okrzyki bólu i prędkie rozkazy.

Rozwścieczony tłum ruszył niczym morska fala do przodu.

VI

Drzwi ustąpiły pod naporem, pękły, odskoczyły na zawiasach w tył i rąbnęły w wapienną ścianę. Zaprawa pokruszyła się pod wpływem tego uderzenia. Wskoczył przez próg, wyczuwając zapach swej ofiary dochodzący z wyższych pięter domu. Wnętrze mieszkania było doskonale utrzymane, z pewnością należało ono do bogatego człowieka, choć nie miał najmniejszego pojęcia, jak mógł się on nazywać.

Przebudził się z obrazem twarzy płonącym w umyśle, wczesna ciemność popołudnia rozmyła się, zalana falą wściekłości i nienawiści, krążącej w jego żyłach na myśl o kolejnej zbliżającej się uczcie.

Ani nie wiedział, ani nie dbał o to, jak nadeszły do niego te obrazy, które wyzwalały jego prawdziwe ja. Po prostu nadeszły i uwolniły go od przeklętej służalczości, skrytej za maską nieszczęśliwego i pobitego drugiego ja.

Prawdziwe ja nie cierpiało wszystkich tych poniżeń, które były udziałem drugiego ja.

Czy tak naprawdę ich nie zakończyło?

Był zdecydowanie kimś więcej niżli tylko jęczącym chłopakiem, którego ON z niego uczynił. Obudził w sobie wreszcie swoje prawdziwe ja, sprawił, że zyskało ono pełny potencjał. Jakże rechotał i płakał jednocześnie tego dnia, gdy zakończył wreszcie cierpienie drugiego ja, rąbiąc JEGO na krwiste kawałki toporem, a potem usiadł i zaczął pożerać kawały mięsa, odrywając je zębami od

kości.

Potrafił to zrobić tylko dla niej i tylko dla niej wciąż robił te rzeczy.

Hol był spowity ciemnością i zauważył dwie odziane w pancerze postacie, schodzące w dół po schodach, kierujące się bez wątpienia w jego stronę. Trzymali przed sobą wzniesione do góry miecze. Rycerze z lamparcimi skórami udrapowanymi na naramiennikach stali między nim i jego ofiarą. Nie mogło tak być.

Nawet przez zamknięte przyłbice hełmów potrafił wyczuć odrazę, którą czuli na widok jego nagiego ciała i trupiej maski na twarzy. Jakże niewiele rozumieli. Jeden z rycerzy krzyknął coś do niego i nagle zauważył trzy postacie, biegnące po platformie u góry schodów.

Zapach ofiary wypełnił mu nozdrza, więc ryknął, ogarnięty furją.

Pierwszy rycerz ruszył do przodu, machnął mieczem na wysokości jego przepony, ale on przetoczył się pod pędzącym ostrzem, wysuwając ze swego ciała sztylet i wbijając go w szparę pomiędzy płytami zbroi atakującego. Ten krzyknął przeraźliwie, gdy wąskie ostrze rozdarło ogniwa jego koszulki kolczej i zagłębiło się w udo. Skręcenie nadgarstka przerwało główną arterię i przetoczył się na równe nogi, kiedy rycerz padał na podłogę. Z rany tryskała obfita fontanna krwi.

Drugi rycerz postąpił ku niemu i zadał z impetem cios swoim mieczem, ale jego już tam nie było. Przeskoczył ponad opadającym ostrzem, wylądował lekko, obracając się na jednej nodze i wbił mocno swą bosą nogę w udo rycerza. Metal odkształcił się z chrzęstem na skutek porażającej siły uderzenia i usłyszał głośnie trzaśnięcie, gdy pękła kość udowa. Rycerz ryknął z bólu i zwałił się na podłogę. W tym momencie on biegł już po schodach, przeskakując po trzy stopnie na raz. Wskoczył na platformę, kierując się w tę samą stronę co jego ofiara, przebijając się przez każde drzwi, które napotkał na swej drodze.

Był już blisko. Z impetem uderzył ramieniem w następne drzwi, wkraczając do zbytckownie urządzonej sypialni. Najważniejszym meblem w pomieszczeniu było masywne łóże z czterema grubymi kolumnami, udrapowane czerwonym i złotym jedwabiem, ale nie zaprzętał sobie nim głowy, widząc stojącą naprzeciwko trójkę ludzi.

Widział ich twarze wykrzywione przerażeniem, kiedy tak stał przed nimi w glorii swego nagiego ciała.

Ich strach na jego widok wypełnił pomieszczenie wyczuwalnym zapachem. Zaśmiał się.

A potem ją zobaczył.

Cały jego świat przewrócił się w jednej chwili do góry nogami.

- Jedź! - krzyknął Kaspar przez rozbite okno powozu.

Usłyszał trzask bata, ale powóz przesunął się tylko nieznacznie, blokował go naciskający ze wszystkich stron tłum. Powietrze wypełniały gniewne okrzyki i wrzaski.

Kaspar słyszał pełne bólu pojękiwania mieszające się z głosami pełnymi szału, gdy jego strażnicy i rycerze rozpoczęli walkę w jego obronie. Zobaczył, że rycerze odrzucili kopie, zbyt niewygodne by użyć ich w takiej ciasnocie, i dobyli z pochew mieczy.

- Nie! - ryknął Kaspar. - Nie zabijać!

Nie miał pojęcia czy ktokolwiek usłyszał jego wołanie, ale wkrótce zobaczył, jak rycerze okładają tłoczących się ze wszystkich stron Kislewczyków płazami i rękojeściami swoich mieczy.

Gwardziści z ambasady, wciąż uczepieni kurczowo powozu, kopali dookoła podkutymi żelazem buciorami, łamiąc kończyny i odpychając tych ludzi, którzy zbliżyli się zbyt blisko do drzwi. Coraz więcej kamieni brukowych i innych pocisków uderzało w drewniane ściany i Kaspar uświadomił sobie, że to tylko kwestia czasu, nim zostaną całkowicie zalani przez atakującą wściekle tłuszcę.

- Cholera, dlaczego ci przekłeci Kislewczycy nie raczą się ruszyć? - ryknął Kaspar, uderzając pięścią w twarz jakiegoś wyjącego mężczyzny, który próbował się właśnie wspiąć do powozu.

- Po mojemu to Królowa Lodu daje nam lekcję - zawyrokował Paweł, wykręcając i łamiąc nadgarstek ręki, która właśnie sięgała przez rozbite okno. Rozległ się krzyk i ręka cofnęła się błyskawicznie.

Rycerze Pantery zataczali kręgi dookoła powozu, okładając płazami mieczy kłębiący się tłum. Ich konie wierzgały przednimi nogami, krzesząc kopytami iskry z kamieni. Potężne wierzchowce były dużo wyższe niż większość ludzi w atakującym tłumie, ich wielkość budziła podobny respekt jak twarde kopyta.

Było to jednak wszystko, co mogli uczynić rycerze, nie uciekając się do bardziej zdecydowanych działań, które z łatwością mogły zakończyć się śmiercią któregoś z Kislewczyków. Wkrótce też zostali kompletnie otoczeni przez wściekły tłum, który atakował

ich zaimprovizowanymi maczugami, kamieniami i wszystkim innym, co akurat wpadło ludziom w ręce. Żadna z tych prymitywnych broni nie miała najmniejszej szansy, by przebić zbroję płytową, ale wraz ze wzrastającą wciąż ilością napastników stało się jasne, że w pewnym momencie rycerze zostaną pokonani samą przewagą liczebną.

Jeden z Rycerzy Pantery został ściągnięty z konia i tłum natychmiast rzucił się na niego, zasypując jego hełm istnym gradem uderzeń. Przestali dopiero w momencie, gdy spod pancerza popłynęła strużka krwi, rozlewając się po kamieniach. Koń kolejnego z rycerzy kwiknął wściekle z bólu. To jakiś pomysłowy napastnik zdołał zająć go od tyłu i podciął mu ścięgna. Wierzchowiec zwałił się na ziemię, wyrzucając z siodła jeźdźca, który jakimś cudem zdołał się przetoczyć i stanął na nogi. Podczas upadku stracił miecz i teraz okładał

napierających na niego ludzi opancerzonym kulakiem.

Kaspar kopał i walił pięściami, gdy rozemocjonowany tłum starał się przedrzeć przez drzwi powozu. Paweł trzymał ich na dystans z drugiej strony, ale było tylko kwestią czasu, kiedy obaj zostaną wyciągnięci przemocą na zewnątrz.

Von Velten ze złością obserwował oszalały tłum i przeklął fakt, iż jego kariera jako ambasadora skończy się na jednej, zwiędłej notce: rozszarpany na sztuki przez ludzi, którym przybył pomagać.

Drewno łamało się w drzazgi, gdy tłum uderzał coraz zacieklej w zrobione z cienkich deseczek ściany powozu. Powoli zaczynał się przez nie przebijać.

- Paweł! - zawołał Kaspar.

- Widzę!

Wrzeszczący mężczyzna wpadł do środka, z jego wściekle wykrzywionych ust pryskała na wszystkie strony ślina. Rzucił się na Kaspara. Jego uderzenie zostało osłabione dzięki panującej we wnętrzu pojazdu ciasnocie, więc Kasparowi udało się przetoczyć i uniknąć impetu ciosu. Poczul, jak pęka mu skóra na policzku. Schwycił mężczyznę za przód jego lichej, biednej tuniki i z rozmachem uderzył go czołem prosto w twarz.

Chrupnęła łamana kość, rozległ się straszliwy krzyk bólu, bluznęła krew. Mężczyzna odskoczył w tył.

Do wnętrza powozu wdarła się kolejna ręka i pociągnęła Kaspara do siebie. Inne przytrzymały mu ramiona wzdłuż ciała.

- Jasna cholera! - krzyknął, kiedy poczul uderzenie w bok głowy. Pięści i obute stopy uderzały w jego ciało i zorientował się, że napastnicy wreszcie wywlekają go na zewnątrz.

Ciężko opadł na kamienie, którymi wybrukowano cały plac. Padając, kątem oka zauważył

Pawła po drugiej stronie powozu. Potem zakrył głowę rękami i podciągnął nogi, kiedy poczul na ciele prawdziwy grad uderzeń.

Powietrze wypełnione było ciągłym hałasem i krzykami ludzi, ale nawet w swojej niewesołej sytuacji Kaspar zdołał rozpoznać w głosach zupełnie inny, nowy ton. Bijący go ludzie poszli nagle w rozsypkę. Biegli tak, jakby na pięty następowało im co najmniej stado demonów zrodzonych z Chaosu. Von Velten przetoczył się na bok i skulił, czując nagły, ostry ból w żebrach. Pełził z trudem przez odtajały śnieg i schronił się w jedynym miejscu zapewniającym jakąkolwiek osłonę - pod powozem, a raczej pod tym, co z niego pozostało.

Dołączył do niego Paweł. Jego twarz wyglądała niczym krwista maska, kopnięcie rozcięło mu skórę nad okiem.

- Przekłęci, oni czekali do teraz... - wydyszał wielki Kislevczyk.

- Co? - spytał Kaspar, wciąż oszołomiony i łapiący z trudem oddech.

- To - Paweł wskazał w kierunku rozpędzającej tłum dwudziestki zakutych w spiż rycerzy. Ich miecze wycinały w tłumie ścieżkę biegnącą dokładnie w ich kierunku.

Napiersniki ozdobione były wizerunkiem srebrzystego niedźwiedzia, a hełmy wieńczyły czaszki z długimi kłami.

Spędzili tłum z dala od szczątków powozu, nie okazując litości nikomu, kto nie zdążył

w porę uskoczyć im z drogi. Krew tryskała na kamienie, gdy wycinali sobie drogę. Sześciu Rycerzy Pantery, w tym jeden bez hełmu, podtrzymywany przez swoich towarzyszy, stworzyło linię oddzielającą ambasadora od zbliżających się potężnych jeźdźców. Strażnicy z ambasady także do nich dołączyli. Ze stanu ich porozdzieranych mundurów i posiniaczonych ciał można było wywnioskować, że oni także byli zmuszeni walczyć zębami i paznokciami z rozwścieczonym tłumem. Serce Kaspara urosło w piersi z dumy.

Kislevscy rycerze wstrzymali konie tuż przed swymi imperialnymi kolegami. Rycerze Pantery wzniesli do góry miecze, gotowi w każdej chwili zrobić z nich użytek.

Przywódca Kislevczyków wsunął do pochwy swój pokrwawiony miecz i rzekł:

- Ambasadorze von Velten, Królowa Lodu przyjmie cię teraz.

Kaspar wypełził spod powozu i powoli wstał na nogi, podtrzymując się jednego ze złamanych kół pojazdu; kolano przeskoczyło mu boleśnie. Najlepiej jak mógł doprowadził się do porządku, przyglądził podartą tunikę i bryczesy, zanim odezwał się do rycerza.

- Bardzo dobrze, jeśli chce bawić się w taki sposób, niech i tak będzie.

Otoczony przez swój sponiewierany orszak, Kaspar podążył za rycerzami przez bramy Pałacu Zimowego.

VIII

Od momentu, gdy był tu ostatnim razem, niewiele się zmieniło w salach należących do Carycy. Lodowe ściany wciąż migotały i zapierały dech w piersiach swym urokiem.

Mozaiki na suficie były wciąż tak samo zachwycające, a powietrze tak samo chłodne jak to zapamiętał. Ale tym razem nie przybył tu jako niechętny gość - tym razem przybył jako obrońca. Czuł rosnący ucisk w gardle, kiedy myślał o tym, że zaraz będzie musiał się ukorzyć przed tą wyniosłą kobietą. Kobieta, która prawie pozwoliła, by on i wszyscy jego ludzie zostali zabici - wciąż miał to w pamięci. Jeden z jego rycerzy miał pękniętą czaszkę i prawdopodobnie nie będzie zdolny do jakiegokolwiek czynnej służby przez wiele tygodni.

Strażnicy z ambasady również mieli połamane kończyny oraz sporo poważnych ran i stłuczeń. On i Paweł też byli tego sponiewierani, ciała mieli obite i minie z pewnością sporo czasu, zanim w pełni

dojdą do siebie.

Paweł przecierał czoło chłodną, zmoczoną ściereczką, starając się jak najlepiej zmyć krew ze swojej twarzy. Kaspar na powrót podjął bezowocne próby doprowadzenia się do porządku i nadania sobie bardziej reprezentacyjnego wyglądu. Nie chciał stanąć przed Carycą jak jakiś brudny prostak.

Łudził się jeszcze, że dostaną trochę czasu, by jakoś się ogarnąć, ale wyglądało na to, iż Królowa Lodu nie pozwoli im na ten luksus. Gdy tylko wkroczyli do pałacu, natychmiast pojawił się pędzący w ich stronę, pochmurny Piotr Łosow. Jego pobrużdżona zmarszczkami twarz zdradzała wielkie zmęczenie i zaaferowanie.

- Ambasadorze von Velten! - wyrzucił z siebie potoczysty strumień słów - W jakich czasach żyjemy, że ktoś o takiej pozycji może zostać zaatakowany przez rozwścieczony tłum.

Nie ujdzie to im na sucho, mogę cię zapewnić.

- Nic by się nie stało, gdyby wasi cholerni rycerze przybyli nam z pomocą odrobinę wcześniej - słowa Kaspara zabrzmiały ostro jak strzał z bicia. Jego cierpliwość była już na wyczerpaniu.

- Wiem, wiem, jakże mam się usprawiedliwić, nie mam wprost słów, Herr ambasador

- przytaknął Łosow. - Ale rycerze strzegący pałacu mieli bardzo szczegółowe rozkazy, które nie pozwalały im opuścić posterunku bez wyraźnego przyzwolenia czy rozkazu od dowódcy.

Niestety, zabrało mi chwilkę, zanim go wreszcie odnalazłem.

- Jakiż pechowy przypadek... - zakpił Paweł.

- W rzeczy samej - uśmiechnął się Łosow nie zauważając - lub zignorowawszy - sarkazm w głosie Korowicza.

- Niektórzy z moich ludzi są ciężko ranni - powiedział Kaspar. - Potrzebują wody i bandaży.

- Zadbam o to nie zwlekając - zapewnił Łosow, pstrykając palcami. Rzucił jakieś rozkazy w stronę odzianego w błękitne szaty służącego.

- Twoi ludzie otrzymają odpowiednią opiekę, Herr ambasador, ale obawiam się, iż muszę nalegać, byś ty sam towarzyszył mi niezwłocznie do Południowej Komnaty. Caryca już na ciebie czeka, a nie lubi, gdy oczekiwanie przedłuża się bardziej niż jest to konieczne.

Główny doradca Królowej Lodu poprowadził ich przez główny westybul, a potem w górę oplecionych girlandami schodów, którymi wchodzili już podczas swej ostatniej wizyty w Pałacu Zimowym, a które teraz wydawały się jakby trochę mniej okazałe.

Przez całą drogę Kaspar starał się uspokoić i walczył o odzyskanie nad sobą kontroli.

Caryca czyniła im wymówki za to, że musiała czekać! Sprawdzała w niebezpieczny sposób granice jego cierpliwości, przekłeta kobieta.

Wkroczyli wreszcie do głównej sali, gdzie podczas ostatniej audiencji odbywały się tańce i Kaspar mimowolnie wykręcił głowę do góry, by przyrzeć się z zachwytem majestatowi Zimowego Pałacu.

Gdy sobie to uświadomił, opuścił wzrok i utkwił go w podwójnych drzwiach na końcu komnaty. Doskonale rozumiał subtelną grę Carycy - decyzję, by wszystkie spotkania odbywały się właśnie tutaj, w komnacie, gdzie jej niesamowite magiczne umiejętności były tak wyraźnie widoczne.

Zegar nad drzwiami zadzwonił. W tej samej chwili oba skrzydła wrót otworzyły się z impetem i do komnaty wkroczyła Królowa Lodu, a wraz z nią jej niezwykle liczny orszak złożony ze sług, faworytów, skrybów, lokai i innych kręcących się w pobliżu władczyni ludzi.

Była równie wspaniała jak to Kaspar zapamiętał. Gdy tylko weszła do pomieszczenia, powietrze od razu zrobiło się chłodniejsze - temperatura spadła gwałtownie. Władczyni ubrana była w wyszywaną perłami i kryształami lodu suknię koloru kości słoniowej. Zdawała się płynąć ponad podłogą. Włosy spływały jej luźno na ramiona, były bardziej lodowe i zimne niż to zapamiętał, spięte po bokach czoła dwiema zapinkami z kolorowego lodu. Von Velten zauważył, że tak samo jak poprzednim razem ma przy sobie starożytne ostrze chan-królowych

- Widmo Mrozu.

Oczy Carycy były niczym dwa diamenty - twarde i ostre, na policzku połyskiwała namalowana lodowa łza.

- Nie jest chyba szczęśliwa - skomentował jej pojawienie się Paweł.

- Chyba nie - zgodził się z nim Kaspar, kiedy trójka krzepkich, nagich od pasa w górę wojów z długimi osełdcami i nawoskowanymi wąsiskami wtaszczyła do komnaty tron z wysokim oparciem, cały ze złota i lapis lazuli. Ustawili go tuż obok swej królowej, a potem stanęli za jej plecami, krzyżując potężnie umięśnione ręce na piersiach.

Caryca zasiadła na tronie, nie racząc nawet spojrzeć w ich stronę. Pochwę z mieczem położyła sobie na kolanach.

Kaspara przeszedł dreszcz - czuł fale lodowatego zimna emanujące od królowej i jej niepokojącego oręża. Zanim zdążył wypowiedzieć choć słowo, Królowa Lodu złożyła ręce na prześwitującej pochwie magicznego miecza i rzekła:

- Zostaliśmy dotkliwie zranieni, ambasadorze von Velten. Jeden z ukochanych synów Kisleva został nam odebrany.

Kaspar doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że musi ostrożnie dobierać słowa.

- Wasza wysokość, w imieniu Imperatora Karla Franza chciałbym przekazać najszczerze wyrazy głębokiego smutku i najżarliwsze kondolencje od całego naszego narodu w związku z tą bolesną

stratą. Doskonale zdają sobie sprawę, jak ważny był Aleksander dla waszej rodziny.

Kąciki ust Królowej Lodu wykrzywiły się lekko, gdy odpowiedziała:

- Rzeczywiście, był wspaniałym człowiekiem, a jego strata będzie z pewnością bardzo dotkliwa. Powiedz mi, jak to się stało, że zginął?

Kaspar zawahał się na ułamek sekundy, uświadamiając sobie, że kłamstwo będzie bezcelowe, wiedząc jednak także, że nie był to czas i miejsce, by rozwodzić się na temat okoliczności śmierci Aleksandra. Wyczuł zawołaną groźbę w tym swobodnie zadanym przez Carycę pytaniu i uważnie ułożył sobie w głowie odpowiedź, zanim wreszcie się odezwał.

- On... doniesiono mi, że został zamordowany przez jakichś oprawców, a w całej sprawie chodziło o pieniądze. Miał długi.

- Pieniądze? Jak to możliwe, by szlachcic z Kisleva znalazł się w takiej sytuacji? Mój królewski kuzyn był człowiekiem wielkiej krwi i miał nienaganne maniery. Bardziej prawdopodobne jest, że wasi lichwiarscy urzędnicy z Altdorfu zaszczuli go na śmierć za parę nędznych fenigów.

- Wasza wysokość, nie znam jeszcze wielu szczegółów, dotyczących tragicznego zejścia Aleksandra. Jestem tu po to, by przekazać kondolencje w imieniu Imperatora i zaoferować ci zadośćuczynienie za stratę, którą poniosła twoja rodzina.

- Zadośćuczynienie? - przerwała mu Królowa Lodu - Jakież zadośćuczynienie może wynagrodzić mi stratę kogoś tak dla mnie drogiego jak Aleksander? On był świętym mężem, a wasz przeklęty naród liczykrupów bez wątpienia był niezmiernie uradowany, widząc go tak poniżonym.

- Mogę cię zapewnić, Wasza Wysokość, że z pewnością tak nie było - odparł

spokojnie Kaspar.

- Nie graj ze mną w swoje gierki, ambasadorze von Velten, nie jest dla mnie tajemnicą, w jaki sposób wasz kochany Imperator patrzy na mój naród - to dla niego zależna prowincja, wygodny bufor pomiędzy Imperium i plemionami barbarzyńców z północy.

Śmierć synów i cór tej ziemi sprawia, że wasz kraj jest bezpieczny. Jesteśmy waszymi sprzymierzeńcami tylko dlatego, że jest wam tak wygodnie, tobie i całej twojej nacji.

- Wasza wysokość... - chciał się wtrącić Kaspar, ale Królowa Lodu jeszcze nie skończyła swojej przemowy.

- Każdego roku północne plemiona najeżdżają i plądrują nasze ziemie, zabijając setki moich poddanych. Wylewamy krew za ten kraj i za każdym razem przepędzamy najeźdźców z powrotem do ich domów na pustkowiach. I jakie otrzymujemy podziękowanie za te wszystkie poświęcenia?

Kaspar zaciskał mocno pięści, gdy Królowa Lodu czyniła mu wymówki. Nie mógł

wprost uwierzyć, że miała śmiałość sugerować coś takiego. Czy to nie synowie Imperium ginęli nawet teraz w obronie tego nędznego kraju? Gdy Caryca tak go łajęła, ambasador czuł, że jego nadszarpnięta przez wydarzenia na Placu Bohaterów cierpliwość zaczyna się wyczerpywać. Powoli puszczały mu nerwy..

- Prosimy twojego Imperatora o pomoc, ale tylko wtedy, kiedy to wasze ziemie są bezpośrednio zagrożone, raczycie wysłać tu jakieś wojska...

- Do cholery, kobieto - warknął Kaspar, straciwszy wreszcie cierpliwość. Postąpił do przodu, a strażnicy Carycy stojący dotąd za tronem także ruszyli, żeby powstrzymać rozsierdzonego generała Imperium.

- Kaspar, nie... - zaczął Paweł, ale było już za późno.

- Jak śmiesz mówić takie rzeczy? - huknął von Velten. - Moi rodacy umierają tu i teraz w tej żałosnej dziurze, udającej cywilizowany kraj. Umierają, by nas bronić. Wiesz równie dobrze jak ja, że od zawsze nasze narody walczyły ramię w ramię przeciwko plemionom Chaosu. Tysiące imperialnych żołnierzy obozuje za murami tego miasta. Są zmarznięci i głodni, ale mimo to wciąż gotowi stanąć przeciwko naszym wspólnym wrogom, bez względu na wszystko. Nie będę się w spokoju przysłuchiwał tak obraźliwym słowom wobec tych odważnych ludzi. A jak ci się to nie podoba, to idź do demona... Wasza wysokość.

Gniewny wybuch Kaspara spowodował, że w pomieszczeniu zapadła nagle cisza.

Wszyscy zamarli.

Twarz Piotra Łosowa zbladła tak bardzo, że była teraz jaśniejsza od oblicza królowej.

Armia jej lokai i sług nie wyglądałaby chyba na bardziej zdziwioną, gdyby wypuścił skrzydła i unioś się przed nimi w powietrze.

Za swoimi plecami usłyszał szept Pawła:

- Ursunie, chroń nas, Ursunie, chroń nas...

Cisza przeciągała się. Kaspar poczuł, że gniew z niego odpływa. Uświadomił sobie, co przed chwilą powiedział i do kogo skierował te słowa. Rozsądek wziął górę nad wściekłością i przejaśniło mu się w głowie.

Spojrzał w zimne, nie znające przebaczenia oczy kislevskiej Królowej Lodu i czekał

tylko na chwilę, kiedy zostanie zmieniony w lodową statuetkę. Powoli, z wielką powagą Caryca wstała z tronu i skierowała się ku niemu.

Zatrzymała się tuż przed nim i pochyliła - chłód bijący od jej ciała był prawie nie do zniesienia. Królowa Lodu uśmiechnęła się i wyszeptała:

- Bardzo dobrze, Herr von Velten.

- Co takiego? - wybąkał Kaspar, niezmiernie zdumiony faktem, że jeszcze żyje.

- Chodź ze mną - powiedziała, splatając swą paląco zimną dłoń z jego ręką i prowadząc go z powrotem na główne schody, zostawiając za plecami gromadę zdziwionych i oniemiałych ludzi. Piotr Łosow chciał za nimi podążyć, ale władczyni powstrzymała go jednym, krótkim ruchem ręki.

Kaspar minął Pawła, który wzruszył tylko ramionami i spojrzał znacząco do góry.

Przeszli wraz z Królową Lodu przez całą komnatę w zupełnej ciszy, aż wreszcie znaleźli się poza zasięgiem słuchu wścibskich ludzi z orszaku. Władczyni zatrzymała się wreszcie przed gigantycznym portretem swojego ojca - Radii Bokhy - siedzącego na grzbiecie potwornego niedźwiedzia Urskina.

Popatrzyła w górę, na portret, i Kasparowi wydało się nagle, że jej oblicze złagodniało.

- Dlaczego nie zmroziłaś po prostu krwi w moich żyłach? - ośmielił się wreszcie zapytać.

Królowa Lodu zaśmiała się.

- Jak na pewno wiesz, Aleksander był nic niewarty, wszystko potrafił zmarnotrawić i przepuścić. Niewielu znajdzie się takich, którzy wyleją po nim choćby jedną łzę. Może za wyjątkiem jego wierzycieli i gromadki głupich kobiet, noszących lub niańczących jego bękarty. Myślisz, że w jakim celu został odesłany do Imperium, jeśli nie po to, by zniknął mi wreszcie z oczu?

- Dlaczego więc musieliśmy przechodzić przez to wszystko tam, w komnacie?

- Dajże spokój, Herr von Velten, nie udawaj przede mną głuptasa - odrzekła Caryca. -

Mogłam brzydzić się swoim kuzynem, ale muszę sprawiać wrażenie, że jego śmierć zraniła mnie do głębi.

- W takim razie składam najszczerze gratulacje. Wykonałaś pani godną podziwu pracę, bym zrobił z siebie gwałtownego prostaka o niewyparzonej gębie.

Królowa Lodu zaśmiała się, widząc jego wyraźną konfuzję i stwierdziła:

- Mój ojciec uwielbiał powtarzać, że nigdy nie zaufałby mężczyźnie, który boi się stracić nad sobą panowanie. Wskutek takiego podejścia jego bojarzy stanowili trudną do zniesienia bandę nieokrzeszańców, wciąż się ze sobą siłujących, wciąż się kłócących i zawsze skorych do walki. Ale byli też oddani i lojalni, prawi i szczerzy, i nigdy wcześniej nie walczyła ramię w ramię grupa tak wspaniałych wojów. Ta zasada sprawdziła się w przypadku mojego ojca i nie widzę powodu, bym ja też nie miała się nią kierować, ambasadorze.

- Specjalnie starałaś się pani wyprowadzić mnie z równowagi i rozwścieczyć?

- Oczywiście.

- Czemu?

- Znałam twego poprzednika, tego Teugenheima - wyjaśniła Królowa Lodu - Był

szczywanym lisem i tchórzem zarazem. Przybył do Kisleva tylko po to, by wspiąć się wyżej na szczyble kariery. Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie jest to atrakcyjna placówka, szczególnie w porównaniu z niektórymi innymi. Ale jest bardzo ważna i musi zajmować ją człowiek o szczególnym usposobieniu i temperamencie. Andreas Teugenheim nie był takim człowiekiem, wierzę jednak, że ty możesz nim być.

- Człowiekiem, który traci nad sobą panowanie?

- Nie - odparła władczyni. - Człowiekiem, który ma ogień w sercu i duszę Kislevczyka.

Teraz to Kaspar zaczął się gromko śmiać.

- Duszę Kislevczyka? Boję się, że jestem zbyt wiernym synem Imperium, by móc mieć jednocześnie duszę Kislevczyka.

- Mylisz się, Kasparze von Velten. Walczyłeś już kiedyś za Kislev i jesteś tu znowu w czasach, gdy on najbardziej cię potrzebuje. To ta ziemia wezwiała cię z powrotem, byś za nią walczył i nie wierzę, żebyś w tym zawiódł.

Tego było już dla Kaspara zbyt wiele.

- Ziemia wezwiała mnie tutaj? Nie, to wysłał mnie tu Imperator.

Królowa Lodu pokręciła głową.

- Nie. Czy wierzysz w to, czy nie, nie ma to żadnego znaczenia, odpowiedziałeś na zew tej właśnie ziemi. Tego jestem pewna. Nadszedł odpowiedni moment, a wraz z nim odpowiedni człowiek. Miałeś się tu znaleźć i wiele jeszcze pozostaje przed tobą do zrobienia.

- Na przykład co?

- Nie mam najmniejszego pojęcia - przyznała Caryca z zimnym uśmiechem na twarzy

- Sam musisz do tego dojść.

IX

- Paweł wciąż nie wierzy, my przeżyli.

- Nie jestem do końca pewien, czy sam w to wierzę - stwierdził Kaspar. Jechali właśnie w dół alei prowadzącej do ambasady. Zakuci w spiżowe zbroje rycerze zapewnili im bezpieczny przejazd przez Kislev. Tłum, który ich wcześniej atakował, rozplynał się gdzieś bez śladu niczym poranna mgła na widok tej eskorty. Ranni członkowie orszaku ambasadora jechali z tyłu na wysłanym poduchami

wozie, on sam dosiadał świeżego wierzchowca ze stajni Królowej Lodu. Był to ciemnobrunatny wałach wielkością dorównujący temu, którego Kaspar stracił na Placu Bohaterów.

Po zniszczonym powozie nie został nawet ślad. Połamane deszczułki płonęły teraz już pewnie w jakimś ognisku, wspaniałe tkaniny z wnętrza służyły za przykrycie dające ludziom odrobinę więcej ciepła. Von Velten wcale nie martwił się tą stratą - i tak prawie wcale powozem nie jeździł.

Cała podróż do ambasady przebiegła spokojnie, bez nieoczekiwanych wydarzeń.

Kiedy Kaspar podał wodze swego konia czekającemu już nań stajennemu i pokuśtykał w stronę budynku, wyczuł jednak, że coś jest nie tak. Strażnicy stojący przed drzwiami byli wyraźnie zdenerwowani i spięci.

Otwarto przed nim drzwi i szybko skierował się w górę schodów, wprost do swojego gabinetu. W środku zastał Kurta Bremena i Czekistę Władymira Paszenkę. Czekali na niego już jakiś czas.

Zanim Paszenko zdążył otworzyć usta, Kaspar zwrócił się do Bremena:

- Co się stało? - ton jego głosu wskazywał, że oczekuje natychmiastowej odpowiedzi.

- Coś bardzo złego - ostrzegł rycerz.

- Nie mów zagadkami, człowieku, wyduś to z siebie.

- Ktoś zaatakował dom Matthiasa Gerharda. Jeden z moich rycerzy nie żyje. Drugi jest ciężko ranny.

Bremen wziął głęboki oddech i powiedział:

- Stefan nie żyje.

Kaspar poczuł, jak wykręca mu się żołądek. Jego twarz pokrył rumieniec. Wezbrał w nim niewypowiedziany żal. Stefan. Jego najstarszy towarzysz z armii, człowiek, który nauczył go wszystkiego, co było mu potrzebne, by mógł przeżyć jako żołnierz. Martwy. To musi być jakaś pomyłka. Stefan był zbyt twardy, żeby umrzeć.

Jednak kiedy spojrzał w poważną twarz Kurta Bremena, zdał sobie sprawę, że to nie jest żadna pomyłka. To prawda.

- Co z Sofią? - zapytał, obawiając się również o nią, ale jeszcze bardziej obawiając się odpowiedzi

- Co z Sofią, do cholery?

- Nie mam pojęcia - wolno odpowiedział Bremen.

- Co do wszystkich diabłów masz na myśli, mówiąc „nie mam pojęcia”?

- Mam na myśli to, że nie było po niej śladu. Po Matthiasie Gerhardzie też. Oboje zniknęli.

ROZDZIAŁ 7

I

Kaspar klęczał obok schlapanego krwią łoża i skręcał w dłoniach złote i czerwone jedwabne zasłony. Czuł żal i ogromną frustrację. Potłuczone szkło zaścielało podłogę sypialni Matthiasa Gerharda, a kilka mebli zostało przewróconych i roztrzaskanych. Wielkie lustro w rzeźbionych, mahoniowych ramach leżało rozbite, każdy jego ostry odłamek odbijał twarze zgromadzonych w pokoju ludzi i słowa namalowane krwią na ścianach.

Krew pokrywała prawie każdą powierzchnię, podłogę, ściany, a nawet sufit.

Kaspar spojrział w górę, na bohomyzy szpecące ścianę nad łożem. Krwawe słowa zostały napisane jakby dziecięcą ręką, łamanym staroświatowym - Kaspar wiedział, że to makabryczne graffiti musiało powstać, gdy Stefan leżał tu, umierając.

Napis głosił: „to dla niej to wszystko”.

Stefan umarł w tym pokoju, a Sofia została... Urowadzona? Zabita?

Na samą myśl o tym, jakie cierpienia mogła przeżywać Sofia nawet w tej chwili, strach zacisnął się jak kleszcze na piersi von Veltena. Mimo że znali się dopiero od paru miesięcy, od razu połączyła ich nic zrozumienia i sympatii. Myśl o jej cierpieniu przerażała go bardziej niż sądził, że to w ogóle możliwe.

Władimir Paszenko wskazał wielką, ciemną plamę na kosztownym dywanie, zaścielającym podłogę tuż obok nóg Kurta Bremena. Tkanina była teraz zbrukana i śmierdziała krwią.

- To tutaj znaleźliśmy twojego służącego. Wygląda na to, że zmarł od jednej rany zadanej w krtani. Przecięto tętnicę szyjną.

- Miał na imię Stefan - warknął Kaspar.

- W rzeczy samej - ciągnął dalej Czekista. - Ten, kto go zabił, użył niezwykle ostrego narzędzia i doskonale wiedział, gdzie uderzyć.

- Albo też wziął ich z zaskoczenia, ale nie wydaje mi się to możliwe, zważywszy na fakt, że drzwi wejściowe zostały wyłamane, a moi rycerze ruszyli w dół schodów, by walczyć z tym parszywcem - odezwał się Kurt Bremen. Był wściekły. Dwóch jego ludzi zostało pokonanych z wyraźną łatwością. Jeden z nich leżał już pod całunem w świątyni Morra, podczas gdy drugi prawdopodobnie stracił nogę tuż pod kolanem.

- Rana w szyi była jedyną, jaką znaleźliśmy na ciele ofiary - kontynuował Paszenko, czytając z oprawionego w czarną skórę notatnika. - Nie było żadnych obrażeń obronnych.

- Obrażeń obronnych? - spytał von Velten, wstając na nogi.

- Tak jest. Kiedy ktoś jest atakowany przez napastnika dysponującego nożem, zwykle unosi ręce przed sobą, by zasłonić się przed uderzeniami i często znajdujemy takie osoby z odciętymi palcami albo przedramionami pociętymi aż do kości.

- Ale Stefan nie miał takich obrażeń?

Paszenko sprawdził jeszcze raz w swoim notesie.

- Nie, nie miał żadnych innych obrażeń.

- Czy domyślasz się, dlaczego tak właśnie było?

Paszenko wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Być może napastnik wyprowadzał swoje ataki z taką szybkością, że ofiara nie miała szansy, by w jakikolwiek sposób zareagować.

Kaspar skinął głową.

- Znaleźliście coś jeszcze, co pozwoliłoby nam zidentyfikować i odnaleźć tego parszywca?

- Nie za bardzo - przyznał Czekista.

- Ale z pewnością muszą być jacyś świadkowie. Ktoś, kto widział cokolwiek - indagował Bremen.

Paszenko pokręcił głową.

- Atak nastąpił po zapadnięciu zmroku. Ci nieliczni ludzie, którzy mogli być akurat na zewnątrz o tej porze, dziwnym trafem jeszcze się u mnie nie zjawili. Mimo to chętnie porozmawiam z twoim rannym podwładnym, gdy tylko będzie ku temu sposobność. Być może jest on jedyną osobą w Kislevie, która widziała na własne oczy Rzeźnika i przeżyła, żeby o tym opowiedzieć.

- Znaleźliśmy jednak jakieś tropy wiodące do i ze stajni Gerharda. Dwa konie z obsady jego troiki znikły i mogą tylko przypuszczać, że zabójca uciekł na jednym, natomiast na drugim powiózł swoich więźniów.

Kaspar przechadzał się po pokoju, zatrzymując się przed ociekającymi krwią słowami, namalowanymi na ścianie.

- A cóż na Sigmara ma oznaczać „to dla niej to wszystko”? Kim jest ta „ona”?

Widzieliście już wcześniej coś podobnego w miejscach, gdzie zabijał Rzeźnik?

- Nie - odparł Paszenko - ale jeśli połączymy to z sercami znalezionymi pod bramą ambasady, wierzę, że ta wiadomość jest przeznaczona dla ciebie, ambasadorze. Nie wiem z jakich powodów,

ale Rzeźnik upatrzył sobie ciebie, Kasparze von Velten.

II

Pierwszym odczuciem był ból. Potem rozpacz. A na końcu przerażenie.

Sofia oddychała równomiernie, ale wciąż nie otwierała oczu. Czowała, że siedzi na ciężkim, drewnianym krześle, ręce miała skrępowane ciasno za plecami, dzięki czemu utrzymywała wyprostowaną pozycję. Nadgarstki miała rozjątrzone, krwawiły od szorstkiego sznura. Nie potrafiła wyczuć, czy w pomieszczeniu znajduje się ktoś jeszcze, udawała więc wciąż nieprzytomną i jednocześnie gorączkowo starała się zebrać przerażone myśli. Było zimno, ale na pewno nie znajdowała się na zewnątrz. W pomieszczeniu śmierdziało okropnie.

Ponieważ pracowała w wielu polowych szpitalach i hospicjach, od razu rozpoznała fetor gnijącego mięsa i krwi. Zdołała powstrzymać ogarniające ją wymioty, ale z zamian za to przeraźliwy ból głowy zaatakował ponownie.

Łzy popłynęły jej spod powiek, kiedy przypomniała sobie błysk noża, który zakończył

życie Stefana, chluśnięcie jaskrawoczerwonej krwi z arterii i przepaszający wyraz jego oczu, gdy padał już na podłogę.

Pojedyncze słowo wypełniło cały jej umysł... Rzeźnik.

Wrzask Gerharda wciąż huczał w jej głowie i uświadomiła sobie, że nie pamięta już nic oprócz udręczonego płaczu, zanim cios w potylicę pozbawił ją przytomności.

- Równie dobrze możesz otworzyć oczy - odezwał się męski głos. - Wiem, że jesteś przytomna.

Sofia zanosła się szlochem. Cała jej samokontrola gdzieś się ulotniła, kiedy poczuła, jak ręka porywacza wsuwa się pod jej podbródek i unosi go do góry.

- Bardzo mi przykro, że cię uderzyłem - kontynuował. - Po prostu nie spodziewałem się tam ciebie zastać. Sądziłem, że nie żyjesz.

Sofia wykręciła głowę z jego uścisku.

- Proszę, nie krzywdź mnie, proszę, proszę...

- Cśśś... Nie mam zamiaru cię skrzywdzić, matko - ciągnął głos. - Jak mogłaś coś takiego pomyśleć? Po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłaś? Dbałaś o mnie, chroniłaś, kochałaś i przygotowałaś na dzień, kiedy wreszcie będziemy się mogli Go pozbyć. Jak mógłbym cię skrzywdzić? Kocham cię, zawsze cię kochałem.

Sofia poczuła, jak mężczyzna przesuwając palce przez jej kasztanowe włosy, wyczuwała jego bliskość. Załkała lekko. Usłyszała, jak wciąga powietrze w nozdrza - napawał się zapachem jej włosów.

- Proszę - błagała. - Dam ci wszystko, czego chcesz, tylko mnie nie zabijaj.

- Zabić cię? - rozległ się obłąkańczy rechot. - Nie pamiętasz? Ty już jesteś martwa, ale zatrzymałem niewielką częśćkę ciebie.

Wykręciła głowę, byle dalej od Rzeźnika, gdy tylko poczuła, że przyciska do niej swoją twarz a wilgotny język przesuwają się po jej policzku. Jego twarz była twarda i skórzasta.

- Dlaczego się odsuwasz? - zapytał.

- Ponieważ mnie przerażasz.

- Przecież to ja - odparł urażony. - Twój mały chłopiec, twój najdroższy wojownik.

Spójrz na mnie.

- Proszę, nie - zapłakała Sofia, zaciskając rozpaczliwie oczy.

- Powiedziałem: spójrz na mnie! - ryknął, uderzając ją jednocześnie mocno w twarz.

Sofia poczuła, jak krew zbiera jej się w ustach, a potem ogromny ciężar opadł na jej uda, kiedy Rzeźnik naparł na nią, wyjąc z rozpacz.

- Przepraszam! - zapłakał. - Przepraszam. Nie o to... Ja już nigdy! Proszę, nie każ mi cię znów krzywdzić. Nie chcesz tego.

Poczuła, jak mężczyzna podnosi się i staje tuż przed nią. Instynktownie machnęła nogą. Ale on był zbyt szybki i jej cios nie dosięgnął celu.

- Powiedziałem, żebyś otworzyła oczy - rzucił sucho. Jego wcześniejszy nastrój ulotnił się w okamgnieniu. - Wytnę ci powieki, jeżeli nie posłuchasz.

Z oczami pełnymi łez Sofia wykonała wreszcie jego polecenie.

Stał przed nią Rzeźnik. Był zupełnie nagi, ciało miał zbrukane krwią. Zza maski z koślawo pozszywanej ludzkiej skóry spoglądały na nią oczy szaleńca. Skóra była wystrzępiona i od dziesięcioleci martwa, dobrze zakonserwowana i zszyta w groteskową maskę. Długi nóż o niezwykle wąskim ostrzu był wsunięty niczym w pochwę w rozcięcie na muskularnym brzuchu mężczyzny.

Za nim, obracając się powoli na rzeźnickim haku wbitym w środkową belkę sufitu, wisiało pocięte i zmasakrowane ciało Matthiasa Gerharda. Jego twarz - jedyna część ciała, którą morderca pozostawił nienaruszoną - zastygła w wyrazie wiecznej agonii.

Sofia zaczęła wrzeszczeć.

Wrzeszczała i wrzeszczała, dopóki po raz kolejny nie przycisnął swojej trupiej maski do jej twarzy i

nie pocałował jej wściekle. Przygarnął ją mocno do swego nagiego ciała.

III

- Nie możesz się tak zadrećzać. Na pewno ją odzyskamy - powiedziała Anastazja, trzymając jego dłoń jedną ręką, a drugą masując mu kark. Siedzieli na placu, gdzie jakiś czas temu Kaspar ćwiczył szermierkę z Valdhaasem, a Sofia zszywała jego zranione ramię.

Anastazja miała na sobie szkarłatną suknię, obrębianą srebrzystym futrem. Przybyła, gdy tylko dowiedziała się o ataku na Matthiasa Gerharda. Minęły już dwa dni od tej okropnej nocy a ona zjawiała się w ambasadzie codziennie, przynosząc ze sobą nadzieję i pociechę, jaką może dać tylko przyjaciel. Jasne, zimne światło poranka sprawiało, że jej skóra wręcz skrzyła się w promieniach słońca. Kaspar był jej niezwykle wdzięczny za słowa pocieszenia, choć minęło już tyle czasu, że zdawał sobie sprawę, iż szanse na szczęśliwe rozwiązanie sprawy są niewielkie..

- Według Paszenki ona już nie żyje - odpowiedział, wypowiadając wreszcie na głos myśl dręczącą go przez ostatnie dwa dni i nie dającą zasnąć w nocy. Czekiści i Rycerze Pantery poszukiwali Sofii i Gerharda, ale w tak wielkim i zatłoczonym mieście jak Kislev prawdopodobieństwo natrafienia na ich ślad było bliskie zeru. Rycerz ranny w czasie ataku na dom kupca nie potrafił udzielić żadnej przydatnej informacji na temat zabójcy - za wyjątkiem tej, że z łatwością pokonał ich w walce i był nagi.

Jedyną rzeczą, która dawała jeszcze jakiś promyk nadziei, był fakt, że wciąż nie znaleźli ciał i nie pojawiły się już żadne inne obrzydliwe dary, pozostawione dla niego pod bramą ambasady.

- Nie, nie możesz myśleć w ten sposób - zaprotestowała Anastazja. - Z pewnością jeżeli ten szaleniec chciałby po prostu zabić ją i Gerharda, zrobiłby to od razu. W tym samym momencie, kiedy... Kiedy zabił Stefana.

- Może i tak - odparł Kaspar. Nie był jednak zupełnie przekonany o słuszności tych słów.

- Czy Czekiści mają jakąkolwiek teorię w związku z tym, co się tak właściwie wydarzyło?

Kaspar pogardliwie wyduł wargi.

- Nie. Ten głupiec Paszenko z pewnością znajdzie wkrótce jakiegoś przypadkowego kozła ofiarnego, ale tak naprawdę nie wie nic.

Anastazja westchnęła.

- I nie ma żadnych podejrzeń co do tego, gdzie mogą być teraz Sofia i Gerhard?

- Nawet jeżeli ma, to nie dzieli się ze mną takimi informacjami.

Anastazja skinęła głową. Zagryzła dolną wargę, jakby walczyła ze sobą. Kaspar zauważył to i zapytał:

- O co chodzi?

- Ja wiem... Wiem, że jesteś bardzo przywiązany do Sofii - zaczęła z wahaniem.

- A cóż to oznacza?

- Jak dużo naprawdę o niej wiesz?

- Wystarczająco dużo, by wiedzieć, że jest dobrym człowiekiem i mieć do niej zaufanie.

- O to mi właśnie chodzi. Ufasz jej, ale tak naprawdę wcale jej nie znasz, prawda?

Wiem, że zanim trafiła do ciebie, pracowała dla Wasilija Czekatilo.

- Żartujesz - rzucił Kaspar z powątpiewaniem.

- Chciałabym, żeby to był żart, ale mam podstawy sądzić, iż pracowała dla niego przez ładnych parę lat.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Czekatilo nie jest człowiekiem, od którego można tak po prostu odejść. - wyjaśniła Anastazja. - Wiem to. Chcę przez to powiedzieć, że to może wcale nie Rzeźnik porwał Sofię.

Chcę przez to powiedzieć, że to może Czekatilo przemocą wziął ją z powrotem na swoją służbę.

IV

Czas rozmywał się. Jediną rzeczą łączącą ją z zewnętrznym światem był brudny świetlik, który wpuszczał do środka bardzo niewiele słonecznego blasku. Sofia nie miała pojęcia ile dni minęło od czasu jej porwania. Wiedziała jedynie, że ból wciąż narastał i czuła rosnącą świadomość faktu, że chyba przyjdzie jej pożegnać się z życiem na tym śmierdzącym poddaszu.

Płakała gorzkimi łzami. Płakała z bezsilności i frustracji. Łzy spływały jej po policzkach i wsiąkały w uwalany krwią kawałek szmaty, wetknięty w jej usta i przytrzymywany szerokim, skórzanym pasem. Nadgarstki pulsowały tęnym bólem. Nie czuła już palców, a najmniejszy nawet ruch przynosił piekący ból, kiedy szorstki sznur, którym była spętana, naruszał zaskorupiałą krew i wrzynał się głębiej w ciało.

Dni mijały. Niektóre ciągnęły się w nieskończoność, wypełnione tylko przenikliwym bólem, inne były wypełnione nie dającą się z niczym porównać grozą, kiedy on wspinał się na górę, na poddasze. Twarz miał zawsze skrytą za mocno naciągniętą na oblicze trupią maską.

Częstokroć dotykał jej, zapewniał szeptem o swojej miłości, albo też mówił o tym, jak wypełnia jej rozkazy i ponownie zabija. Wszystko to dla niej. Mówił o tym, jak pożerał

ludzkie mięso, by uczcić dzień uwolnienia od Jego tyranii.

Oczy Sofii były posklejane z braku snu i łez, wzrok miała zamglony z głodu a usta popękane z pragnienia. W ustach czuła gęstą, kleistą maź, a głowa opadła jej bezwładnie na ramię, gdy znów usłyszała skrzypienie porzewiałych zawiasów, kiedy prowadząca na strych kłapa otwierała się z trzeszczeniem.

- Jesteś tu, matko? - zapytał. Potem zaśmiał się. - Oczywiście, że jesteś. Gdzie miałabyś pójść?

Zacisnęła mocno powieki, kiedy usłyszała zbliżające się kroki. Położył swoją stwardniałą dłoń na jej ramieniu. Węchem wyczuła jego bliskość i choć starała się być silna, nie mogła powstrzymać drżenia. Bała się okropnie. Jego ręka powędrowała po jej ciele. Po chwili przycisnął się do niej cały.

Stęknął i odezwał się:

- Jestem już prawie gotów, nieprawdaż?

Sofia nie mogła odpowiedzieć. Knebel skutecznie jej to uniemożliwiał - nie mogła mówić, nawet gdyby chciała. Ale potem zorientowała się, że on nie zwraca się wcale do niej.

Nie słyszała, by ktokolwiek jeszcze wchodził na strych, ale inny głos - odległy i bardzo melodyjny - odpowiedział, tak jakby dobywał się z dna bardzo głębokiej studni.

- Bardzo blisko, mój przystojny książę, bardzo blisko. Mam dla ciebie już tylko jedną rzecz do zrobienia. Jedna mała rzecz i wreszcie skończymy.

- Wszystko, czego tylko chcesz, matko. Wszystko - odpowiedział.

- Chcę, żebyś mnie zabił - powiedział głos - Raz już zostałam unicestwiona i nie należę do tego świata. Morr wziął mnie we władanie i nie powinnam wracać tu ponownie.

- Nie! - zapłakał. Sofia czuła, jak jego uścisk na jej ciele robi się coraz mocniejszy i wydała z siebie stłumiony wrzask bólu, kiedy brutalnie obrócił krzesło dookoła, by znalazła się z nim twarzą w twarz.

- Dlaczego mnie o to prosisz? Dopiero co odnalazłem cię na powrót, nie pozwolę ci teraz odejść. Nie tym razem.

- Zaufaj mi, mój książę, musisz mi zaufać - odezwał się miękki, natarczywy głos.

Sofia rozchyliła powieki i ujrzała tuż przed sobą ohydną, zamaskowaną twarz. Smugi światła rzuciły delikatny poblask na zeszlę oblicze trupiej maski, spozierały spod niej fiołkowe oczy szaleńca, rozszerzone uwielbieniem. Patrzył na coś ponad jej ramieniem, w ciemności jego źrenic połyskiwało coś na kształt robaczka świętojańskiego. Oczy ją zapiekły, ale przez króciutką chwilę wydawało jej się, że dostrzega obraz jaśniejącej twarzy, anielskiej i widmowej, przemykający po powierzchni jego tęczówek.

- Nie potrafię - zawył, zarzucając na nią ramiona i zanurzając twarz w jej łonie.

- Słuchaj mnie! - zagrział niecierpliwie głos, odarty już całkowicie ze swego uprzedniego wdzięku.
- Zrób to. Wymagam tego od ciebie. Zabij mnie, zabij teraz. Zrzuć wreszcie kajdany swojego obmierzłego drugiego ja, wyciągnij swój nóż, ten nóż, który ja ci dałam, i przetnij mi gardło, ty żaloszny, jęczący skurwysynu. Zabij ją, potnij na kawałki, a potem rzuć je do stóp von Veltena.

- Nie... Nie zrobię tego! Kocham cię... - płakał, głos mu się łamał, przechodził w dławiący szloch.

Sofia czuła furię tego, kto przemawiał do jej porywacza, czuła jak jego wściekłość urasta do przerażających rozmiarów i zamknęła raz jeszcze oczy. Nawet przez napuchłe powieki czuła palące światło, wypełniające ten przepelniony śmiercią strych, ale zniknęło ono równie prędko, jak wcześniej rozbłysło. Wyczuła, że ten ktoś, kto przemawiał do Rzeźnika, odszedł. Jego gniew pozostawił w pomieszczeniu trzeszczący, charakterystyczny posmak, ślad magii w powietrzu. Sofia poczuła, że w jej sercu rozpala się mały płomyk nadziei na wspomnienie tego, jak jej porywacz sprzeciwił się morderczym żądom istoty, która właśnie odeszła. To chciało, aby ją zabił, ale z jakiegoś powodu Rzeźnik wierzył, że ona jest jego matką, jego mamą, i nie potrafił tego uczynić.

- Nie mogę cię zabić... - odezwał się, jakby czytał w jej myślach. - Jeszcze nie, ale muszę cię skaleczyć. Och, matko, muszę cię skaleczyć.

Sofia poczuła ostrze noża na swojej skórze i próbowała krzyczeć, kiedy on odcinał

kciuk jej lewej ręki.

V

Dom uciech mieścił się w nieoznakowanym, podupadającym budynku z poczerniałych desek i nierównych bloków niedbale obrobionego kamienia. Kiedyś budynek ten był z pewnością częścią pierwotnych murów miasta. Barwione, szklane szybki w górnych oknach i szkarłatna szarfa, zwisająca smętnie ze zdobionego dachu, były jedynymi wskazówkami świadczącymi o przeznaczeniu tego domu. Kaspar praktycznie czuł ciężki smród desperacji, którym to miejsce przesiąknięte było do głębi.

- To właśnie tutaj? - zapytał.

- No - przytaknął Paweł. - Znajdziesz Czekatilo tutaj, choć po co, Paweł nie wie. On nie jest człowiekiem, z którym powinieneś spotykać się w pośpiechu.

- On może coś wiedzieć o porwaniu Sofii - wyjaśnił Kaspar. Jego głos był zimny jak śnieg, który wirował dookoła. Paweł i Kurt Bremen wymienili ostrożne spojrzenia. Żadnemu z nich nie podobała się złowieszcza, zdecydowana nuta w głosie ambasadora.

- Ambasadorze von Velten - odezwał się ostrożnie Bremen.

- Jeżeli Czekatilo istotnie wie coś o tym, gdzie znajduje się Sofia, musimy być delikatni w rozmowie z nim. Nie powinieneś sobie pozwolić na to, żeby go atakować.

- Nie martw się, Kurt. Naprawdę potrafię być dyplomata, jeśli naprawdę muszę -

zapewnił Kaspar, popychając drzwi zamtuza i wkraczając przez nie w półmrok zalegający w środku. Smród niemytych ciał i tanich perfum wypełniał powietrze. Ten drugi nie był w stanie ukryć tego pierwszego.

Nawet w mdłym świetle sączącym się z kilku przykrytych latarni i ledwo płonącego ognia, Kaspar zauważył, że pomieszczenie jest niezwykle zatłoczone. Wyglądało na to, że zbliżająca się wojna i śmierć wyzwoliła w Kislevczykach niezwykle żądze i duża ich liczba wypełniała długą salę, chcąc wydać swoje ostatnie kopiejki na cielesne rozkosze z kobietami, które sprzedawały swoje ciała za pieniądze.

Kiedy weszli, kilka głów obróciło się w ich stronę, ale większość mężczyzn była zbyt zajęta kobietami lub też pogrążona w błogostanie, wywołanym przez jakieś narkotyczne korzenie. Opary drażniącego dymu kłębiły się pod sufitem, jego zapach był słodki i ciężki niczym piżmowe perfumy z Arabii i przez głowę Kaspara przemknęło żywe wspomnienie kampanii, w których walczył na tej ponurej, pustynnej ziemi.

Przemaszerował pomiędzy skręcającymi się ciałami, ignorując przesadnie teatralne jęki i krzyki rozkoszy, kierując się do drzwi na końcu sali. Pilnowali ich dwaj mężczyźni o srogich spojrzeniach. Nie próbowali nawet specjalnie ukryć trzymanych pod płaszczami toporów.

Kaspar zatrzymał się przed strażnikami. Ignorowali go zupełnie do momentu, gdy spróbował między nimi przejść. Jeden wyrzucił z siebie potok kislevskich słów, wyciągając jednocześnie broń spod płaszcza.

- Paweł - rzucił do tyłu Kaspar. - Tłumacz dla mnie.

- Bardzo dobrze - burknął Paweł, odrywając wzrok od kopulujących par i ruszył, żeby stanąć obok ambasadora.

- Nazywam się Kaspar von Velten. Przybyłem tu, by porozmawiać z waszym szefem -

Wasilijem Czekatilo. Byłbym wdzięczny, gdybyście przekazali mu moje życzenie.

Paweł powtórzył jego słowa. Kaspar patrzył, jak obaj mężczyźni wymienili rozbawione spojrzenia, zaś ten, do którego zwracał się Paweł, pokręcił głową.

- Niet - oznajmił stanowczo, a znaczenie tego słowa było na tyle oczywiste, by każdy mógł je zrozumieć.

- Powiedz mu, że mam na rozkazy cały oddział Rycerzy Pantery, i jeśli Czekatilo nie zechce spotkać się ze mną, będę zmuszony spalić ten śmierdzący kurwidolek do fundamentów. Razem z nim, jeśli mnie do tego zmusi.

Paweł znów przetłumaczył słowa Kaspara i tym razem obaj strażnicy wyglądali na lekko zaniepokojonych i speszonych. Rozgorzała dość cicha, lecz burzliwa dyskusja, mężczyźni wyrzucali z siebie prędkie potoki kislevskich słów. Wreszcie strażnik, który odmówił im przed chwilą wejścia, podniósł rękę i zniknął za drzwiami. Ten, który pozostał, uśmiechnął się krzywo, ukazując przy tym

pożółkłe pieńki resztek zębów.

Wszyscy trzej czekali przez kilka minut. Paweł ponownie zaczął przypatrywać się pełnym chuci zapasom rozgrywającym się w całym pomieszczeniu i pociągnął kilka łyków ze swojej nieodzownej flaszki.

Wreszcie drzwi otworzyły się. Strażnik powrócił i skinął w ich stronę brudnymi, przypominającymi czerwie paluchami. Miało to chyba oznaczać, żeby za nim poszli. Kaspar ruszył za przewodnikiem, przechodząc przez długi, wyłożony drewnem korytarz z łukowatymi, zasłoniętymi aksamitnymi zasłonami wejściami po obu stronach. Dobiegały zza nich chrząknięcia i jeszcze głośniejsze jęki udawanej rozkoszy. Odgłosy ucichły, gdy podeszli do ciężkich, drewnianych drzwi, okutych poczerniałym żelazem. Mężczyzna, który ich prowadził, wyciągnął zza pazuchy długi klucz i otworzył drzwi, czyniąc przy tym niesamowity hałas. Pchnął ciężkie wierzeje i wskazał Kasparowi drogę.

- Iha! Ty iść, iha?

- Iha - zgodził się von Velten i wszedł do wspaniale urządzonego, ogromnego pokoju.

Stojące tu meble zostały bez wątpienia zaprojektowane w Imperium i Kaspar nie miał

wątpliwości, że pochodziły z jego ambasady. Cztery kobiety w przejrzystych, jedwabnych sukniach kręciły się bez celu po pokoju. Widać było, że znajdują się w różnych stadiach narkotycznego odurzenia, usta miały zbrukane sokiem korzenia szaleństwa. Naga kobieta tańczyła niezgrabnie przed ogromnym Czekatilo, siedzącym plecami do Kaspara na drewnianej, trzeszczącej pod jego ciężarem ławie. Tuz obok stał chudy jak szczapa mężczyzna o zdecydowanej twarzy wojownika, patrzący na nich z nieskrywaną nienawiścią.

Czekatilo klaskał w rytm obrotów kobiety i Kaspar domyślił się, patrząc na jej mocną sylwetkę i przerażone, prostackie oblicze, że pochodziła z plebsu. Bez wątpienia była tu by zarobić kilka miedziaków, chcąc przetrwać jakoś zimę i mieć pieniądze na jedzenie.

- Herr Czekatilo - odezwał się von Velten.

Wielki Kislevczyk nie odpowiedział. Uniósł jednak rękę do góry, by pokazać, że Kaspar musi poczekać, aż skończy się taniec. Ambasador zagryzł dolną wargę i założył ręce na piersiach. Bremen odwrócił oczy od tańczącej dziewczyny; Paweł też miał na tyle przyzwoitości, by nie patrzeć na jej męczarnie i hańbę.

Wreszcie Czekatilo zaklaskał i wstał, odprawiając dziewczynę, by pozbierała swoje ubrania.

- Rejak - zwrócił się do zabójcy o zimnych oczach stojącego tuż obok. - Weź ją do pracy w głównej sali, nie nadaje się do kabin.

Rejak przytaknął i poprowadził dziewczynę do tych samych drzwi, którymi przed chwilą weszli Kaspar z towarzyszami. Popchnął ją w stronę korytarza, jednocześnie wywarkując jakiś rozkaz do stojących tam strażników. Potem wrócił do swojego przełożonego, w dłoni pewnie dzierżył pochwę

miecza. Kaspar od razu zorientował się, kim jest ten człowiek - skrytobójcą i mordercą.

Czekatilo odwrócił się wreszcie, by stanąć twarzą w twarz z von Veltenem i jego orszakiem. Na jego szerokim i groźnym obliczu wykwitł drapieżny uśmiech. Brodę miał tak samo wielką jak Kaspar zapamiętał, zaś skóry i futra, w które był odziany, były dobrze utrzymane i kosztowne. Usiadł z powrotem na ławie i zapytał:

- Chciałeś się ze mną widzieć?

- Tak. Chciałbym zadać ci kilka pytań.

- Nigdy nie odpowiadam na pytania, na które odpowiadać nie muszę. To moja zasada

- odparł Czekatilo.

- Na te pytania odpowiesz.

- Doprawdy? Dlaczegoż miałbym to zrobić?

- Ponieważ zabiję cię, jeśli tego nie uczynisz - obiecał Kaspar.

Kurt Bremen wzdrygnął się, słysząc groźbę wypowiedzianą przez ambasadora.

Czekatilo ryknął śmiechem tak głośno, że aż przeraził kilka ostępionych narkotykiem kobiet.

- Chyba nie miałeś pojęcia o planach swojego przełożonego, rycerzu? - zapytał

Czekatilo.

Bremen nie odpowiedział. Kislevczyk ciągnął więc dalej:

- Paweł Korowicz! Dużo już wody w Urskoj upłynęło, odkąd byłeś tu po raz ostatni.

Czyżbyś przyprowadził mi kolejnego ambasadora Imperium do skorumpowania?

Paweł prędko pokręcił głową i utkwiał spojrzenie w podłogę, unikając zdumionego wzroku Kaspara. Von Velten pokrył się rumieńcem, gdy Czekatilo zarechotał po raz kolejny.

- Przychodzisz tu z pytaniami, nie wiedząc nic o człowieku, którego masz zamiar przepytawać. I grozisz mi w moich własnych komnatach? Jedno moje słowo i zginiecie wszyscy, tak jak tu stoicie. Co najmniej tuzin moich ludzi jest w pobliżu, gotowych do działania na każdy mój rozkaz.

- Może i jest, a może wcale nie - stwierdził obojętnie Kaspar. - A nawet jeśli tak, to ciekaw jestem, czy zdążą tu przybiec, zanim zatopię swój miecz w twoich bebechach?

- Być może nie, ale widziałem już w życiu gorsze zbroje niż kilka porządnych warstw tłuszczu, człowieku z Imperium. Myślę, że byłbyś martwy, gdybyś tylko spróbował. Ale na to jeszcze nie czas.

- Nie?

- Nie - odrzekł Czekatilo. - Masz jeszcze wiele rzeczy do zrobienia, zanim twoim ścierwem pożywią się kruki. Widzę to wyraźnie.

Von Velten wiedział już, że utracił kontrolę nad rozmową, jeżeli w ogóle kiedykolwiek ją miał. Był jednak zdesperowany, pragnął dowiedzieć się czegokolwiek, co mogło dać jakąś wskazówkę co do miejsca pobytu Sofii. A jeżeli Anastazja nie myliła się co do przeszłości kobiety, to istniała spora szansa, że ten bękart będzie wiedział coś wartościowego na ten temat.

Kaspar uświadomił sobie, że podszedł do tej konfrontacji o wiele gorzej przygotowany niż powinien. Zdał sobie sprawę, że groźby nie są dobrym sposobem, by wydobyć odpowiedzi, których oczekiwał, zmienił więc ton.

- Herr Czekatilo, wszyscy tu jesteśmy światowymi ludźmi, czyż nie? Zachowujemy się mimo to jak zwierzęta w dzicy, jak para jeleni ścierająca się rogami by ustalić, kto będzie przewodnikiem stada. W tym domu jednak ty jesteś gospodarzem a ja gościem - Kaspar rozłożył szeroko ręce w geście, który miał według niego wyrażać łaskawą wielkoduszność. -

Potrzebuję twojej pomocy i przychodzę tu w desperackiej potrzebie. Moja dobra przyjaciółka zaginęła, a ty masz w tym mieście taką pozycję, że z pewnością zdołasz ją znaleźć.

Czekatilo uśmiechnął się, w lot pojmując nową taktykę Kaspara.

- Sprytnie, człowieku z Imperium, o wiele sprytniej niż ten głupiec Teugenheim. On też myślał, że może być kimś w tym miejscu. Ze smutkiem muszę stwierdzić, że mylił się w swoich założeniach.

- Pomożesz w takim razie?

- Być może. Kto zaginął?

- Moja lekarka. Nazywa się Sofia Walencik i słyszałem, że kiedyś dla ciebie pracowała.

- Sofia! - głos poruszonego Kislevczyka zabrzmiał niczym szczeknięcie. - Tak.

Pamiętam Sofię, ale nie, nigdy dla mnie nie pracowała, bez względu na to, ile pieniędzy jej oferowałem. Chyba nie pałała do mnie zbyt dużą sympatią.

- Nie mogę się domyślić, czemu - zadrwił Kurt Bremen.

Kaspar rzucił w jego stronę jadowite spojrzenie. Zauważył, że Rejak zacisnął dłoń na mieczu.

- Naprawdę? Nigdy dla ciebie nie pracowała? Jesteś tego pewien?

Czuł, jak opuszczają go resztki nadziei, że cała ta wyprawa przyniesie jakieś korzyści.

Anastazja zapewniała go, że Sofia pracowała dla Czekatilo i dałby wiarę raczej jej słowom niż jego,

ale instynkt podpowiadał mu, iż Kislevczyk nie kłamie.

- Jesteś pewien? - powtórzył.

Wielkolud przymrużył oczy.

- Może mam już ponad czterdziestkę, ale pamięć mnie jeszcze nie zawodzi. Nie, nigdy dla mnie nie pracowała. Przychodziła tu jednak kilka razy do roku.

- Co takiego? - spytał z niedowierzaniem przerażony von Velten. - Sofia przychodziła tu kiedykolwiek z własnej woli?

- No - potwierdził Czekatilo. - Z własnej, nieprzymuszonej woli. Opiekowała się dziewczynami pracującymi na sali i w kabinach. Dawła im lekarstwa na syfilis i tym podobne rzeczy. Czasami przyjmowała porody albo przerywała ciążę. Starła się, by dziewczyny były zdrowe.

Grubas wyszczerzył zęby w lubieżnym uśmiechu.

- Nie jest to prosta rzecz, tu, w Kislevie. Ale nie, nigdy nie pracowała dla mnie, choć byłem bardzo zadowolony z efektów jej pracy. Była dobrą kobietą.

- Jest - powiedział z naciskiem Kaspar. - Jest dobrą kobietą. A teraz gdzieś przepadła, zabrana przez Rzeźnika.

- W takim razie jest już martwa. Poćwiartowana i pożarta.

- Nie wierzę - stwierdził von Velten.

- Nie? A co sprawia, iż jesteś taki pewny, że ona żyje?

- Po prostu wiem - zdecydowany głos ambasadora nagle osłabł, stał się zmęczony i wyczerpany jakichkolwiek emocji. - Dopóki nie znajdę niepodważalnego dowodu jej śmierci, będę jej wciąż szukał.

- Zakochałeś się w Sofii? - zaśmiał się Czekatilo - Wcale cię nie oskarżam, jeżeli tak jest w rzeczywistości. Sofia Walencik jest niczego sobie kobietą.

- Nie - odparł Kaspar, a Kislevczyk zaśmiał się raz jeszcze, rozbawiony szybkością, z jaką padła ta odpowiedź.

- Rozumiem, ale dlaczego myślisz, że mogę i będę chciał ci pomóc w jej znalezieniu?

- Nie mam pojęcia - przyznał. - Przybyłem tu z myślą, że może to właśnie ty ją pojmałeś. Teraz jednak widzę, że się myliłem. Nie wiem, czy jest coś, co możesz dla mnie w tej sprawie zrobić. Ale jeżeli jest coś takiego, proszę cię, byś to uczynił.

Czekatilo przez dłuższą chwilę przyglądał się Kasparowi, a wreszcie odpowiedział.

- Pomogę ci, człowieku z Imperium, choć chyba tylko sam Ursun wie, dlaczego. Może jedynie dla Sofii, bo ty i ja powinniśmy być wrogami, jak sędzę. Co oferujesz w zamian za moją pomoc?

- Wszystko, co mogę ci zaoferować, to moja wdzięczność - odparł poważnie von Velten.

Wielki Kislevczyk wybuchnął raz jeszcze gromkim rechotem, zanim zorientował się, że ambasador mówi ze śmiertelną powagą.

- Jesteś człowiekiem dotrzymującym słowa, Kasparze von Velten?

- Jestem - skinął głową - Moje słowa są niczym żelazo. Raz wypowiedziane, nigdy nie zostają złamane.

- Kaspar - ostrzegł Bremen, ale ambasador uciszył go gestem dłoni.

Spojrzenia obu mężczyzn spotkały się i patrzyli sobie przez parę chwil w oczy, aż wreszcie Czekatilo przytaknął skinieniem głowy i wstał z ławy.

- Sędzę, iż rzeczywiście jest tak jak mówisz, człowieku z Imperium, ale bądź pewien, że to nie koniec. Bardzo dobrze, mam wiele oczu i uszu na usługach w całym Kislevie. Jeśli czegoś będzie się można dowiedzieć, z pewnością się tego dla ciebie dowiem.

Czekatilo pochylił się do przodu.

- Ale jeśli zrobię coś dla ciebie... - znacząco zawiesił głos.

- Rozumiem - odparł Kaspar, zastanawiając się jednocześnie, czy rzeczywiście tak jest.

ROZDZIAŁ 8

I

W ciągu następnych dni po wizycie Kaspara u Czekatila pogoda wciąż się pogarszała.

Najmądrzejsi ze starców mieszkających w Kislevie przepowiadali, że zapowiada się najcięższa zima od czasów wielkiego Cara Radiani Bokhy. Von Velten za bardzo nie dbał o to, czy przepowiednie rzeczywiście się sprawdzą. Był zbyt zajęty obowiązkami związanymi z utrzymywaniem armii w gotowości do wojny podczas tego długiego okresu bezczynności.

Gdy mijały kolejne dni, myśli o Sofii zaczęły nawiedzać również jego sny. Myślał też o niej bezustannie w ciągu dnia. W rzadkim u niego objawie współczucia Paszenko przyszedł

osobiście, by poinformować ambasadora, że jego Czekiści byli zmuszeni porzucić dalsze poszukiwania. Od czasu wypadku z czterema sercami zostały odnalezione inne zbezczeszczone ciała i trzeba było zająć się śledztwem, bo może mogły one rzucić choć odrobinę światła na tożsamość mordercy. Mimo że Paszenko uznał swą porażkę w sprawie Sofii, Kaspar nie poddał się i wciąż miał nadzieję, że kobieta, gdziekolwiek teraz jest, wciąż żyje.

Po swoim powrocie od Czekatila powiedział Anastazji o tym, jak niewiele się dowiedział, a ona przytuliła go i ostrzegła, żeby nie ufał do końca słowom kryminalisty.

Kaspar pragnął, by go przekonała, ale nadal był pewny, że Czekatilo powiedział mu prawdę.

Anastazja przejęła prace związane z organizowaniem i rozdzielaniem zapasów żołnierzom i uchodźcom. Rzuciła się w wir zajęć ze znanstwem, objawiając prawdziwy talent do tego typu zajęć, choć Kaspar naciskał, by nie ruszała się z ambasady. Nie chciał przez własną nieostrożność stracić kolejnej osoby.

Anastazja zajęła pokoje sąsiadujące z tymi należącymi do Kaspara i drugiej nocy przyszła do jego łóżka. Wsunęła się swobodnie w jego ramiona i zaspokoili się wzajemnie w sposób, w jaki może to zrobić dwójka samotnych ludzi, pragnąca oddzielić się choć na chwilę od okrucieństw świata na zewnątrz. Ich miłość była delikatna, poznawali się wzajemnie, każde dotknięcie i pieszczota przychodziły z lekkim niepokojem i każdej nocy, leżąc spełniony w jej ramionach, Kaspar uświadamiał sobie, że mówi największe kłamstwo miłości:

- Nigdy cię nie zostawię.

Przychodziła do niego każdej nocy i był jej coraz bardziej wdzięczny za tę bliskość.

Mogli po prostu leżeć w ciemności obok siebie, Kaspar opowiadał jej o Nuln i swoim życiu w Imperium, a ona snuła fantastyczne opowieści o chan-królowych i magicznych mocach, które podobno posiadały. Te noce bardzo zbliżyły Kaspara do Anastazji, przylgnęli do siebie nawzajem, każde z nich odzyskiwało pewność siebie, czerpiąc ją z prostego faktu bycia blisko drogiej sobie osoby.

- Kiedy oni wreszcie nadejdą... to będzie straszne, prawda? - wyszeptwała.

Kaspar chciał skłamać, ale nie potrafił.

- Plemiona z północy są przerażającym przeciwnikiem. To twardzi ludzie, brutalni, wychowani na wojnie, rozlew krwi jest dla nich czymś zwyczajnym. Niełatwo będzie ich pokonać.

- Ale wierzysz, że w ogóle mamy szansę na zwycięstwo?

- Szczerze? Nie wiem. Wiele zależy od tego, co dzieje się teraz w Imperium.

Słyszałem, że wielka horda, która zniszczyła Wolfenburg, wycofała się na północ, by tam przezimować, a bojar Kurkosk zebrał pułk na rubieżach kislevskiego województwa.

- To prawda?

- Trudno mieć pewność, tak niewielu posłańców przybywa obecnie z wiadomościami, ale brzmi to rozsądnie. Jeżeli w granicach Imperium znajdują się jeszcze jakieś siły Kurgan, Kurkosk może odciąć im odwrót i zgłodzić na śmierć.

- A co, jeżeli Kurganie już pomaszerowali na północ?

- Spotkają się niechybnie z armią bojara. Oko w oko, miecz w miecz. I z tego, co słyszałem o Kurkosku, to będzie jedno z najmniej przyjemnych spotkań w ich życiu.

Anastazja wtuliła się w niego mocniej i przeczesła palcami siwe włosy na piersi Kaspara.

- A inne pułki też zbierają się na terenie województwa? Inni bojarzy pewnie też starają się skrzyknąć swoich żołnierzy?

- To możliwe - przytaknął Kaspar - ale trzon kislevskich wojsk wciąż jest rozproszony pośród stepów. Schronili się w swoich stanicach na zimę. Potwornie trudne to będzie zadanie zebrać ich wszystkich, zanim zaczną się pierwsze roztopy.

- Rozumiem - głos Anastazji cichł, zapadała w sen.

Kaspar uśmiechnął się pobłaźliwie i ucałował ją w czoło, a potem zamknął oczy i sam zapadł w niespokojny sen.

Zimny i srebrzysty poblask zimowego świtu obudził go kilka godzin później.

Zamrugał w rażącej jasności. Ziewnął i uśmiechnął się do siebie, kiedy poczuł przyjemne ciepło miękkiego ciała Anastazji u swojego boku. Ostrożnie, by jej nie obudzić, wysunął się z łóżka i naciągnął szaty. Otworzył drzwi do swojego gabinetu i delikatnie zamknął je za sobą.

Po raz kolejny zatęsknił za zapachem świeżo zaparzonej herbaty, którą przygotowywał mu każdego ranka Stefan.

Stanął przy oknie i przyglądał się pokrytym śniegiem dachom Kisleva. W innych okolicznościach uznałby widok za przepiękny, wart uwiecznienia na obrazie, ale teraz jedyną rzeczą, o której mógł myśleć, był brutalny morderca czyhający gdzieś na zewnątrz. Morderca, który porwał Sofię.

Anastazja próbowała przygotować go na najgorsze, delikatnie zmuszając, by pogodził

się z myślą, że Sofia odeszła, ale Kaspar opierał się tym staraniom ze wszystkich sił.

Ona wciąż była gdzieś tu - w tym surowym mieście północy. Był tego pewien.

II

Woda była cudownie chłodna i Sofia zmusiła się, by nie wypić od razu zbyt dużej ilości płynu. Doskonale zdawała sobie sprawę, że odwodniony organizm zbuntuje się, jeśli przyjmie szybko zbyt wiele wody. Jej oczy od dawna już przyzwyczyły się do mrocznego strychu, nauczyła się też ignorować smród gnijącego mięsa.

Zmaltretowane zwłoki Gerharda zniknęły, jednak zabójca nie kłopotował się ścieraniem kleistych kałuży skrzepłej krwi, które zebrały się pod wiszącym na haku ciałem. Żerowały na nich teraz z rozkoszą

przeróżne ścierwojady i szkodniki.

Ciało Sofii było kłębkim bólu i cierpienia. O pierwszeństwo walczył ból z kikuta odciętego kciuka, który został „opatrzonej” wrzącą smołą, palące cierpienie w brzuchu wywołane głodem i zaognione otarcia od sznura na nadgarstkach i kostkach. Kilkakrotnie szczury odgryzły kawałki ciała z jej nóg i tkwiący wewnątrz niej lekarz zastanawiał się nad prawdopodobieństwem zakażenia. Za każdym razem, kiedy traciła świadomość, palące ugryzienie w stopę sprawiało, że powracała do koszmarnej rzeczywistości.

Ten, który ją porwał, stał teraz przed nią, jak zawsze w masce naciągniętej na twarz, ale jego zachowanie było zupełnie inne niż pamiętała. Nawet pomimo otępiającego bólu zauważyła, że przez ostatnie kilka dni był zdecydowanie mniej agresywny niż zwykle, tak jakby jakaś lepsza część jego duszy wypływała powolutku na powierzchnię szaleństwa.

Gliniany dzbanek z wodą przytrzymywany przy jej ustach był tylko jedną z oznak tej zmiany zachodzącej w zachowaniu zamaskowanego mordercy. Zanim przyniósł wodę, przeczesał z grubsza jej włosy starą, srebrną, nabijaną perłami szczotką. Było to przedziwne doświadczenie. Bez wątplenia szczotka ta była niegdyś własnością zamożnej kobiety -

musiała być niezwykle kosztowna. Mogła stanowić łup zdobyty na jakiejś wcześniejszej ofierze.

- Proszę, chcę jeszcze - zaskrzeczała, kiedy zabrał dzbanek.

- Nie, sądzę, że na razie wystarczy.

- Jeszcze tylko odrobinę...

Pokręcił głową i odstawił gliniane naczynie na podłogę.

- Nie rozumiem, matko - odezwał się głosem małego chłopca. - Dlaczego chcesz, żebym cię zabił? To niesprawiedliwe.

- Zabić mnie? Nie, nie, nie. Ja wcale nie chcę, żebyś mnie zabijał - błagała Sofia.

- Ale przecież słyszałem - zawył. - Tak mówiłaś.

- Nie. To nie byłam ja. To było coś innego.

- Coś innego? Co?

- Ja... Ja nie wiem, ale nie była to twoja matka - zapewniła go Sofia, starając się wykorzystać szansę - Ja jestem twoją matką. Ja. I chcę, żebyś mnie rozwiązał.

- Nie rozumiem - pocierał mocno czoło nadgarstkami i dłońmi. Wydał z siebie żalony skowyt i wyszarpnął nóż z cielistej pochwy na brzuchu. Przejechał ostrzem po przedramionach, zostawiając krwiste ślady, na których błyskawicznie zaczęła się skraplać krew. Płakał i kaleczył swoje ciało.

- Zawsze tak ze mną robił, pamiętasz to?

Rozumiejąc, że jej życie wisi na włosku, Sofia zdała sobie sprawę, iż musi przyjąć i grać rolę, narzuconą jej w jego wewnętrznej wizji. Wizji, która opanowała głowę szaleńca.

- Pamiętam - skłamała.

- Przypalał mnie rozpalonymi węglami wyjętymi z ognia - ciągnął dalej, łzy wypływały spod stwardniałej skóry jego maski. - Kiedy to robił, śmiał się. Mówił, że jestem jęczącym, małym bachorem, że jestem jego przekleństwem.

- Nie obwiniaj się o to, on był złym człowiekiem - Sofia starała się, by jej wypowiedź

zabrzmiała neutralnie i miała nadzieję, że nie popełni błędu mówiąc coś, co byłoby sprzeczne z historią, którą właśnie przed nią odsłaniał.

- Tak. Tak, był rzeczywiście. Czemu więc z nim zostałeś? Widziałem kiedyś, jak pobił

cię do nieprzytomności płazem swojego miecza. Przez niego musiałem krzywdzić cię raz za razem, a ty nic nie robiłaś. Dlaczego? Dlaczego tak długo zwlekałaś z decyzją, by mi pomóc?

Sofia gorączkowo starała się wymyślić jakąś zadowalającą odpowiedź i w końcu bąknęła:

- Ponieważ bałam się tego, co nam zrobi, jeśli będę stawiała mu opór.

Upuścił nóż i opadł tuż przed nią na kolana, głowę ułożył na jej podołku.

- Rozumiem - powiedział miękko. - Musiałaś czekać, dopóki nie stałem się na tyle silny, by mu się przeciwstawić. Na tyle silny, by go zabić.

- Tak, by go zabić.

- Gdy ten moment nadszedł, zabiłem go. Wszystko to zrobiłem dla ciebie - dodał z dumą w głosie.

- Kogo zabiłeś? - odezwała się nieostrożnie Sofia i stężała, gdy uświadomiła sobie, jak niebezpieczne było to pytanie.

On jednak zdawał się nie zważać na to, co właśnie powiedziała, na jej niewiedzę, i odparł:

- Mojego ojca. Bojara.

Sięgnął do góry i przesunął palcami po skórzastej masce, jego słowa wręcz ociekały ledwo powstrzymaną wściekłością.

- To dlatego noszę jego twarz. Za każdym razem, kiedy widzę jej odbicie, widzę człowieka, którego muszę zabić. Zabiłem go już raz dla ciebie i będę dalej zabijał, dopóki nie będziemy bezpieczni, matko. My oboje.

Sofia czuła, jak mężczyzna ciężko dyszy z wysiłku, jakim bez wątpienia była dla niego ta spowiedź, ale naciskała dalej - wiedziała, że może już nie mieć drugiej takiej szansy, by jakoś ukierunkować jego szaleństwo.

- Ale przecież teraz jesteśmy bezpieczni, mój dzielny synu. Wiem, że okrutnie cierpiałeś, ale teraz wszystko może być znów w porządku. Pomóż mi tylko zrobić jedną rzecz.

Podniósł głowę z jej kolan i spojrzał błagalnym wzrokiem wprost w jej oczy.

- Co to takiego? Powiedz, co mam zrobić.

- Uwolnij mnie z pęt i pozwól mi iść do ambasadora von Veltena, on nam pomoże -
odparła Sofia.

Rzeźnik zadrżał i poczuła, że cały zesztyniał, jakby w nagłym paroksyzmie bólu.

Podrzucił głowę do góry i zerwał się na nogi, podnosząc z podłogi swój nóż.

- Nie! - ryknął, dźgając ostrzem w jej brzuch. - Nie próbuj mnie przechytrzyć!

Sofia zaszlochała, gdy spod naciskającego jej ciało czubka noża popłynęła krew.

- Wcale nie próbuję cię przechytrzyć. Chcę po prostu, byśmy byli bezpieczni. Chcę, byśmy żyli.

- Ja... To jest... Chodzi mi... - mamrotał niewyraźnie. Nóż po raz drugi zadźwięczał na podłodze.

Mężczyzna zacisnął zęby i wielkimi krokami przemierzał strych. Pięścią uderzał w mijane podpierające dach drewniane słupy. Kostki dłoni zabarwiły się krwią.

Wreszcie zatrzymał się przed Sofią. Stał tak przez chwilę, pierś unosiła mu się z wysiłkiem, dyszał.

- Kocham cię - warknął - ale być może będę zmuszony cię teraz zabić.

- Nie, proszę...

Schylił się, by podnieść nóż. Jego ręka zamknęła się jednak na starej, srebrnej szczotce do włosów. Uniósł ją z trudem przed sobą, tak jakby jakaś część jego duszy przeciwstawiała się tej czynności, i trzymał ją blisko swej twarzy. Z gardła wyrwał mu się stłumiony, radosny śmiech, kiedy poczuł zapach jej włosów, które pozostały na szczotce.

- Ambasador von Velten może nam pomóc? - zapytał swoim głosem małego chłopca.

- Może - przytaknęła Sofia przez łyzy. - Ambasador jest w stanie to uczynić.

III

Kaspar przeciągnął drucianą siatką, przeczesując srebrzystą grzywę wierzchowca.

Wyglądził ją w połyskującą zasłonę, spływającą na potężne końskie barki. Zwierzę łomotało kopytami o ziemię, jego oddech zmieniał się w parę w zimnym powietrzu, ogonem bił się po bokach.

- Spokojnie, spokojnie - szepnął Kaspar, głaszcząc konia po boku. Czuł, jak pod skórą grają potężne mięśnie. Kasztanowaty wałach z Averlandu - zwierzę było czystej krwi i nosiło się iście po szlachecku. Poranny rytuał szczotkowania wierzchowca był dla von Veltena oczyszczający i rozluźniający zarazem. Napawał się tym prostym, fizycznym zajęciem, związanym z utrzymaniem doskonałego rumaka bojowego, pomimo nacisków ze strony Kurta Bremena, twierdzącego, że to praca dla giermków i służących.

Kaspar wiedział, że nie jest to młody koń, ale za to niezwykle silny i o niezłomnym charakterze. Miał świadomość, że upór i srebrzysta grzywa zwierzęcia sprawiły, iż żołnierze przezywali go Ambasador. Teraz mógł być dumny z tych ludzi - dzięki usilnym staraniom Kurta Bremena i wprowadzonej przez niego żelaznej dyscyplinie.

Przezwisko nadane przez strażników jego wierzchowcowi nie martwiło go wcale, tak po prawdzie to trochę mu nawet pochlebiało. Jako żołnierz piechoty z natury, Kaspar nie czuł

wyjątkowej więzi ze swym wierzchowcem, takiej, jaką okazywali zwykle kawalerzyści, będącej przedmiotem wielu żartów pośród pieszych regimentów. Von Velten nie zadawał

sobie nigdy trudu, by choć poznać imię swojego konia, zanim nie opuścił Nuln.

Ale zwierzę tak wspaniałe jak ten wałach zasługiwało z całą pewnością na imię nadane przez posiadającego go jeźdźca.

Sporo myślał na ten temat, wiedząc, że imię niesie ze sobą wielką potęgę i ostatecznie zdecydował się na takie, które miało w sobie ciężar historii i wydawało się Kasparowi odpowiednie.

Nazwał swojego konia Magnus.

Zakończywszy szczotkowanie, zaczerpnął garść ziarna z worka wiszącego przy ścianie stajni i podsunął je wierzchowcowi. Zwierzę z wdzięcznością przyjęło poczęstunek, dobre ziarno z Imperium, które sprawiało, że konie bojowe hodowane w Imperium były niezwykle silne i rosłe, najwspanialsze na świecie, za wyjątkiem może wierzchowców dumnych rycerzy z Bretonii.

Kaspar odwrócił się, słysząc natarczywe pukanie do drzwi stajni i zobaczył Pawła, stojącego w wejściu. Zdawał się być jakiś nieswój. Oparł się o bramę boksu. Od czasu ich spotkania z Czekatilem Paweł wyraźnie unikał ambasadora i było to pierwsze ich spotkanie.

- Wspaniałe zwierzę - odezwał się w końcu Kislevczyk.

- Prawda - odparł Kaspar, odkładając na bok przedmioty służące do oporządzania konia - Jest rzeczywiście wspaniałe. O co chodzi, Paweł?

- Ja chciałem wyjaśnić o tamtej nocy.

- A co tu wyjaśniać? Pozwoliłeś, by Czekatilo zacisnął swe szpony na Teugenheimie i spowodował jego upadek. Wszystko to jest dla mnie zupełnie jasne.

- Nie, nie to... No tak, tak się właśnie wydarzyło, tak, ale Paweł robił dokładnie to, co Teugenheim chciał, żeby robił. Nie przywiodłem go tam sam.

- Daj spokój, Pawle. Nie jesteś głupcem, wiedziałeś z pewnością, co się stanie.

- No tak. Ja myślałem, że mogę zadbać o niego, ale byłem głupcem. Przykro mi, Kaspar, nie myślałem, że skończy się aż tak źle.

Kaspar przepchnął się obok Pawła. Pot, który pokrył jego ciało podczas pracy, teraz je chłodził, stygnąc w chłodnym powietrzu, gdy wychodził na zewnątrz. Zabrał swój skórzany pas z pistoletami i opasał się nim niezwłocznie. Od czasu znalezienia serc przed ambasadą postanowił nie ruszać się nigdzie bez broni. Paweł odwrócił się i podreptał za ambasadorem.

- Kaspar, przykro mi, nie wiem, co powiedzieć.

- W takim razie nie mów nic - przerwał mu gwałtownie. - Sądziłem, że się zmieniłeś, że odnalazłeś wreszcie poczucie godności i honoru. Ale teraz podejrzewam, że się myliłem.

Jesteś takim samym dbającym tylko o siebie egoistą, jakiego znałem przed laty.

Paweł wzdrygnął się.

- Być może ty masz rację, Kaspar, ale w takim razie ty jest tym samym waśniakiem z Imperium z kijkiem w dupie.

Kaspar zacisnął pięści i wpatrywał się w swego starego kamrata przez długie sekundy, zanim wreszcie zaczerpnął głęboki oddech i potrząsnął głową.

- Być może - stwierdził - ale jeśli było jeszcze coś innego, co trzymało cię w Kislevie, zanim ja tu przybyłem, to właśnie teraz się skończyło. Rozumiesz mnie? Walczyliśmy razem przez zbyt wiele lat, by teraz pozwolić naszej przyjaźni się rozpaść, ale nadchodzi wojna i nie mogę sobie pozwolić na spoglądanie jednocześnie w dwie strony.

Szeroki uśmiech rozjaśnił twarz Kislevczyka. Wypuścił głośno wstrzymywane dotąd powietrze i wyciągnął zza pasa skórzany bukłak. Łyknął z niego tego i podał Kasparowi.

- Paweł sprawi, że kapłanka Shallyi będzie przy nim wyglądać jak pospolita kurwa z rynsztoka w porównaniu z jego świętością.

- Nie musisz posuwać się aż tak daleko, ale doceniam twoją deklarację - odparł von Velten, biorąc od niego bukłak i również pociągając spory, aczkolwiek bez przesady, łyk kvassu. Oddał naczynie właścicielowi i zapytał:

- Myślisz, że powinniśmy skontaktować się znów z Czekatilem? Sprawdzić, czy zdołał odkryć coś

wartościowego dla nas?

- Nie - rzekł Paweł, kręcąc przecząco głową - on sam się skontaktuje z tobą, ale, na Ursuna, kawał mnie ma nadzieję, że on nic nie znalazł. Czekał nie jest człowiek, któremu chciałbyś być coś winien.

- Wiem, co masz na myśli, ale nie mogę się poddać, nie mogę tak Sofii zostawić.

Anastazja wciąż stara się mnie przygotować na najgorsze, przygotować na fakt, że Sofia nie żyje, ale...

- Tak - stwierdził ze zrozumieniem Paweł - Ona dobra kobieta. Paweł lubi Sofię.

Kaspar nie odpowiedział, ponieważ w tej właśnie chwili usłyszał hałas brzmiący tak, jakby ktoś nadjeżdżał od frontu ambasady. Usłyszał krzyki i stukot uderzających o bruk końskich kopyt.

Paweł również to usłyszał i obaj wymienili zaniepokojone spojrzenia, zastanawiając się, jakie to nowe nieszczęście się zbliża. Kaspar sprawdził, czy jego pistolety są nabite, a potem obaj ruszyli truchtem dookoła budynku w stronę frontu ambasady. Za bramą stali dwaj Rycerze Pantery z dobytą bronią, po drugiej stronie zaś leżało dwóch rozciągniętych na ziemi bez czucia strażników, ubranych w mundury ambasady Imperium.

Dookoła fontanny, na niewielkim placu przed budynkiem, krążył samotny jeździec odziany w proste, kawaleryjskie spodnie i workowatą, białą koszulę. Jego niezwykle umiejętności jeździeckie i powiewający na wietrze oseledec zdradziły Kasparowi, że człowiekiem tym jest Sasza Kajetan. Natychmiast dobył pistoletów i podszedł, by stanąć ramię w ramię z rycerzami, trzymającymi wartę przy bramie.

Kajetan podprowadził konia ku bramie ambasady i Kaspar uniósł oba pistolety, kierując lufy wprost w pierś Kislevczyka.

- Nie podjeżdżaj bliżej, bo przysięgam, że naszpikuję cię ołowiem - ostrzegł.

Kajetan przytaknął skinieniem głowy i von Velten spostrzegł, że twarz ma całą zalaną łzami, wykrzywioną cierpieniem.

- Przepraszam - odezwał się, rzucając żalosne spojrzenie w kierunku ambasady.

- Co ty tu robisz, Sasza? - huknął Kaspar. - Anastazja nie jest twoją własnością, nigdy nie była. Musisz się z tym pogodzić.

- Potrzebuję pomocy - odparł Kajetan i Kaspar zauważył krew przesiąkającą przez rękawy jego płóciennej koszuli. - Potrzebuję porozmawiać, teraz, zanim... zanim nie będę już w stanie tego uczynić.

Kaspar nie miał pojęcia, o czym właściwie mówi mistrz miecza, zrobił krok do przodu, trzymając pistolety wciąż wycelowane w pierś Saszy.

- Mów to, co masz powiedzieć, i idź precz - zakomenderował.

- Ona powiedziała, że ty pomożesz!

- Kto? - zapytał zdumiony von Velten.

- Matka! - zawył Kajetan i rzucił coś połyskującego w kierunku ambasadora.

Żołnierski instynkt Kaspara wziął górę, uchylił się błyskawicznie, naciskając spusty pistoletów. Oba wypaliły z hukiem, błysk wystrzałów i kłęby gryzącego dymu oślepiły go na moment. Ludzie krzyczeli, koń kwiczał w trwodze. Rycerze Pantery ruszyli błyskawicznie, by chronić swego ambasadora i von Velten został odepchnięty od bramy, zasłonięty przez mur opancerzonych ciał.

- Stać! - krzyknął, próbując wyrwać się z uścisku rycerzy. - Wszystko w porządku, nic mi nie jest. Cokolwiek to było, nie zdołał we mnie trafić.

Spojrzał w kierunku fontanny, ale Saszy już tam nie było. Jedynym śladem, że kiedykolwiek się tam znajdował, była rozwiewająca się powoli chmura prochowego dymu.

Nie, wcale nie jedynym. W śniegu, tam gdzie upadł, leżał przedmiot rzucony przez Kajetana.

I nie był to nóż, jak w pierwszej chwili myślał Kaspar.

Była to szczotka do włosów. Srebrna i wyłożona perłami. Kaspar poczuł nagły przypływ strachu i nadziei. Na tej starej i kosztownej szczotce zaplątał się jeden kasztanowy włos.

Włos Sofii.

IV

Teraz go nie było, ale na jak długo? Sofia kupiła sobie jeszcze trochę czasu, może bardzo niewiele, ale zawsze było to coś. Świeża woda i iskierka nadziei, że jeszcze może wyjść cało z tej opresji, dały jej nową siłę i determinację. Nie miała zamiaru pozwolić im się zmarnować.

Jej pęta były wciąż mocno zaciśnięte, ale kiedy Rzeźnik wybiegał ze strychu, trzymając kurczowo szczotkę, zapomniał podnieść swój skrwawiony nóż, leżący teraz wciąż na podłodze tuż obok niej. Nie wiedziała wprawdzie, jak mogłaby go podnieść, ale powoli, cal po calu, udało się jej przesunąć krzesło, do którego była przywiązana, w kierunku noża.

Wreszcie była już tak blisko, że jej lewa ręka wisiała nie więcej niż dwadzieścia centymetrów nad zakrwawionym ostrzem, ale równie dobrze mogłoby to być dwadzieścia metrów.

Sofia zacisnęła zęby i zaczęła się szarpać w więzach, szlochając, gdy powrozy wpiły się głębiej w ciało. Krew popłynęła w dół po palcach rąk. Zapłakała przepełniona frustracją, wiedząc, że on wkrótce wróci. Człowieka, który zrobił jej to wszystko, w równym stopniu nienawidziła, jak i żałowała. Przecież nie zawsze był takim potworem, stał się nim przez innych ludzi. Psychiczne wykorzystywanie i manipulacja emocjami przeobraziły człowieka, którym był kiedyś, w

niepoczytalnego szaleńca, Rzeźnika.

Przerażała ją sama myśl, że została schwytana przez seryjnego mordercę, ale jednocześnie determinacja, by nie zakończyć życia na tym śmierdzącym śmiercią strychu nie pozwalała się jej poddać. Po chwili wiedziała już, w jaki sposób może dosięgnąć noża.

Krzeseł, do którego była przywiązana, było zdecydowanie zbyt ciężkie, by w stanie obecnego wycieńczenia mogła je przewrócić. Ale był jeszcze inny sposób...

Zagryzła mocno tkwiący w ustach knebel i zaczęła pocierać pokrytym smołą kikutem kciuka o sznur. Uderzenia potwornego bólu przenikały jej rękę, aż wreszcie poczerniały strup odszedł od palca i chropawa lina zaczęła trzeć o żywe, poszarpane mięso. Z rany chlusnęła krew, łązy popłynęły po jej policzkach, a pierś unosiła się ciężko wraz z jękami cierpienia.

Niebawem cała jej dłoń była śliska od krwi i wtedy zorientowała się, że już czas.

Sofia ścisnęła palce lewej ręki tak ciasno, jak tylko zdołała, i pociągnęła mocno, starając się rozluźnić więzy. Knebel stłumił krzyki bólu.

Cierpienie było niewiarygodne, ale nie przestawała ciągnąć, jej skrwawiona dłoń walczyła, by wydostać się na wolność. Więzy wydawały się trochę luźniejsze teraz, kiedy straciła kciuk. Nawilżona dłoń wysunęła się odrobinę. Kobieta zdwoiła wysiłki. Zaciśnęła powieki z bólu, gdy zdawało się już, że ją on ogarnie i pokona.

Kawał skóry i żywego mięsa oddarł się przy kciuku, gdy Sofia pociągnęła jeszcze mocniej. Czuła, że rana pęka jeszcze bardziej. Jeszcze więcej krwi spłynęło na jej rękę, podłogę skropił istny czerwony deszcz. Ale jej dłoń wysunęła się z więzów jeszcze odrobinę i pomimo tego, że czuła, iż rana wciąż się powiększa, nie ustawała w wysiłkach.

Wydała z siebie jeszcze jeden stłumiony krzyk cierpienia i nagle było już po wszystkim.

W jej rękę promieniował palący ból, tak jakby zanurzyła ją w płynnej lawie.

Ale była wolna, ręka zwisała teraz bezwładnie przy jej boku, nie ograniczona żadnymi pętami.

Sofia walczyła, by nie stracić przytomności, oddychała na tyle głęboko, na ile pozwalał jej knebel. Wiedziała dobrze, że traci ogromne ilości krwi i może ją w każdej chwili ogarnąć szok pourazowy, więc tak szybko jak tylko mogła pochyliła się i chwyciła rękojeść noża zdrętwiałymi końcami palców. Nóż był ciężki i kilka razy prawie go upuściła, ale wreszcie udało się jej unieść go na wysokość pęt. Uwolnienie lewej kostki ręką pozbawioną kciuka okazało się być bardzo trudne, ale nóż Rzeźnika był niesamowicie ostry i ciął sznur z wielką łatwością. Po uwolnieniu kostki mogła przekręcić ciało, choć ruch był powolny i sprawił jej ogromny ból. Czuła wyraźnie odparzenia na tylnych stronach ud i była otępiała na skutek głodu i pragnienia. Uwolniła drugą kostkę i nadgarstek a potem sztywno zmusiła się do stanięcia na nogi, używając krzesła jak podpory, której w obecnym stanie bardzo potrzebowała.

Wyrwała z ust szmatę i poczuła jak w jej wnętrzu narasta histeryczny śmiech.

Była wolna!

Choć nie była jeszcze bezpieczna, dreszcz emocji wywołany zbliżającą się ucieczką przyprawił ją o zawrót głowy. Wiedząc, że osłabione kolana nie będą jeszcze w stanie utrzymać jej ciężaru, przepełzła przez podłogę w stronę kłapy, prowadzącej do tego miejsca wyrwanego jakby z najgorszych sennych koszmarów.

Sofia odciągnęła skobel i uniosła klapę do góry.

V

Kaspar krzychał na kłębiący się przed nim tłum, wrzeszczał, by zeszli mu z drogi, gdy pędził przez Goromadny Prospekt na grzbiecie Magnusa. On sam i każdy rycerz gotowy do konnej jazdy natychmiast dosiedli wierzchowców, gdy tylko Kaspar zorientował się, co rzucił

w jego kierunku Sasza Kajetan. Nie miał pojęcia, w jaki sposób wszedł on w posiadanie szczotki z włosom Sofii, ale wiedział, że ten bękart musi odpowiedzieć mu na kilka bardzo poważnych pytań.

Paweł zadbał o to, by Kaspar wiedział, gdzie znajdują się koszary Legionu Gryfa i choć nie było żadnej gwarancji, że Sasza udał się właśnie tam, to były one równie dobrym miejscem, żeby zacząć poszukiwania, jak każde inne.

Karkołomna gonitwa przez Kislev była dla niego niczym rozmyte, niewyraźne obrazy, zbyt wiele emocji walczyło o pierwszeństwo w głowie Kaspara, by mógł widzieć dokładnie wszystkie szczegóły. Gniew, zemsta, strach i, najsilniejsza ze wszystkich, nadzieja. Myśl, że ma szansę odzyskać Sofię, huczała mu w głowie, tłumiąc nawet gniew, którym pałał w stosunku do Kajetana. Czyżby to była po prostu intryga zrodzona z zazdrości? Sama myśl, że człowiek może upaść tak nisko w imię jakiejś chorej wizji miłości, wprawiała Kaspara w niesmak i w równym stopniu w przerażenie.

Kiedy wskakiwał na siodło Magnusa, z ambasady wybiegła Anastazja. Biegła, by się z nim zobaczyć, furia widoczna w jej zimnych oczach nie ustępowała jego własnej. Chwyła jego dłoń i spojrzała mu głęboko w oczy.

- Jeżeli zranił Sofię, chcę, byś go zabił - zażądała.

- Nie kłopotaj się - obiecał Kaspar. - Jeżeli coś jej zrobił, to nawet sami bogowie nie będą w stanie go ochronić.

ROZDZIAŁ 9

I

Ból płał w jego boku niczym wściekłe słońce, krew płynęła z otworu pozostawionego przez kulę wystrzeloną z pistoletu von Veltena. Sasza Kajetan mocno przyciskał rękę do rany, zatykając ją rękawem koszuli. Czuł, że kula przeszła gładko, czuł

wylot rany na plecach, ale wiedział też, iż prawdziwe niebezpieczeństwo tkwi w brudzie i włóknach, które kula pozostawiła w jego ciele. Nie za bardzo miał ochotę zakończyć żywot wijąc się w wywołanych gorączką konwulsjach na łóżku w szpitalu Lubjanko, choć miał

świadomość, że na nic lepszego nie zasłużył.

Bolała go głowa. Prawdziwe ja wrzeszczało cały czas w gniewie z powodu tego, co uczynił. Uderzało w bariery, które wznosił, krzycząc na niego, wyzywając od słabeuszy, głupców, jęczących nieszczęśników, którzy nie zasługują na nic więcej, jak tylko szubienica.

Kajetan zdawał sobie sprawę, że ono mówi prawdę i jest już potępiony, ale postanowił

choć spróbować naprawić te niewybaczalne czyny, których dokonał. Zadanie było niemożliwe do wykonania, wiedział o tym, ale to nie był powód, żeby nie próbować.

Przekroczył już punkt, gdzie wszelkie prawa miały dla niego jakiegokolwiek znaczenie, i kiedy tak jechał ku bramom koszar Legionu Gryfa, z oczu płynęły mu gorzkie łzy.

Trzech jego wojów z gładko ogolonymi głowami spojrzało na niego ze zdziwieniem, gdy wjechał przez bramę, zsunął się z siodła i klepieniem w zad popędził konia. Kajetan dobył jednego ze swych mieczy, drugą ręką wciąż podtrzymując zraniony bok. Wojownicy krzyczeli coś do niego, widząc skrwawioną koszulę, ale zignorował ich i pokuśtykał przez plac do nieużywanych od dawna magazynów, spoglądając do góry ku brudnemu świetlikowi, tam, gdzie czekała na niego ona.

Jeden z żołnierzy Legionu Gryfa chwycił go za rękę, ale on strącił ją, obracając się w miejscu. Z okrzykiem bólu ściął mężczyznę jednym machnięciem miecza. Inni cofnęli się przerażeni, dobrze znając jego umiejętności szermiercze.

Jedynie, co mógł teraz zrobić, to wreszcie zakończyć wszystko. Tylko to mu jeszcze pozostało.

Zabije swoją matkę, a potem to samo uczyni ze sobą. Ich krew zmiesza się na podłodze i razem spędzą całą wieczność po drugiej stronie.

Umrą ukołysani w swych ramionach i sama myśl o zakończeniu tego koszmaru sprawiła, że poczuł się szczęśliwszy niż kiedykolwiek. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio czuł

coś podobnego.

II

Sofia bardzo ostrożnie zeszła w dół po drabinie. Każdy ruch był przemyślany i precyzyjny, jej odrętwiałe, pogryzione przez szczury nogi bolały niemiłosiernie. Poniżej strychu było pomieszczenie pachnące jak jakiś bardzo rzadko odwiedzany magazyn. Unosił

się tu ostry zapach zwierząt, Sofia zauważyła też końskie kropierze, siodła i uprząże porozrzucane wzdłuż ścian tej długiej, wypełnionej kurzem sali. Niczyja noga nie powstała tu od dość dawna. Magazyn biegł przez całą długość budynku, tworząc długie i niskie półpięterko nad zasłanymi sianem

stajniami. Kilka koni stało tam w wąskich boksach.

Wątle światło przesączało się do środka przez pokryte śniegiem okna i dzięki temu delikatnemu blaskowi Sofia zauważyła kolejną drabinę prowadzącą w dół, do stajni. Nie miała pojęcia, gdzie się właściwie znajduje, ale słoneczne promienie przedostające się przez niedomknięte wrota były dla niej niczym wspaniałe, boskie światło, dające nadzieję.

Ostrożnie opuściła się na podłogę i pełzła właśnie ku kolejnej drabinie, gdy w pobliżu rozległy się jakieś krzyki. Usłyszała wrzask bólu i poczuła jak wypełnia ją znajome przerażenie.

Wrota wiodące do znajdującej się poniżej stajni otworzyły się i do środka wlało się oślepiające światło dnia.

Sofia zakryła oczy, nieprzyzwyczajona do takiej jasności. Słyszała prężne kroki chrzęszczące na sianie i zaszlochała z trwogi, z obawą otwierając oczy, gdy usłyszała, jak ktoś wspina się po drabinie do góry, do pomieszczenia, gdzie się obecnie znajdowała.

Nadzieja i strach walczyły o pierwszeństwo w jej duszy. Czy to zbliżało się uwolnienie, czy może śmierć?

Podciągnęła się do krawędzi, o którą oparta była drabina, oczy wciąż łzawiły jej od blasku. Sofia mocniej ścisnęła nóż w zdrowej ręce, gdy zobaczyła mężczyznę wspinającego się do góry.

Kiedy wspiął się trochę wyżej, rozpoznała znajomą postać Saszy Kajetana i wydała z siebie drżące westchnienie ulgi. Nie był to Kaspar, ale przynajmniej ktoś, kogo znała. A potem ujrzała krew na jego rękach.

Spojrzał w górę i dostrzegła szaleństwo pałające w jego jakże znajomych, fiołkowych oczach.

- To wszystko było dla ciebie... - powiedział.

W mgnieniu oka zrozumiała, kim był naprawdę Rzeźnik i zaczęła krzyczeć.

III

Rycerze Pantery jechali ku otwartym bramom koszar Legionu Gryfa, popędzając konie do szarży i dobywając broni, gdy spostrzegli kłębiący się na ćwiczebnym podwórku, uzbrojony tłum. Kaspar ściągnął wodze i również wy dobył miecz.

- Gdzie on jest?! - zagrzmiął ambasador, wskazując mieczem w kierunku najbliższego spowitego w futra wojownika. - Gdzie jest Kajetan?!

Jego rycerze rozproszyli się, by otoczyć żołnierzy Legionu Gryfa. Broń trzymali wzniesioną w niemej groźbie i nawet najgłupszy z Kislevczyków zauważył, że tylko czekają na okazję, by zrobić z niej użytek. Mimo że sami byli ludźmi wielkiej odwagi, dobrze wiedzieli, że w starciu z opancerzonymi rycerzami nie mają zbyt wielkich szans.

Kaspar miał już powtórzyć pytanie, wykrzyknąć je w tłum, kiedy zauważył leżące na kamieniach ciało żołnierza Legionu. Od trupa ciągnął się szkarłatny ślad prowadzący ku otwartym wrotom długiego i wysokiego budynku stajni, znajdującego się po drugiej stronie placu.

Podprowadził konia do przodu i dźgnął lekko w pierś najbliższego stojącego Kislevczyka.

- Kajetan? - krzyknął, wskazując na stajnię.

Żołnierz prędko pokiwał twierdząco głową. Sam też wskazał na otwarte wrota.

- Iha, iha, Kajetan!

Ze środka dobiegł przeszywający wrzask. Kaspar popędził konia i Magnus ruszył galopem w stronę stajni. Von Velten przejechał przez wrota nie zsiadając z siodła, rozglądał się dookoła, starając się dostrzec jakiś ślad szermierza. Znowu usłyszał kobiecy krzyk.

Poderwał głowę do góry i ujrzał koniec długiej drabiny. Wspiął się po niej Kajetan, jego zakrzywiony miecz ociekał świeżą krwią. Ambasador usłyszał kolejny krzyk i tym razem nie miał żadnych wątpliwości, że to głos Sofii.

- Kajetan! Nie! - ryknął. W mgnieniu oka zrozumiał, że nie ma szans dogonić Saszy wspinając się za nim do góry i powstrzymać go, zanim szalencie zabije Sofię. Był tylko jeden sposób, by go w tej chwili zatrzymać. Dźgnął ostrogami i wydał z siebie bojowy okrzyk, popędzając swego ciężkiego rumaka wprost w stronę drabiny. W ostatniej chwili zmienił

kierunek ściągając wodze i potężny koń uderzył w drabinę bokiem, rozbijając jej podstawę w drzazgi. Kaspar usłyszał dochodzący z góry pełen frustracji krzyk, a po krótkiej chwili łomot ciała padającego ciężko na ubitą podłogę stajni. Konie zakwiczały ze strachu, załomotały podkutymi żelazem kopytami w drzwi swoich boksów.

Ambasador obrócił konia i wyciągnął z olstra pistolet. W tym samym czasie Kajetan chwiejnie podniósł się z ubitego klepiska, jego twarz była istną maską furii i bólu.

- Ona mówiła, że ty mi pomożesz! - wrzasnął.

- Pomogę ci umrzeć, cholerny, morderczy bękarcie! - odkrzyknął Kaspar i zsunął się z siodła. Ruszył ku Saszy z lufą pistoletu wycelowaną w jego głowę. Czarne niczym smoła cienie Rycerzy Pantery padły na podłogę - właśnie zablokowali jedyne wyjście ze stajni.

Kajetan ze smutkiem spojrział w stronę wyższego piętra, łzy wryły mu na policzkach dwie czyste linie pośród brudu. Oddychał krótko, szybkim, urywanym oddechem. Kaspar wiedział, że nawet mimo ran Kajetan jest śmiertelnie niebezpiecznym przeciwnikiem i zbliżał

się do niego zachowując niezwykłą ostrożność.

Sasza wciąż trzymał miecz przed sobą, ani na moment nie spuszczał z oka Kaspara.

- Ambasadorze, odstęp od niego, zostaw to nam! - rozległ się z tyłu okrzyk Kurta Bremena.

- Nie, Kurt, to coś, co muszę załatwić osobiście. On zabił Stefana.

- Wiem, ale to Drojaska, mistrz miecza, nie zdołasz pokonać go w pojedynku!

Kaspar uśmiechnął się ponuro.

- Wcale nie mam takiego zamiaru, Kurt - powiedział i pociągnął za spust.

Na chwilę jakby zatrzymał się czas. Kajetan błyskawicznie odchylił się na bok i zszokowany Kaspar ujrzał, jak kula odłupuje spory kawałek drewnianej ściany za plecami szermierza. Miecz Kajetana płynnym ruchem mignął w górę, wytrącając pistolet z dłoni ambasadora.

Kaspar odskoczył, spodziewając się kolejnego zabójczego ciosu, ale był zbyt wolny.

Sasza zatrzymał czubek ostrza jakieś dwa centymetry od jego krtani i zapłakał.

- Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro...

Szybko cofnął miecz i odwróciwszy się od ambasadora wpadł do jednego z boksów, w którym zamknięty był kopiający dziko tylnymi kopytami wierzchowiec. Schwycił grzywę zdenerwowanego zwierzęcia i płynnie wskoczył na jego grzbiet. Mielące powietrze kopyta roztrzaskały w jednej chwili drzwi do boksu i z dzikim okrzykiem stepowych jeźdźców na ustach Kajetan pogalopował ku otwartej bramie i dalej, na wolność.

Rycerze Pantery ruszyli, by go zatrzymać, ale jego umiejętności jeździeckie dorównywały biegleści w walce mieczem i Kislevczyk mistrzowsko kierował konia kolanami, siekąc jednocześnie dwoma bliźniaczymi ostrzami. Nawet pomimo targającego nim gniewu Kaspar był zdumiony tym, jak ten człowiek potrafi władać mieczami. Wywalczył

sobie drogę pomiędzy rycerzami prawie nie odnosząc uszczerbku. Ich miecze mogły go co najwyżej drasnąć. Natomiast jego własna broń krążyła, tworząc prawie nieprzenikniony pierścień stali. Co jakiś czas jęczał i pochrząkiwał z bólu.

Kajetan wywalczył sobie drogę przez szereg przeciwników, koń wypadł wreszcie na wolną przestrzeń za bramą stajni, jego kopyta krzesły iskry na bruku. Kaspar popędził za nim, krzycząc:

- Zamknijcie bramy, na litość Sigmara!

Ale było już za późno.

Pochyliwszy się nisko na szyję wierzchowca, Kajetan krzyknął „matka!”, pogalopował przez otwarte wrota i zniknął.

IV

Kaspar kolejny raz przytknął wilgotną szmatkę do czoła Sofii, mimo że brud i krew zostały już dawno zmyte. Kiedy chirurg orzekł, że jej życiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, Kaspar wniósł modły do Sigmara, Ulryka, Shallyi i każdego innego boga, który mógł wysłuchać jego wcześniejszych próśb i podziękował im za uwolnienie jej z pułapki Kajetana - Rzeźnika.

Zaraz po tym, jak bezpiecznie wróciła do ambasady, Paszenko i jego Czekiści zabezpieczyli całą stajnię i nawet teraz przeszukiwali miasto w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu bytności Kajetana. Zanim się to jednak stało, jakaś chorobliwa fascynacja i pragnienie zrozumienia ostatnich wydarzeń zawiodły Kaspara na strych, tam gdzie była przetrzymywana Sofia. Nie miał pojęcia, czego może się spodziewać, ale teraz już był pewien, że koszmarnie widoki, które tam ujrzał, z pewnością będą go nawiedzać w snach do końca jego dni.

Krew pokrywała praktycznie każdą powierzchnię, a wzdłuż ścian, na przybitych do drewna hakach, wisiały makabryczne trofea Rzeźnika - fragmenty ciał jego ofiar. Wisiały tam pomiędzy tanimi błyskotkami i częściami kobiecych, męskich oraz dziecięcych ubrań.

Wyglądało na to, że Kajetan nie był wybredny w doborze ofiar. Odnaleziono tam też mnóstwo różnorodnych narzędzi, noży i cęgów - wszystkie pozalewane i pokryte skrzepłą już teraz krwią oraz włosami ofiar. Jak wielu ludzi skończyło swój żywot w tym ciemnym, przerażającym miejscu, pozostanie już na zawsze tajemnicą, której pewnie nie potrafiłby rozwikłać nawet sam Kajetan. Kaspar obiecał sobie, że morderca musi odpowiedzieć za to, co zrobił.

Sofia w jakiś sposób przetrwała długotrwałe uwięzienie w tym potwornym miejscu i von Velten był pod dużym wrażeniem jej siły i odwagi. Teraz leżała w swoim łóżku w ambasadzie, pogrążona w głębokim śnie. Jej rany opatrzyli najlepsi lekarze, jakich mógł

znaleźć Kaspar. Nie mogli dla niej zrobić już nic więcej, wszystko zależało teraz tylko od niej.

Widział już wielu ludzi, którzy się poddali, i mimo że chirurdzy obiecywali im jeszcze długie życie, odeszli cicho, nie mając siły walczyć. Na szczęście Sofia Walencik była osobą, której z pewnością nie brakowało woli życia.

Pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Obiecuję, znajdę go dla ciebie - wyszeptał, słysząc równocześnie, że ktoś wchodzi do pokoju.

W drzwiach stała Anastazja, ręce splotła na piersi.

- Co z nią? - zapytała.

Kaspar uśmiechnął się.

- Wierzę, że wszystko będzie w porządku, choć sam Sigmar wie, jak mogły na nią wpłynąć tak ciężkie przejścia. Okaże się w ciągu najbliższych dni.

- Mówiła coś od czasu, kiedy ją tu przywiozłeś?

- Nie za bardzo. Nie - odparł i podniósł się na nogi, przewieszając uprzednio wilgotną szmatkę przez krawędź miski z wodą.

- Ale coś powiedziała, tak? - naciskała Anastazja.

- Wspominała coś o tym, że Sasza nie urodził się potworem, tylko ktoś go nim uczynił

- odparł von Velten, zdziwiony jej uporem. - Że ktoś chciał, aby się nim stał, żeby był niczym dzika bestia.

- To głupie - zadrwiła Anastazja - Sasza był po prostu o ciebie zazdrosny, choć, przyznaję, w stopniu, jakiego się po nim nie spodziewałam.

Kaspar pokręcił głową.

- Sądzę, że jest w tym coś więcej, Ana, naprawdę tak myślę. Jakby nie było, jeżeli rzeczywiście to on

był Rzeźnikiem, zabijał ludzi na długo zanim ja przybyłem do Kisleva.

- Sam widzisz, nie wiemy nawet, czy to rzeczywiście on jest Rzeźnikiem. Sam mówiłeś, że Paszenko podejrzewał, iż to inni szaleńcy zabijali ludzi w podobny sposób, by ukryć swoje własne zbrodnie i rzucić winę na Rzeźnika. Myślę, że Sasza chciał, żebyśmy uwierzyli, że to właśnie on nim jest.

- A co w takim razie z tym, co znaleźliśmy na strychu? Dlaczego Kajetan popełnił

wszystkie te zbrodnie? Czemu to zrobił?

- Wcale nie twierdzę, że znam odpowiedzi na te pytania - odparła Anastazja, pochylając się, by pocałować go w policzek.

- Ale brzmi to bardziej wiarygodnie niż to, co powiedziała Sofia, nie sądzisz?

Kaspar nie odpowiedział. Nie przekonał go tok rozumowania Anastazji.

- Ale wracając do meritum sprawy - ciągnęła - co właściwie uczyniono, by schwytać Kajetana? Przeraza mnie myśl, że wciąż jest na wolności, choć nie chciałam ci wcześniej tego mówić. Nie czuję się bezpieczna. Kaspar, powiedz mi, ochronisz mnie, prawda?

- Nie obawiaj się, Ana - Kaspar wziął ją w objęcia. - Powiedziałem już, że nikomu nie pozwolę cię znowu skrzywdzić i dotrzymam słowa. Przetrzęsają w poszukiwaniu Kajetana całe miasto. Nawet teraz.

- Tak?

- Z całą pewnością tak - zapewnił ambasador. Jakieś natarczywe wspomnienie walczyło, by wychynąć z czeluści jego umysłu na powierzchnię. Coś o rodowych włościach...

ale myśl umknęła, gdy Anastazja odezwała się znowu.

- Zabijesz go, prawda? Nie będziesz brać go żywcem.

- Jeżeli inaczej się nie uda - odparł Kaspar.

- Jeżeli inaczej się nie uda... - powtórzyła z rozdrażnieniem, wrywając się z jego objęć. W jej głosie zabrzmiał nagły i niespodziewany gniew.

- Przecież on zabił twojego najstarszego towarzysza i, jak by nie patrzeć, torturował

twoją przyjaciółkę. Jaki mężczyzna puściłby płazem takie zniewagi, taką skazę na honorze?

Von Velten nie znał Anastazji od tej strony, nigdy nie widział jej w takim stanie.

Poczuł się trochę nieswojo, ale pomyślał, że to pewnie szok wywołany świadomością faktu, iż jej adorator i przyjaciel okazał się być seryjnym mordercą.

- Nie przejmuj się tym, Ana - powiedział - Kajetan z pewnością zapłaci za swoje czyny. Być może w tej chwili jest już martwy. Kiedy widziałem go ostatnio w stajniach, był

ciężko ranny. Chyba trafiłem go z pistoletu, gdy spotkaliśmy się przed ambasadą.

- Nie bądź tego taki pewien - ostrzegła Anastazja - Sasza Kajetan jest twardy. Nie umrze tak łatwo.

- Być może nie, ale ja też nie jestem mężczyzną, który łatwo się poddaje - odparł

Kaspar, a jego wcześniejsze wspomnienie znów przedarło się ku powierzchni umysłu, olśnienie przyszło nagle jak piorun z jasnego nieba.

- Oczywiście! - krzyknął, głośno strzelając palcami.

- O co chodzi? - spytała.

- Muszę iść! - rzucił von Velten, składając pośpieszny pocałunek na jej policzku, po czym wybiegł z pokoju i zawołał Pawła.

- Opiekuj się Sofią - zdążył jeszcze zawołać. - Chyba wiem, gdzie znaleźć Kajetana.

V

Raspostitsa. Brak dróg.

Doskonałe określenie, pomyślał oszołomiony Sasza Kajetan, chwiejąc się na grzbiecie swego konia. Prosta nazwa, wymyślona przez pragmatycznych kislevskich wieśniaków, nigdy nie była bardziej prawdziwa niż teraz właśnie. Rozpościerała się przed nim bezkresna przestrzeń pokrytego niezmaconą bielą stepu. Widok ten przytłaczał mniej odważnych ludzi, sprawiając, że szukali schronienia za palisadą jednej ze stanic, rozsianych po województwie niczym kropki na mapie.

Ale Kajetanowi nie dane było dostąpić takiej rozkoszy. Teraz już nie mógł

bezpiecznie pokazać swojej twarzy. Teraz, kiedy jego prawdziwe ja zostało zdemaskowane.

Wyraźnie czuł jego gniew gdzieś w środku swojej czaszki, ale trzymał je zamknięte, a było to tym łatwiejsze, im bardziej oddalał się od Kisleva.

Ponad nim rozciągało się bezkresne, szare niebo - nieskończone i bezlitosne. W takich warunkach każdy mógł się zgubić, ale nie on. Jechał do celu z taką pewnością, jakby wiodła go tam jakaś przewodnia gwiazda. Z powodu braku jakichkolwiek znaków rozpoznawczych na tej dzikiej, lodowej pustyni ktoś inny już dawno by się zgubił bez najmniejszej nadziei na odnalezienie drogi do celu.

Każdy, ale nie on.

Bok miał obolały w miejscu, gdzie uderzył się spadając z drabiny na klepisko.

Przypuszczał, że co najmniej jedno żebro było złamane. Napchał w pozostawioną przez kulę dziurę śniegu i mocno ścisnął ją skórzanym pasem. Chwiał się niepewnie na grzbiecie konia, kurczowo przytrzymywał się grzywy i jechał, wciąż jechał na północ. Poprzez śnieg. Był

pewien, że bez trudu przetrwa tę podróż, ale jego wierzchowiec? Nie miał dla niego ani odrobiny ziarna, nie było też w okolicy żadnej naturalnej paszy, która nie byłaby zamarznięta pod śniegiem.

Nie miało to co prawda zbyt wielkiego znaczenia; miał swój łuk, więc mógł upolować sobie coś do zjedzenia, a jeśli koń padnie, będzie miał przynajmniej świeże mięso. Śniegu było na tyle dużo, by po stopieniu w zupełności wystarczyło do picia, a jego rany, choć bolesne, nie były z pewnością śmiertelne.

Nie, jedyne, co się teraz naprawdę liczyło, to powrót do miejsca, gdzie się to wszystko zaczęło.

Wtedy nareszcie będą mogli znów być razem.

VI

- Nie obchodzi mnie, jak bardzo jest teraz zajęty - przerwał wściekłym głosem Kaspar.

- Muszę się zaraz zobaczyć z ministrem Łosowem.

- Przykro mi, ambasadorze von Velten, ale minister pozostawił szczegółowe zalecenia, że nie wolno mu teraz pod żadnym pozorem przeszkadzać - odparł zakuty w spiżową zbroję rycerz, blokujący im przejście do komnat Łosowa w Zimowym Pałacu.

Po opuszczeniu Anastazji i Sofii razem z Pawłem pojechali do ponurej, kamiennej siedziby Czekistów, pędząc jakby deptały im po piętach same Ogary Chaosu. Kaspar wyjaśnił

Paszence swoje domysły w związku z miejscem pobytu zbiegłego Kajetana. Pamiętając przypadkową uwagę wygłoszoną przez Łosowa na audiencji, podczas której przedstawiono go Carycy Katarzynie i ostatnie słowo wykrzywane przez Saszę, kiedy ten uciekał ze stajni, ambasador uświadomił sobie, że wie, dokąd udał się zbieg.

Przywódca Czekistów odniósł się do tego pomysłu sceptycznie i oznajmił, że jeśli Kajetan rzeczywiście opuścił Kislev i udał się tam, gdzie podejrzewał von Velten, to równie dobrze można go uznać za zmarłego. Ale Kaspar z uporem naciskał i w końcu przekonał

Paszenkę, by ten udał się wraz z nim do Pałacu Zimowego, rozumując, że reputacja jego towarzysza może otworzyć drzwi, których sam nie zdołałby w żaden sposób pokonać.

Jednymi z takich drzwi były te prowadzące do prywatnych komnat głównego doradcy Carycy - Piotra Iwanowicza Łosowa. Pilnował ich odziany w spiżową zbroję rycerz uzbrojony w halabardę o srebrzystym, połyskującym ostrzu.

- Nic nie rozumiesz - wyjaśniał Kaspar, cierpliwość powoli go opuszczała - to sprawa najwyższej wagi, sprawa życia i śmierci. Muszę z nim porozmawiać.

- Nie mogę na to pozwolić - odparł twardo rycerz.

- Na krew Sigmara - wściekły von Velten odwrócił się zniecierpliwiony w kierunku Pawła i Paszenki. Skinął nieznacznie głową do Czekisty. Paszenko wystąpił maleńki kroczek do przodu i stanął przed rycerzem z dłońmi splecionymi za plecami.

- Czy wiesz, kim jestem, strażniku? - zapytał.

- Tak panie, wiem.

- W takim razie zdajesz sobie sprawę z tego, że lepiej nie wchodzić mi w drogę.

Ambasador von Velten domaga się widzenia z doradcą Carycy w sprawie najwyższej wagi.

Sprawie, która może mieć wpływ na całe nasze miasto. Jestem pewien, że ty, będąc jednym z jego strażników, zrozumiesz, iż ja - strażnik tak samo jak ty, muszę dopilnować tego, by informacja ta została dostarczona do adresata, nieprawdaż?

- Rozumiem to doskonale, lecz...

- Nie byle kto może nosić taką szpiczastą zbroję, prawda? - kontynuował Paszenko, zmieniając nagle ton i stukając kłykciami w napierśnik rycerza.

- Takie stanowisko to wielki zaszczyt - odparł zapytany z widoczną dumą.

- Hmm... Tak. Wyobrażam sobie, że hańba, gdy zostanie się zdegradowanym z roli szeregowego strażnika Zimowego Pałacu, będzie równie wielka, chyba się nie mylę?

Kasparowi nie podobały się metody Czekisty, czuł niesmak, ale powiedział sobie, że nie ma dość czasu, by starać się osiągnąć zamierzony cel w bardziej godny sposób. Jeżeli musi zagrozić temu, bez wątplenia dzielnemu, rycerzowi niesławą i pohańbieniem, niech i tak będzie. Każda sekunda, jaką marnowali tu, w Kislevie, oznaczała, że Kajetan oddala się coraz bardziej i umyka przed karzącą ręką sprawiedliwości.

- Panie - zaczął rycerz, uświadamiając sobie powoli, w jak trudnej znalazł się sytuacji.

- I chyba prawdopodobieństwo przyjęcia do jakiegoś innego zakonu rycerskiego byłoby równe zeru z taką skazą na honorze, czyż nie mam racji?

Paszenko zdjął z poły swego płaszcza jakiś paproch, dając tym samym strażnikowi czas, by zdążył spociec się pod swoją zbroją i przemyśleć wszystkie za i przeciw.

Wreszcie rycerz odstąpił na bok i rzekł:

- Czarne drzwi na końcu sali prowadzą do prywatnej komnaty ministra Łosowa, panie.

Paszenko uśmiechnął się i odparł:

- Dziękuję ci w imieniu Kisleva i swoim. Ambasadorze?

Kaspar przemknął obok strażnika, który zdawał się być bardzo przygnębiony.

Otworzył drzwi i pomaszerował szerokim korytarzem o kamiennych ścianach. Podłoga wyłożona była szmaragdowozielonymi dywanami, wyszywanymi złotymi i srebrnymi nićmi, pokrytymi złożonym wzorem pochyłonych spiral. Ściany przyozdabiały portrety poprzedników Łosowa, oprawione w złociste ramy. Wszyscy oni byli ponurymi ludźmi o niewątpliwym autorytecie i poczuciu własnej wartości.

Kaspar poświęcił im niewiele uwagi. Prędko chwycił złotą klamkę osadzoną w czarnych drzwiach i odwróciwszy się do swoich towarzyszy, rzekł:

- Jeśli któryś z was ma jakiegoś haka na Łosowa, albo też wie coś, co mogłoby nam pomóc wydostać od niego informację, chcę, żebyście nie wahali się tego użyć. Cokolwiek to jest, nie dbam o to wcale, ale on musi powiedzieć nam wszystko, czego potrzebujemy.

Paweł pokiwał przytakująco głową, ale się nie odezwał. Krople potu zaczęły spływać po jego czole.

- Jeżeli sądzisz, że to pomoże schwytać Kajetana, zrobię wszystko, co tylko będę mógł

- zapewnił Paszenko.

Kaspar skinął głową w podziękowaniu, a następnie pchnął drzwi do prywatnych komnat Piotra Łosowa. Nie kłopotał się nawet pukaniem.

Doradca Carycy siedział za biurkiem i pisał coś na długim pergaminie dużym, szarym gęsim piórem. Gdy weszli, podniósł głowę i spojrzał z zaskoczeniem na Kaspara, Pawła i Paszenkę. Ubrany był w ceremonialny strój odpowiedni dla osoby na takim stanowisku -

głównego doradcy Carycy Katarzyny. Od razu można było go rozpoznać w szkarłatnych szatach obrębionych złotą nicią i przystrojonych futrem czarnego niedźwiedzia. Sprawiał

wrażenie naprawdę potężnego i wpływowego człowieka.

Jednak ani Kaspar, ani tym bardziej Paszenko nie byli w najmniejszym stopniu onieśmieleni jego pozycją czy wspaniałością stroju.

- Co na Ursuna robicie w moich prywatnych pokojach? - gniewnie warknął Łosow.

Pospiesznie otworzył szufladę i wrzucił do niej pergamin.

- Potrzebuję, żebyś mi coś powiedział - oznajmił bezceremonialnie Kaspar. Paszenko i Paweł stanęli po obu stronach Łosowa.

- Co takiego? To niesłychane, ambasadorze von Velten. Nie mogę tolerować takiego zachowania - rzucił krótko Łosow. - To absolutnie niedopuszczalne złamanie dyplomatycznego protokołu. Wiesz

doskonale, że podania o audiencję u Carycy muszą otrzymać na piśmie.

- My wcale nie przybylim tu, by widzieć się z Carycą - rzekł chrapliwym głosem Paweł.

- No właśnie - dodał z naciskiem Paszenko, stojący po drugiej stronie Łosowa - to z tobą musimy pomówić.

Ale Łosow nie był bynajmniej osobą początkującą w sztuce dyplomacji i nie dał się tak łatwo zbić z pantałyku. Oparł się wygodniej na swoim grubo wyściełanym krześle i rzekł:

- Bardzo dobrze. Zanim każę was odeskortować z pałacu i napiszę oficjalną skargę, dotyczącą naruszenia protokołu, pozwolę sobie was wysłuchać. Czego więc ode mnie chcecie?

- Kajetan - powiedział bez ogródek Kaspar.

- Co z nim? - odrzekł Łosow.

- To on jest Rzeźnikiem - wyjaśnił von Velten. - I muszę się dowiedzieć, gdzie leżą jego rodzinne włości. Jestem przekonany, że Kajetan właśnie w tamtym kierunku teraz ucieka, a na przyjęciu, kiedy zostałem oficjalnie przedstawiony Carycy, powiedziałaś, iż jego rodzina posiada posiadłości w „jednym z najbardziej malowniczych zakątków nad rzeką Tobol”. Wiesz gdzie to jest i powiesz mi to teraz.

Przez długie sekundy Łosow nie odezwał się ani słowem. Wyraźnie rozważał

otrzymane przed chwilą informacje. Wreszcie przemówił:

- Próbujesz mi wmówić, że Sasza Fiodorowicz Kajetan, jeden z najwspanialszych i najpopularniejszych w mieście bohaterów, że ten właśnie wspaniały żołnierz jest Rzeźnikiem?

- Prawda to - wtrącił Paweł. - On jest Rzeźnikiem, z całą pewnością.

Łosow zaniósł się śmiechem.

- Jest to najprawdopodobniej najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałem. A to, że słyszę ją właśnie od ciebie, Korowicz, czyni ją jeszcze bardziej nedorzeczną.

- Jesteś zmiją, Łosow - wycedził przez zęby Paweł. - I ty, i ja dobrze wiemy...

- Co wiemy? - szydził doradca Carycy. - Nie ma już nic, co mógłbyś mi powiedzieć, a co miałyby dla mnie jakiegokolwiek znaczenie, Korowicz. Swoją przeszłość pozostawiłem już za sobą, ale nie wiem, jak tam z tym u ciebie?

Paweł zagryzł usta.

- Niech cię Ursun pokarze, Łosow.

- Odejdź - rzucił niedbale Łosow, odprawiając Pawła krótkim gestem. Pochylił się do przodu i oparł splecione ręce na kosztownym biurku doskonałej roboty, przywiezionym tu bez wątpienia z Imperium.

- Ambasadorze. To, że oskarżasz jednego z najwspanialszych wojów z Kisleva o tak brutalne przestępstwa, jest afrontem wobec całego mojego narodu. Będę ci niezwykle wdzięczny, jeśli nie będziesz tych oszczerstw więcej powtarzał.

Kaspar pochylił się nad biurkiem, ręce oparł pewnie przed Łosowem.

- Herr Łosow, zostało dowiedzione bez żadnej wątpliwości, że Sasza Kajetan i Rzeźnik to jedna i ta sama osoba. Odnaleźliśmy jego kryjówkę i mamy świadka jego brutalnych czynów. Czego ci jeszcze potrzeba, by uwierzyć?

- I ty widziałeś to wszystko, Paszenko? - zapytał doradca Carycy.

- W rzeczy samej, panie ministrze - przytaknął Czekaista. - Strych, na którym przetrzymywana była madame Walencik, był zdecydowanie... odrażającym miejscem. Jestem w pełni świadom reputacji, jaką posiada Kajetan pomiędzy prostymi ludźmi, ale muszę przyznać, że wszystko wskazuje, iż to rzeczywiście on jest sprawcą tych zbrodni. Powinieneś zdradzić ambasadorowi von Veltenowi informacje, o które prosi, a wtedy natychmiast wyruszymy w pościg.

- To śmieszne - powtórzył drwiąco Łosow - Nie będę więcej słuchał tych kalumnii i ohydnych insynuacji.

- Kalumnii? - warknął Kaspar. - Kajetan zabił mojego najstarszego towarzysza i torturował inną drogą mi osobę. Przetrzymywał ją, głodził, pobił prawie na śmierć. Na litość Sigmara - on odciął jej nawet kciuk! Nie będę stał beczynnym i przyglądał się, jak jakiś biurokratyczny bękart pozwala mu uciec w spokoju. A teraz powiedz mi, gdzie leżą te przeklęte włości!

Łosow zaczerpnął głęboko powietrza. Pomimo gwałtownego wybuchu gniewu von Veltena on zdawał się być zupełnie spokojny.

- Nie uczynię niczego takiego, ambasadorze von Velten, więc jeśli byłbyś tak dobry i opuścił teraz mój gabinet, byłbym bardzo wdzięczny. Jestem niezwykle zajęтым człowiekiem i mam dziś jeszcze sporo pracy przed sobą.

Kaspar zaczerpnął tchu i miał już ponownie wybuchnąć gniewem, ale Paszenko schwycił go za rękę i pokręcił przecząco głową. Kaspar odwrócił się i zobaczył przed sobą siedmiu rycerzy z gwardii pałacowej zakutych w spiszowe zbroje. Wszyscy mieli opuszczone przyłbice i trzymali w dłoniach miecze. Był tak wściekły i zaciętrzewiony, że nawet nie zauważył, kiedy pojawili się w komnacie.

Łosow uśmiechnął się, a trzeba przyznać, że był to ohydny, gadzi uśmiech.

- Ci rycerze wskażą ci wyjście z pałacu, ambasadorze von Velten. Życzę miłego dnia.

Paweł pociągnął kolejny, długi łyk kvasu i spojrzął do góry na oświetlony księżycowym światłem budynek zamtuza, należącego do Czekatila. Rozpacz ogarniała go niczym zimno - powoli wdzierające się do środka, przenikające do szpiku kości z każdą mijającą sekundą. Wina spoczywająca na jego barkach, wzrastająca gdzieś w jego wnętrzu każdego dnia tych długich sześciu lat wreszcie stała się zbyt ciężka do udźwignięcia. Dlatego tu był, z powrotem w miejscu, gdzie jego degeneracja i upadek się rozpoczęły.

Kiedy wcześniej tego samego dnia starł się z Łosowem, dłonie miał mokre od potu a serce waliło mu w piersi jak oszalałe. Wiedział dokładnie, co powinien powiedzieć doradcy Carycy. Wiedział, jak może bez trudu wydobyć od niego cenną informację, której potrzebował tak desperacko Kaspar von Velten. Ale w krytycznym momencie, kiedy na szali położona została jego odwaga, nie powiedział nic. Zupełnie się rozsypał. Hańba płonęła niczym ogień w piersi, ale nie zdołałby kolejny raz zawieść Kaspara, nie po tym wszystkim, co ambasador Imperium dla niego zrobił - teraz i kiedyś.

Uniósł do ust bukłak z kwasem i kiedy poczuł kwaśny, mleczny odór, odrzucił go na bok z niesmakiem. To właśnie picie przywiodło go do tej hańby i wstydu. Poczuł, jak jego ciałem wstrząsa fala niechęci i nienawiści do siebie samego.

Paweł zdawał sobie sprawę, że nie ma sensu przeciągać tego dłużej i zdecydowanym pchnięciem otworzył drzwi zamtuza. Wszedł i zaczerpnął głęboki haust powietrza, wdychając piżmowy zapach kadzideł i smród potu.

Skinął głową w stronę kilku znajomych twarzy i utorował sobie drogę do prostego, podpartego na krzyżakach baru. Musiał przejść przez wyuzdany, zapamiętały w zaspokajaniu cielesnych rozkoszy tłum. Usiadł i rzucił na brudne deski kilka miedzianych kopiejek. Po chwili przyjął drewniany kufel wypełniony piwem. Było zastale i bez wątplenia chrzczone, ale i tak się go napił. Czekał. Za każdym razem, gdy jakaś dziwka próbowała go obedrzeć z pieniędzy, oferując swoje ciało, próbując niezdarnie i bez gracji być uwodzicielską, konsekwentnie odmawiał. Zauważył dziewczynę, którą widzieli podczas ostatniej wizyty, tańczącą w pokoju Czekatila. Dostarczała właśnie rozkoszy jakiemuś tłuściochowi, który, Paweł mógłby przysiąc, był pijany do nieprzytomności. Drętwo i mechanicznie wykonywała czynności, za które otrzymała zapłatę. Ten głupiec obudzi się na ulicy, nie pamiętając co się tu wydarzyło i z zupełnie pustą sakiewką. Paweł był gotów się o to założyć. Zbyt długo pracował w tym miejscu jako ochroniarz by nie wiedzieć takich rzeczy.

Nie musiał czekać długo. Stwardniała, nawykła do miecza ręka klepnęła go w ramię.

- Witaj, Rejak - rzucił Paweł, nawet się nie odwracając.

- Paweł - odparł mężczyzna. - On chce się z tobą widzieć.

Rejak nie musiał mówić, kim jest ten "on". Paweł skinął głową i wstał ze stołka.

Obrócił się do zabójcy o zimnych, bezlitosnych oczach.

- To dobrze, bo ja też chcę się z nim zobaczyć.

- Po co tu przyszedłeś, Paweł?

- To sprawa pomiędzy mną i Czekatilem.

- Nie, jeśli naprawdę chcesz się z nim zobaczyć.

- Chcę go poprosić o przysługę.

Rejak wybuchnął śmiechem. Cienkim i nosowym, przypominającym trochę kwik osła.

- Zawsze miałeś wspaniałe poczucie humoru, Paweł. To chyba jedyny powód, dla którego pozwolił ci jeszcze żyć.

- Masz zamiar mnie do niego zaprowadzić czy nie? Czy też może masz zamiar pierdzieć tak w moją stronę przez całą noc?

Pokryta bliznami twarz zabójcy wykrzywiła się i Paweł ujrzał malującą się na niej morderczą nienawiść. Potem Rejak rozciągnął swoje wąskie usta w bladym uśmiechu.

- Tak jak mówiłem, doskonałe poczucie humoru - zachichotał jeszcze raz i pomaszerował ku tym samym drzwiom, przez które przeszli kilka dni wcześniej Kaspar, Paweł i Kurt Bremen.

Paweł ruszył za nim. Ledwo zdawał sobie sprawę ze złowieszczych konsekwencji tego, co zamierzał właśnie uczynić. Oblał już dziś jeden test odwagi i nie miał zamiaru zaprzepaścić kolejnego.

Zastał Czekatila zajętego jedzeniem, pochylonego nad talerzem pełnym parującego mięsa i gotowanych ziemniaków. Choć całe miasto prawie głodowało, Czekatilo jadał

całkiem dobrze. Upił odrobinę wina z drewnianej czary i nawet nie uniósł wzroku, by spojrzeć na Pawła, gdy Rejak wprowadził go do komnaty.

Zabójca stanął za swoim panem, założył ręce na piersiach i najwyraźniej napawał się widocznym zakłopotaniem Korowicza.

Czekatilo skinął ręką, by Paweł usiadł przy stole naprzeciwko niego. Nawet nie podniósł głowy.

- Wina?

- Nie, dziękuję - odpowiedział Paweł. Zapach gotowanego mięsa sprawił, że usta wypełniła mu ślina.

- Paweł Korowicz odmawiający napitku? Czyżby Pustkowie Chaosu zamarzły?

- Nie. Po prostu nie chcę pić. Wypiłem już zbyt wiele do tej pory.

- Prawda - zgodził się Czekatilo, wybierając z talerza resztki sosu za pomocą kawałka ciemnego chleba i dopijając wino. Nalał sobie kolejną czarę i odsunął się od stołu, podczas gdy zza pleców

Pawła wyszła dziewczyna, by zabrać nakrycie.

- A teraz może wyjawisz, co sprowadza do mnie Pawła Korowicza o tak później porze? - zapytał Czekatilo.

- Mówił, że chce prosić o przysługę - wtrącił Rejak.

- Rzeczywiście tak mówił? - zaśmiał się Czekatilo. - A dlaczego on ma takie dziwne przeświadczenie, że ja wyświadczam przysługi? Jak myślisz, Rejak?

Rejak wzruszył ramionami.

- A czy ja wiem? Być może coś mu się w głowie poprzestawiało.

- Czy to właśnie to, Paweł? - zapytał drwiąco, zwracając się do Korowicza - Coś ci się poprzestawiało?

- Nie - odrzekł Paweł, zmęczony już przedstawieniem, jakie robił sobie Czekatilo.

- Bardzo dobrze. Powiedz więc, z czym właściwie do mnie przychodzisz, zanim powiem „nie”.

- Odzyskaliśmy Sofię Walencik, znaleźliśmy ją dziś, wcześniej. Była przetrzymywana przez Saszę Kajetana. To on jest Rzeźnikiem.

- Wiem już to wszystko. Czekiści przewracają miasto na nice, starając się go znaleźć.

Powiedz mi, co to ma wspólnego z moją skromną osobą?

- Teraz, kiedy mamy już Sofię, ambasador von Velten nie jest ci nic dłużny -

kontynuował Paweł, nienawidząc się za to, co miał właśnie powiedzieć, ale nie mógł się już wycofać. - Ja mogę sprawić, że znów będzie ci coś winien.

Mimo że Czekatilo starał się to ukryć, Paweł zauważył błysk zainteresowania w jego oczach.

- Mów dalej.

- Ambasador desperacko pragnie odnaleźć Kajetana. Chce, by morderca zapłacił za swoje zbrodnie, ale nie potrafi go odszukać. Myśli, że Kajetan powrócił do swoich rodzinnych włości. Piotr Łosow wie, gdzie to jest, Kaspar zdaje sobie z tego sprawę, ale minister nie chce mu tego zdradzić. Ale wiesz, jak to jest. Ty możesz nacisnąć na Łosowa, my takiej możliwości nie mamy.

- Ach, Łosow, nikczemny kawałek ludzkiego śmiecia, jeśli mam być szczery. Jestem zaskoczony, że nie użyłeś wiedzy, którą na jego temat posiadasz, by zmusić go do wyjawienia ambasadorowi tego sekretu.

- Ja... Ja bardzo chciałem, ale...

Czekatilo zarechotał.

- Ale nie odważyłeś się, wiedząc, że Łosow ma jeszcze więcej do powiedzenia na twój temat, czy tak?

Paweł pokiwał głową bez słowa.

- Powiedz mi, Pawle, czy sądzisz, że twój przyjaciel ambasador byłby zadowolony słysząc, iż to właśnie minister Łosow był człowiekiem, który zapłacił za śmierć męża Anastazji Wilkowej? Albo że minister Łosow jest znany ze swej słabości do małych dzieci?

- Jeżeli to by mu pomogło w odnalezieniu Kajetana, to pewnie byłby zadowolony -

odpowiedział wymijająco Paweł.

- Tak, z pewnością byłby zadowolony - Czekatilo wyszczerzył zęby w uśmiechu - ale czy dobry humor nie opuściłby go, gdyby usłyszał, że to jego stary przyjaciel, Paweł

Korowicz, rozchlapał mózg męża madame Wilkowej po bruku jakieś sześć lat temu? Niecałe sto kroków od miejsca, gdzie teraz jesteśmy?

Paweł nie odpowiedział. Poczucie winy za to, co zrobił w służbie Czekatila, znów zalało go z całą mocą. Bandyta zaniósł się śmiechem widząc milczenie Pawła i pochylił się do przodu.

- Wiesz, że pozwoliłem ci żyć tylko dlatego, że miałem dług u twojego wuja Drostii, prawda? Jesteś pijakiem, złodziejem, mordercą i kłamcą, Pawle Korowicz. To, że obracasz się teraz w towarzystwie ambasadora Imperium, nie zmienia stanu rzeczy.

Paweł przytaknął. Łzy hańby płynęły mu w dół po policzkach.

- Wiem to.

Czekatilo wyprostował się i wyciągnął długie cygaro zza poły swego futrzanego płaszcza. Rejak przypalił je wyciągniętym z ognia knotem i masywny Kislevczyk zaciągnął

się głęboko wstrętnie śmierdzącym, niebieskawym dymem.

- Jeżeli wyświadczę ci tę przysługę, ambasador będzie miał u mnie dług?

- Tak.

- Czemu?

- Sam przyznałeś, że to człowiek honoru i jeżeli znajdziesz coś, co będzie mogło mu pomóc, na pewno nie pozostawi tego bez zapłaty - odparł Paweł, nerwowo skręcając i gniotąc swoje palce.

Czekatilo zastanowił się nad tym przez chwilę. Raz jeszcze zaciągnął się cygarem.

- No dobrze. Zobaczą, co da się zrobić w tej sprawie - odezwał się wreszcie. - Ale zdajesz sobie sprawę, że nie tylko ambasador będzie mi coś winny, gdy to zrobię?

- Tak - odparł przygnębiony Paweł. - Zdaję sobie z tego sprawę.

ROZDZIAŁ 10

I

W nocy okolice szpitala Lubjanko były miejscem, którego należało unikać. Wycie lunatyków i umierających dobiegające zza grubych murów wypełniało powietrze istną kakofonią nieartykułowanych dźwięków. Zdawało się, iż samo przebywanie w pobliżu budynku może zaowocować zarażeniem się ich szaleństwem lub chorobami. W związku z tym miejsca tego unikano, dookoła gmachu o zwieńczonych kolcami ścianach stały opuszczone budynki, a ulice były zupełnie wyludnione. Nawet teraz, gdy tak wielu ludzi desperacko szukało jakiegoś schronienia i ciepła.

Nawet przestępcy, którzy Woleli unikać uwagi innych ludzi, rzadko zapuszczali się w odpowiadające głuchym echem, puste uliczki dookoła Lubjanki. Tylko ci, którzy mieli do załatwienia jakieś najciemniejsze interesy, odważali się zapuszczać w wypełnione niepokojącymi cieniami zaułki dookoła szpitala, ale i oni starali się załatwić swoje sprawy bardzo szybko i nie zwlekali bez potrzeby.

Jedna z takich właśnie osób odważyła się zakraść w pobliże Lubjanki. Pokonywała cicho wąską alejkę biegnącą wzdłuż tylnej ściany szpitala, przemknęła obok otwartych wierzei prowadzących do środka. Jakiś zakapturzony mężczyzna wkładał okręcone w szmaty zawiniątka na wóz o wysokich burtach. Pomimo chłodu pocił się cały, gdy podnosił każdy kolejny tłumok. Umieścił na wozie sześć zawiniątek, potem obszedł go dookoła, chwycił

brzeg ławki i już chciał wspiąć się na górę.

- Wciąż przychodzisz po swoje maleńkie pięknotki, Piotrze? - z cienia wynurzyła się postać olbrzymiego mężczyzny. To właśnie on wypowiedział te słowa.

Wasilij Czekatilo od niechcienia zbliżył się do wozu, rozglądając się jednocześnie z taką miną, jakby był właśnie na przyjemnym spacerze w swoim ulubionym parku, a nie w cieniu jednego z najbardziej przerażających budynków w całym Kislevie. Podążał tuż za nim Rejak - zabójca i ochroniarz w jednej osobie. Rękę miał zaciśniętą na rękojeści miecza.

Mężczyzna stojący obok wozu odwrócił się i odrzucił do tyłu kaptur.

- Czego chcesz, Czekatilo? - rzucił z rozdrażnieniem Piotr Łosow.

Król kislevskiego świątka przestępczego okrążył wóz i podniósł połę materiału z jednego leżącego na wozie zawiniątka. W tobołku znajdowała się mała dziewczynka, może pięcioletnia, związana sznurkiem. Oczy miała rozbiegane, nie mogła skupić wzroku. Na pierwszy rzut oka było jasne, że podano jej jakiś narkotyk.

- Sliczna - zauważył Czekatilo.

Rejak zachichotał.

Łosow zmarszczył brwi i przepchnął się obok tłustego olbrzyma. Przykrył leżący na wozie ładunek nawoskowanym płótnem. Pomimo tego, że był o wiele niższy i drobniejszy niż Czekatilo, nie okazywał strachu. Powtórzył stanowczo:

- Pytałem, czego chcesz?

- No dobrze, skoro, jak widzę, nie jesteś najwyraźniej w nastroju na przyjacielską pogawędkę...

- Nie jesteśmy przyjaciółmi, Czekatilo. Myślałem, że doskonale to rozumiesz.

- Twoje słowa ranią mnie niezmiernie, Piotrze. Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłem...

- A za co zapłaciłem ci sownie - zauważył Łosow.

- To prawda - przytaknął przestępca. - Ale pozostaje jeszcze sprawa człowieka, który dla mnie pracował. Tego, któremu odstrzeliłeś głowę. Jak on się nazywał, Rejak?

- Sorka - podpowiedział zabójca.

- Właśnie, Sorka. Nie był co prawda niczym więcej niż tylko pionkiem, niezbyt ważnym w mojej organizacji, ale tak czy inaczej pracował dla mnie.

- Nigdy o nim nie słyszałem - warknął Łosow.

- No tak, nie rzucał się w oczy, ciężko go zapamiętać, ale był to ten sam człowiek, który dostarczył ci niezwykle niebezpieczną i kosztowną przesyłkę - kawał spaczenia.

Łosow cofnął się, jakby ktoś wymierzył mu siarczysty policzek.

- Czekatilo, do cholery. Nie płaciłem ci, żebyś zaglądał do tej szkatuły.

- Wiem, ale nie mogłem się powstrzymać i kazałem komuś sprawdzić, co jest w środku. Byłoby ogromnym zaniedbaniem, gdybym nie wiedział, co właściwie szmugluję dla ciebie do miasta. Czyż nie mam racji?

- No dobrze, czego ode mnie chcesz?

- Domyślam się, że wiesz, iż to Sasza Kajetan, który właśnie uciekł z miasta, jest osławionym Rzeźnikiem?

- Oczywiście - odparował Łosow - Nie jestem przecież idiotą.

- Wiesz, gdzie znajdują się jego rodzinne włości, a ja również chcę się tego dowiedzieć.

- Co takiego? - zarechotał Łosow. - Jesteś teraz na sznurku von Veltena? To on cię tu przysłał? Musi być rzeczywiście zdesperowany, jeżeli to właśnie ciebie wysła, byś odwalił

za niego całą brudną robotę.

- Nie, to nie von Velten mnie tu przysłał, ale tak naprawdę nie ma to żadnego znaczenia. Powiesz mi to, co chcę wiedzieć, albo sprawię, że równi tobie dowiedzą się o twoich zabawach czarną magią. Będą też pewnie zainteresowani twoją niezwykłą sympatią do dzieci i tym, że jesteś mordercą, który dla zysku nie cofnie się przed niczym.

- Nie przestraszysz mnie, Czekatilo - zadrwił Łosow, choć w jego głosie można było wyczuć lekką obawę. - Kto przy zdrowych zmysłach uwierzyłby tłustemu bękartowi o podłym pochodzeniu, czyli, krótko mówiąc, tobie?

- Wiesz równie dobrze jak ja, że bynajmniej nie o wiarę tu chodzi. Takie rzeczy, gdy raz ujrzą światło dzienne, ciągną się za człowiekiem niczym smród, nie mam racji? Czy ktoś o twojej pozycji może sobie pozwolić, by choćby sugestia tak ohydnych czynów była kojarzona z jego osobą?

Łosow zagryzł dolną wargę i odpowiedział:

- No dobrze, nie ma to zbyt dużego znaczenia, a im prędzej on będzie martwy, tym lepiej. Spodziewaj się wieści ode mnie o pierwszym brzasku. Przyślę ci to, czego tak bardzo pragniesz.

- Mądra decyzja, ministrze Łosow - skwitował Czekatilo, klepiąc lekko burtę wozu. -

Życzę udanego i rozkosznego wieczoru.

II

Świt przyniósł ze sobą świeży śnieg, ale Kaspar nie dbał o to pogorszenie pogody.

Siedział u wezglowia łóżka Sofii i nalewał dla niej gorący napar z leczniczych ziół. Podniosła się z grymasem bólu na twarzy i przyjęła delikatną filiżankę. Zanim wzięła pierwszy łyk, podmuchała przez chwilę na parujący płyn. Skrzywiła się, gdy gorący napar sparzył jej popękane usta.

- Może powinnaś chwilę poczekać, żeby ostygło? - zasugerował Kaspar.

- Nie, ten napar jest najskuteczniejszy, kiedy pije się go na gorąco - odparł Sofia z uśmiechem na ustach. - To pierwsza rzecz, jakiej nauczyłam się od ojca.

- On też był lekarzem?

- Nie. Był nauczycielem w szkole w Erengradzie. Całkiem niezłym nauczycielem. To moja matka była lekarzem w naszej rodzinie. Zostałam jej pomocnicą, gdy tylko skończyłam szkołę, a potem posłała mnie do Altdorfu, do Imperialnej Szkoły Medycznej, bym tam dokończyła naukę.

Kaspar pokiwał głową ze zrozumieniem. Cieszył się niezmiernie, że odzyskał Sofię, i że wyszła z

tego bez dużego uszczerbku na zdrowiu. Gdy tylko ta myśl powstała mu w głowie, jego wzrok odruchowo powędrował ku obandażowanej dłoni kobiety. Sofia zauważyła to spojrzenie.

- Wiem, co sobie myślisz, Kaspar, ale chcę, byś mi obiecał, że nie zabijesz Saszy, gdy tylko go dopadniesz.

- Nie wiem, czy będę potrafił się powstrzymać. Nie po tym, co ci zrobił - przyznał

Kaspar ucziwie.

- No właśnie. On zrobił to mi, a nie tobie. Zabicie go nie odwróci tego, co się stało, nic już tego nie odwróci.

- Więc co? Powinniśmy pozwolić, by to wszystko uszło mu na sucho? - zapytał z powątpiewaniem ambasador.

- Nie, oczywiście że nie. Ale nie chcę, by w moim imieniu ktoś został zamordowany.

Jestem lekarzem, Kasparze, całkiem niezłym lekarzem i moim zadaniem jest ratować życie, a nie je odbierać. Nie chcę mieć nic wspólnego ze śmiercią Kajetana, nie w taki sposób. Jeżeli on jeszcze żyje i dasz radę go schwytać, powinien stanąć przed sądem i mieć uczciwy proces przeprowadzony przez uprawnione do tego władze. Jeżeli oznacza to, że wywinie się od szubienicy, niech i tak będzie, wcale się tym nie zajmuję. Przynajmniej będzie to sprawiedliwy wyrok, a nie morderstwo.

Kaspar poczuł ogromny podziw dla Sofii. Niewielu było ludzi, którzy potrafiliby powściągnąć nienawiść w stosunku do kogoś, kto uczynił im takie okrutne krzywdy. Sam nie umiałby się na coś takiego zdobyć. Nie w stosunku do człowieka, który zawiódł i skrzywdził

go tak bardzo.

- Wiesz, że jesteś wspaniałą kobietą, Sofio? - Kaspar wyciągnął rękę, by pogłaskać ją po głowie. Kiedy palce dotknęły włosów, cofnęła się i przez całe jej ciało przeszedł dreszcz.

Filizanka z naparem wyslizgnęła się z jej dłoni i roztrzaskała na podłodze. Oczy Sofii wypełniły się łzami.

- Przepraszam - szybko powiedział Kaspar, kiedy nerwowo podciągnęła do siebie kolana. Była przerażona.

Sofia potrząsnęła głową i zaniósła się szlochem.

- Nie, to po prostu...

Kaspar pochylił się i Sofia rzuciła się w jego ramiona. Zanosila się płaczem, cały horror długotrwałego uwięzienia, skrywany dotąd za ścianą determinacji i żelaznej woli życia, przełamał wreszcie wszelkie tamy.

- Już dobrze - wyszeptał von Velten, zdając sobie sprawę, że jego słowa były niezręczne i nie na miejscu. Tak bardzo chciałby wiedzieć, co powinien teraz zrobić, by odegnąć te koszmarne, tkwiące wciąż w jej głowie wspomnienia. Teraz jednak potrafił tylko mocno trzymać ją w ramionach i powtarzać:

- Już w porządku, wszystko będzie już dobrze, obiecuję.

Siedzieli tak prawie przez godzinę. Kaspar tulił roztrzęsioną Sofię i delikatnie kołysał, a jej szloch uspokajał się powoli. Ona również trzymała go mocno w uścisku, aż wreszcie rozwarła ramiona i opadła z powrotem na łóżko. Obróciła głowę i nie patrzyła w jego stronę.

- Nigdy ci nie podziękowałam - odezwała się wreszcie.

- Nie musisz mi dziękować, Sofio. Nigdy bym cię nie opuścił w potrzebie.

Wiedziałem, że wciąż gdzieś tu jesteś.

Obróciła wreszcie swoją zapłakaną, mokrą od łez twarz w jego stronę i uśmiechnęła się słabo. Ujęła jego dłoń.

- Wiem to - powiedziała. - Wiedziałam, że mnie nie opuścisz. Nie mam pojęcia dlaczego, ale wiedziałam.

- Jestem po prostu szczęśliwy, że odzyskaliśmy cię w całości.

- Wspaniale jest tu wrócić. Nie sądziłam, że kiedykolwiek uda mi się wydostać z tamtego miejsca.

Kaspar czuł szybkie łomotanie pulsu Sofii. Nienawidził się za to, że musi zadać pytanie o wydarzenia, które rozegrały się na tym strychu. Wiedział jednak, że każdy skrawek informacji może okazać się kluczowy dla schwytania Kajetana.

- Nie musisz mi odpowiadać na to pytanie - zaczął - ale jak sądzisz, dlaczego...

Dlaczego Kajetan trzymał cię w tamtym miejscu i nie... No wiesz...

- Nie zabił mnie? Z jakichś niezrozumiałych przyczyn uznał, że jestem jego matką. To właśnie był powód wszystkiego, co robił. Widziałam, a raczej czułam... jeszcze coś innego.

- Co czułaś? Był tam ktoś jeszcze oprócz was?

- Nie. To było jak... jak magia, tak mi się wydaje - Sofia stawała się z każdym słowem coraz bardziej ożywiona. - Wyglądało to tak, jakby ktoś albo coś używało czarnej magii, by do niego przemawiać, by nim manipulować. Sądzę, że jest to kolejny powód, by nie zabijać go na miejscu. Ktoś wprowadził Saszę na tę drogę. Jeżeli od razu rzucisz się na niego z mieczem, nigdy nie dowiemy się, kto za tym stoi.

- W porządku - powiedział Kaspar, kładąc prawą dłoń na sercu. - Obiecuję, że nie pozwolę zabić

Kajetana, choć on sam może postanowić nie dać się wziąć żywcem.

- Wiem to, Kasparze, ale przynajmniej spróbuj. Bardzo proszę.

- Zrobię wszystko, co tylko w mojej mocy, by tak się właśnie stało - obiecał, zauważywszy rycerza, który pojawił się w drzwiach i dyskretnymi gestami próbował zwrócić na siebie uwagę. Pochylił się do przodu i pocałował Sofię w policzek. - Teraz trochę odpocznij. Wkrótce przyjdę znów się z tobą zobaczyć.

Uśmiechnęła się i pokiwała głową. Oczy same jej się zamykały ze zmęczenia.

- Mam nadzieję.

Von Velten obciągnął tunikę i podążył za rycerzem w dół, do głównego westybulu ambasady.

- Na zewnątrz czeka człowiek, który twierdzi, że ma przeznaczoną dla ciebie informację, ambasadorze - odezwał się rycerz, kiedy schodzili po schodach.

- Kto to jest?

- Nie znam go, panie. Nie podał nam swojego nazwiska ani imienia i dlatego nie pozwoliliśmy mu przejść przez bramę. Wygląda jednak ponad wszelką wątpliwość na typa spod ciemnej gwiazdy.

- A kto tu na takiego nie wygląda? - mruknął Kaspar i otworzył frontowe drzwi. Śnieg zawirował i wdarł się do środka. Rycerz podał mu futrzany płaszcz, ale zanim von Velten zdążył go przywdziać, jego ciało przeniknął aż do kości przeraźliwy mróz. Pomaszerował po roztopionej brei - wcześniej tego ranka ścieżka wiodąca do ambasady musiała zostać odśnieżona i wysypana solą.

Mężczyzna odziany w zwierzęce futra dreptał dookoła zamrożonej fontanny stojącej przed ambasadą. Twarz miał ukrytą pod grubym, wełnianym szalem, głowę osłoniętą obszernym kapturem płaszcza.

Jeszcze zanim przybysz odrzucił kaptur do tyłu, Kaspar rozpoznał groźną posturę zabójcy na usługach Czekatila - Rejka. Kislevczyk wyszczerzył zęby w uśmiechu i zbliżył się do bramy. Rycerze stojący na straży podnieśli broń.

- W porządku, znam tego człowieka - uspokoił ich von Velten.

- Ambasadorze - Rejak zgiął się w drwiącej parodii ukłonu.

- Czego chcesz? Odnaleźliśmy już Sofię, obyło się bez pomocy twego pana - warknął

Kaspar. - Jeśli przybyłeś tu, by uzyskać ode mnie jakąś przysługę, to tylko straciłeś czas.

- Wiemy, że odzyskałeś już kobietę, ale Czekatilo wciąż może ci pomóc - Rejak wyciągnął spod płaszcza skórzaną tubę na zwoje i wsunął ją przez kraty bramy. Kaspar zaczął

ściągać zatyczkę.

- Co to jest? - zapytał nieufnie.

- To, czego tak bardzo potrzebujesz - odparł zabójca, kocim krokiem oddalając się przez śnieg - Pamiętaj tylko, kto ci to dostarczył.

Von Velten wyciągnął ze środka zwinięty kawał obszarpanego pergaminu. Oddał tubę jednemu z rycerzy i rozwinął rulon.

To była mapa, mapa Kisleva i Kaspar zastanawiał się, czemu właściwie Czekatilo sądził, że może mu się ona do czegoś przydać. Było tam samo miasto Kislev, podpisane zdobionymi, miedziorytnicznymi literami, na północy znajdowało się Praag, miasto straconych dusz, a na zachodzie port Erengard.

Znaczenie tej mapy było dla niego zupełnie niejasne, dopóki nie zauważył, że niektóre miejsca były zaznaczone jako włości przeróżnych kislevskich bojarów. Po chwili poszukiwania zobaczył swój cel, jakieś dwieście kilometrów na północ od Kisleva, gdzie spotykały się dwie rzeki zasilające Tobol. Tam właśnie, wypisane małymi, precyzyjnymi literami widniały trzy słowa, które sprawiły, że jego serce zaczęło bić szybciej.

Bojar Fiodor Kajetan.

Kaspar obrócił się na pięcie i krzyknął:

- Siodłać konie!

III

- Czekatilo za dużo wie - stwierdził Piotr Łosow, nerwowo drepcząc w kółko w ciemnym wnętrzu opuszczonego budynku. - Powinniśmy byli kazać Kajetanowi go zabić, gdy jeszcze mieliśmy taką możliwość.

- A co on tak naprawdę wie? - odezwała się kpiąco postać zakutana w długie, mieniące się tęczowo, ciemne szaty, które zdawały się wchłaniać nawet tę odrobinę światła, wpadającą do pomieszczenia przez zabite deskami okno. Głos był niezwykle uwodzicielski i przejmujący.

- To, że szmugluje do Kisleva spacje? Jakoś nie sądzę, że będzie chciał podzielić się z kimś tą informacją. Jest na to za bystry. A zresztą, kiedy tylko przedstawiciel szcurzych klanów przybędzie do Kisleva, spacje zniknie. Nie musimy się tym martwić.

- Nie musimy - przytaknął Łosow. - Ale ta wiedza czyni go potencjalnie niebezpiecznym. Może powiedzieć wszystko ambasadorowi.

- Ambasador również nie jest problemem, mój drogi Piotrze. On już staje się pionkiem Tchara. Pozwól mi zająć się Czekatilem. Kiedy armia Wielkiego Zara zdobędzie głązy Urszebja i przybędzie, by zmieść Kislev z powierzchni ziemi, zadbam o to, by umarł

najgorszą z możliwych śmierci w straszliwych mękach.

- Musiałem przekazać Czekatilo informacje o włościach rodziny Saszy - przyznał się Łosow - a on z pewnością da je ambasadorowi.

- Wiem o tym. Ambasador i jego woje wyjechali dziś wcześniej rano, by wytropić Saszę - zauważyła tajemnicza osoba.

- Cholera - zaklął Łosow. - Nie powinni go schwytać.

- Nie przejmuj się, Piotrze - łagodny głos uspokoił doradcę. Postać w ciemnych szatach dobyła długiego i ostrego noża.

- Sasza dobrze wypełnił swoją rolę i nie był nam już dłużej potrzebny. Zbyt głęboko zanurzył się w szaleństwo i trudno było go kontrolować. A ta kurwa Walencik okazała się sprytniejsza niż mi się wydawało.

- Jeżeli Sasza jeszcze żyje, musimy mieć nadzieję, że von Velten go zabije.

- Nie obawiaj się, Piotrze. Ambasador to człowiek zacięły i nieustępliwy, a pomimo iż Sasza jest tak daleko ode mnie, wciąż potrafię wpływać na postępowanie mojego uroczego księcia. Nieznacznie wprawdzie, ale jednak. Tak więc, albo to Kaspar zabije Kajetana, albo Kajetan Kaspara. Nie ma to właściwie żadnego znaczenia.

Łosow patrzył, jak postać pochyła się i odwija jedno z zawiniątek, które przywiózł ze szpitala Lubjanko. W wypolerowanym ostrzu noża odbiła się różowa skóra dziecka.

- Te są wspaniałe, Piotrze. Czyste i niewinne. Nadadzą się znakomicie.

IV

Koń potknął się. Jego ruchy były powolne i niezgrabne. Sasza Kajetan wiedział, że wierzchowiec nie pożyje już długo. Mróz i brak paszy zabiją go, nim zdołają dotrzeć do celu.

Ale i tak dotarli razem o wiele dalej niż się spodziewał i Kajetan podziwiał wytrzymałość zwierzęcia.

Dookoła wirował oślepiający śnieg, ale on bezbłędnie kierował idącego ostatkiem sił

konia przez śnieżycę, wplątawszy w grzywę zdrętwiałe od zimna palce. Kajetan jechał już od jakichś trzech czy czterech dni. Razem z wierzchowcem kryli się przed uderzeniami wiatru w skalnych usypiskach, okrywał siebie i zwierzę futrami, które udało mu się ukraść, zanim jeszcze uciekł z miasta i tak właśnie odpoczywali. Dzięki łukowi zdobywał jedzenie, pragnienie gasił jedząc śnieg.

Im bardziej oddalał się od Kisleva, tym jaśniejsze stawały się jego myśli. Bolesne łomotanie prawdziwego ja wewnątrz czaszki powoli słabło i słabło, aż wreszcie odkrył, że może zupełnie zignorować ten głos. Monotonny krok konia i wypełniony bielą, niekończący się krajobraz

rozpościerający się przed oczami wpędził go w stan podobny do transu. Jego umysł uwolnił się od wszelkich myśli.

Stracił rachubę czasu i przebytej odległości, zahipnotyzowany odrętwiającym zimnem i ponurym krajobrazem. Czuł, że umysł odlatuje gdzieś, cofa się przez te wszystkie lata do momentu, kiedy zabił swojego ojca.

Prawda o tym, co zrobił swemu ojcu w ciemnym lesie, zagięła i straciła znaczenie gdzieś w ferworze walki, którą rozpętali bojarzy, by przejąć jego ziemię. Ludzie, którzy niegdyś pili z jego ojcem gorzałkę, ciskali szklanice na podłogę, wypełniali sale wojennymi pieśniami i obiecywali sobie wieczne braterstwo, zaczęli walczyć między sobą. Wszyscy chcieli objąć we władanie włości bojara Kajetana i jego siedzibę.

On i jego matka przechodzili od jednego bojara do drugiego, gdy ci walczyli, aby zdobyć ziemię. Żaden z nich nie chciał żony i syna innego mężczyzny, ale wiedzieli też, że jakakolwiek wyrządzona im krzywda wywoła natychmiastową reakcję ze strony pozostałych bojarów. Taki stan rzeczy trwał przez trzy długie lata, do momentu, kiedy jego matka zapadła na ciężką gorączkę i pomimo stosowania najmocniejszych leków od lokalnych akuserek umarła pewnego pięknego, wiosennego poranka.

Cały świat Saszy zawalił mu się na głowę. Jego ukochana matka, sens całego jego życia, odeszła. Kiedy dwór ojca zaczął obracać się w ruinę, on powędrował na północ, do Praag, a potem przekroczył Góry Krańca Świata, przechodząc przez wysoką przełęcz.

Podróżował po, jak się później dowiedział, drodze czaszek i dotarł wreszcie na sam kraniec świata, na daleki wschód. Zawiodło go tam pragnienie ujrzania rzeczy, jakich nie widział

jeszcze żaden inny mieszkaniec Kislewa.

Tam właśnie doskonalił umiejętności walki pod okiem władców dalekich wysp, całą swą istotę przelał i skupił w pragnieniu stania się mistrzem miecza. W Kislewie takich ludzi nazywano Drojaska, ale na wyspach Sasza osiągnął daleko większą biegłość, wykraczająca poza wszelkie wyobrażenie jego rodaków. Mimo to tęsknota za ojczyzną była silniejsza niż mógł to sobie wcześniej wyobrazić i w końcu Sasza wrócił do Kislewa. Wynajął się na strażnika karawany jadącej przez Srebrną Drogę do krainy jego młodości.

Koń potknął się po raz kolejny, wrywając go z zamyślenia i Kajetan poczuł, że zsuwa się z jego grzbietu. Odrętwiałe palce wysunęły się z grzywy zwierzęcia i Sasza upadł

na plecy wprost w śnieg. Wrzasnął z bólu, gdy zetknęły się ze sobą kawałki jego strzaskanych żeber. Poczuł, że futro zaczyna nasiąkać i przetoczył się na bok, czując okropny ból. Jego wyczerpany do cna wierzchowiec opadł na kolana, głowę miał zakopaną w śniegu, tylne nogi poruszały się w niemrawych skurczach.

Wiedział, że zwierzę dogorywa. Dobył miecza i prędko przeciął tętnicę, by oszczędzić mu męczarni i śmierci przez zamarznięcie. Jego dłonie zalała krew wierzchowca, pod wpływem ciepłego płynu

zaczął w nich pulsować ból. Z rozciętego gardła podniosła się para i Kajetan poprosił bogów o dobrą podróż dla duszy konia.

Ciepło krwi i gorący, metaliczny zapach przywiodły ze sobą niechciane wspomnienia i Sasza potrząsnął głową, nie chcąc stawać z nimi teraz twarzą w twarz, lecz nagle zobaczył

tworzącą się w powietrzu bladą, pałającą wewnętrznym światłem chmurę. Zawył z trwogi, gdy chmura przeobraziła się w delikatne, kobiece oblicze. Uśmiechnięta twarz okolona była figlarnymi, kasztanowymi lokami.

Usłyszał w głębi swojej głowy rzęsisty śmiech i nagle zapach krwi konia stał się cudownie nęcący, coraz słodszy i słodszy, aż wreszcie nie czuł już nic innego. Tylko życiodajny płyn i boleśnie kuszący zapach świeżego, ciepłego ciała. Opadł na kolana, zagłębił

usta w ranie w szyi konia i odgryzł z rozkoszą kawałek gorącego mięsa. Było twarde i pożyłkowane, zwierzę utraciło przez ostatnie dni prawie cały tłuszcz, ale kiedy je przeżuwał i czuł krew spływającą po podbródku, poczuł się o wiele silniejszy niż przez ostatnie dni. Tak jakby życiowa energia konia przechodziła do jego ciała.

Znów dogląda go jego matka. Ryknął głośno, czując, że wlewa się w niego nowa siła, pulsuje w środku, wypełniając ciało nienaturalnymżywieniem. Ona znów zadba o niego, sprawi, że będzie bezpieczny. Z pewnością jego cel musi znajdować się już bardzo blisko.

Odwrócił się od martwego zwierzęcia i ponownie ruszył w drogę, zatrzymując się tylko po to, by zabrać swoje miecze i łuk. Jego krok był pewny i długi, szedł szybko przez grubą kożuch śniegu. Nie zatrzymał się na odpoczynek nawet gdy zaczęło się ściemniać.

Zamiast tego maszerował dalej przez noc, niesamowita energia, która wypełniła go po zjedzeniu kawałka surowego mięsa, wciąż przepęłniała wszystkie jego członki.

*

Wstał świt - boleśnie jasny i czysty. Sasza westchnął, widząc znajome skalne rumowisko, które jako dziecko znał pod nazwą Smoczego Kłosa. Stojący pionowo głaz zaginał

się niczym ząb jakiejś gigantycznej bestii zrodzonej z legend i podań ludzi. Pamiętał, jak matka mówiła mu kiedyś, że należał on do ognistego smoka, który próbował pożreć cały świat. Sasza pamiętał doskonale, że Smoczy Kieł był widoczny z najwyższego pokoju dworu jego ojca i puścił się biegiem. Każdy ruch odzywał się palącym bólem w płucach, grunt wznosił się do góry ku porośniętemu wiecznie zielonymi drzewami grzbietowi wzniesienia.

Przedzierał się tak przez śnieg przez godzinę, gorączkowe wyczekiwanie sprawiało, że co kilka kroków potykał się niezdarnie. Dotarł wreszcie do grzbietu i spojrzał w dół, w stronę spustoszonych ziem swego ojca. Na moment wszystkie jego troski gdzieś umknęły, zniknęły niczym rozwiewająca się poranna mgła. Poczł wszechogarniającą radość z powrotu do domu, czuł się tak, jakby to sama ziemia witała go w jakiś sposób.

Dwie spienione rzeki meandrowały w dół z wyżyn, kręcąc się przez dno doliny, a w końcu wpadały do Tobol po bliższej stronie wzgórza o łagodnych zboczach. Na jego szczycie znajdowały się ruiny siedziby wzniesionej z czarnego kamienia. Porozbijane ściany pokryła gruba warstwa śniegu. Dwór jego ojca, opuszczony i zaniedbany. Potrzaskane drewniane belki sterczały spomiędzy kamieni. Tam, gdzie kiedyś wznosiła się palisada z bali, był teraz wypełniony śniegiem dół i resztki dwóch rozbitych strażnic, strzegących niegdyś bramy.

Rodzinny dom.

Jeszcze dalej, tam gdzie teren wznosił się łagodnie do góry, stał gęsty i ciemny las wiecznie zielonych drzew. Za nim w oddali widać było odległe sylwetki pokrytych śniegiem szczytów Gór Krańca Świata. Niebo było cudownie czyste, wysoko w górze krążyły ptaki, kracząc głośno w swoim podniebnym królestwie i witając go z powrotem w domu.

Sasza ruszył w dół, do doliny, brnąc w głębokim śniegu. W miarę jak zbliżał się do miejsca, gdzie wszystko się zaczęło, narastało w nim dojmujące uczucie niepokoju. Jego hańba, jego strach i w końcu jego uwolnienie - a może potępienie - wszystko to rozpoczęło się właśnie tutaj.

Wcześniejsza siła i radosna duma, które podsycaly jego szaleńczy, całonocny marsz przez dzikie ostepy, teraz ulotniły się i Sasza opadł na kolana. Po policzkach popłynęły mu łzy, gdy spoglądał na ponure zbocze wzgórza i ruiny wieńczące jego szczyt.

- Dlaczego tak mnie nienawidziłeś? - zawołał w stronę opuszczonego budynku. -

Dlaczego?

Ptaki, przestraszone jego okrzykami i dudniącym echem odbijającym się od zboczy doliny, zerwały się z drzew do lotu. Nie nadeszła żadna odpowiedź, zresztą wcale się jej nie spodziewał. Jego ojciec od lat już spoczywał w grobie, a matka przedsięwzięła wszelkie kroki, by żaden czart czy nekromanta nie zdołał go z tego grobu podnieść. Pochowała go odwróconego głową w dół, a jego pogrzebowe szaty przybiła do trumny za pomocą srebrnych gwoździ.

Sasza poczuł, jak łzy zamarzają mu na policzkach i podniósł się niezdarnie na nogi.

Przekroczył jedną z odnóg rzeki w najpłytszym miejscu i zaczął się wspinać na szczyt wzgórza. Jego kroki były powolne, chwiały się, jakby z każdym kolejnym stąpieniem opuszczała go coraz bardziej siła i odwaga.

Wreszcie dotarł do poczerniałej ściany zrujnowanego budynku i oparł się o nią ciężko.

Ciało miał pokryte potem zastygającym na mrozie w szklistą skorupę.

Kamienie były połyskliwe i czarne, wygładzone przez chłoszczące od setek lat wichry.

Podążył dookoła ścian na tyły budynku, podpierając się ciężko przez całą drogę.

Grunt był tutaj nierówny, dwa kopce śniegu zakłócały idealną, gładką płaszczyznę wzniesienia.

Każdy z kopców zwieńczony był prostym kamieniem z wrytymi na nim literami. Upływ czasu i działanie sił natury sprawiły, że słowa były już niemożliwe do odczytania.

On jednak nie musiał widzieć inskrypcji. Doskonale wiedział, co jest tam napisane. To on ułożył te słowa wiele lat temu i teraz uświadomił sobie, że wciąż pamięta je doskonale.

Odepchnął się od ściany i chwiejnie poczłapał w stronę grobu znajdującego się po prawej stronie. Gdy do niego dotarł, ciężko opadł na ziemię. Mocno objął lodowaty, granitowy głaz. Przytulając się do niego, płakał i zsuwał się coraz niżej i niżej, aż wreszcie legł niczym niemowlę przed grobem swojej matki.

- Jestem tu - odezwał się miękko. - Twój prześliczny książę wrócił do domu, matko.

Sasza czuł, jak mróz przenika go do szpiku kości i wiedział już, że właśnie tu przyjdzie mu umrzeć.

Sama myśl o śmierci nie trapiła go zbyt, jednak nie chciał umrzeć samotnie.

Powoli, z wielkim wysiłkiem podniósł się na nogi i zaczął odgarniać z grobu przykrywający go śnieg. Kiedy dokopał się wreszcie do zmarzniętego, twardego czarnoziemiu, na jego twarzy pojawił się błogi uśmiech.

Ręce Saszy były niczym kawałki lodu i dzięki temu nie czuł bólu wywołanego kopaniem w zamrożonej ziemi. W ciągu paru sekund połamał paznokcie a palce pokryły się krwią, ale mimo to nie przerwał pracy. Nic nie powstrzyma go przed połączeniem się z nią.

Jeżeli będzie musiał, będzie kopał nawet wtedy, gdy zedrze z palców mięso aż do kości.

V

Kaspar stał na szczycie skały wznoszącej się ponad wolno toczącą swe wody rzeką Tobol i dopijał resztkę herbaty. Trząsał się z zimna w lodowatym, nocnym powietrzu.

Spoglądał ku północy, na słabo rozświetlany blaskiem gwiazd mrok otwartego stepu. Za plecami jego rycerze rozpalali ognie, mające zapewnić w nocy ciepło wierzchowcom i rozkładali między nimi posłania. Kurt Bremen ostrzył miecz wysłużoną osełką, choć Kaspar dobrze wiedział, że broń i tak już nie może być bardziej ostra.

Przebywanie w otwartym stepie tak daleko na północy nie było z pewnością bezpieczne. Von Velten zdawał sobie jednak sprawę, że tak długo jak zachowają ostrożność i będą palić ogniska jedynie w nocy i w zagłębieniach terenu, największym zagrożeniem nie będą polujące bandy łupieżców i zapuszczające się w głąb Kisleva oddziały z północy, ale zimna pustka otwartego stepu.

W przeciwieństwie do Kajetana oni nie ruszyli po prostu na północ, nie zagłębili się w okryte śniegiem pustkowie. Zmuszeni byli skierować się najpierw na zachód, trzymając się północnego brzegu rzeki Urskoj i odpoczywając w kolejnych stanicach, jakie napotkali na swej drodze, aż wreszcie dotarli do miejsca, gdzie wolno płynąca Tobol wpadała do Urskoj.

Podążając wzdłuż rzeki dotrą wreszcie do miejsca gdzie, jak przeczuwał Kaspar, powinien znajdować się mistrz miecza i morderca w jednej osobie - Sasza Kajetan.

Podróżując tą drogą stracili wiele dni, nie było jednak innego sposobu. Jazda w otwarty step równała się o tej porze roku wyrokowi śmierci. Tak właśnie stwierdzili zgodnie Paszenko i Paweł Korowicz, gdy ambasador przedstawił im szczegóły planu polowania na Saszę. Tak czy inaczej posuwali się dość szybko i, jak oceniał Kurt Bremen, powinni znaleźć się u celu podróży, nieopodal wideł gdzie stykały się dwie rzeki zasilające Tobol, następnego dnia późnym rankiem. Kaspar zapomniał już, jak bardzo lubi taką jazdę przez nie znające cywilizacji tereny, dreszcz emocji podczas odkrywania nowych krajobrazów i podglądania natury tam, gdzie była ona najdziksza, ale jednocześnie najpiękniejsza.

Kaspar wmawiał sobie, że jest pragmatykiem, ale pomimo tego w głębi serca i tak wiedział, że gdzieś w jego wnętrzu kryje się romantyczny zawadiaka żyjący właśnie dla takich momentów, nawet jeśli łączą się one z niebezpieczeństwem. W innym wypadku nie zostałby chyba żołnierzem. Jednak ostatni tydzień bardzo go wyczerpał i przypomniał mu dobitnie, że nie jest już bynajmniej młodzieniaszkiem. Kolano pulsowało tępym bólem i pomimo grubych rękawic otrzymanych od Pawła nie czuł już prawie zmarzniętych palców.

Kiedy Kaspar i Rycerze Pantery wyruszali w drogę, Paweł był kompletnie pijany i fakt ten mocno zaniepokoił ambasadora. Kislevczyk nie podzielał najwyraźniej ponurej satysfakcji, która ogarnęła Kaspara i rycerzy. Korowicz był milczący i trzymał się cały czas na uboczu od momentu, kiedy Rejak dostarczył im mapę. Von Velten był zawiedziony, że jego stary przyjaciel nie pofatygował się nawet, by ich pożegnać lub życzyć szczęścia w łowach.

Tajemnicą pozostawało, skąd Czekatilo dowiedział się, że Kaspar potrzebuje właśnie tej informacji, ale przecież darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby. Sofia życzyła mu powodzenia, a Anastazja pocałowała go mocno i kazała sobie obiecać, że wróci cały i zdrowy. Zebrawszy wszystkie przydatne w podróży zapasy, Kaspar i Rycerze Pantery wyruszyli rankiem wprost na zamrznięty step. Ambasador czuł narastającą gdzieś we wnętrzu świadomość ostateczności tej podróży, miał poczucie, że bezwiednie stawiają właśnie ostatnie kroki w kierunku jakiegoś znaczącego wydarzenia, choć jego konsekwencji nie można było jeszcze przewidzieć.

Zszedł ciężkim krokiem ze skalnego usypiska i skierował się w dół, w stronę ściany z pionowych głazów zasłaniającej miejsce, które Kurt Bremen wybrał tej nocy na obozowisko.

Wytał śniegiem swój cynowy kubek i schował go do sakwy przy siodle Magnusa, a następnie dołączył do siedzącego przy ogniu Bremena. Valdhaas odprowadził wierzchowca i powycierał go, a potem nakrył grubą narzutą z pozszywanych futer. Kaspar wprawdzie podziwiał i cieszył się wspaniałością dzikiej krainy, ale był wdzięczny rycerzowi, że ten uwolnił go na czas podróży od pochłaniających czas i męczących czynności związanych z utrzymaniem wierzchowca w dobrej formie. Miło było osobiście zajmować się Magnusem w dobrze utrzymanej stajni, ale te same czynności na ponurym, mroźnym stepie to było zupełnie co innego.

Ogień trzaskał wesoło i roztaczał dookoła przyjemne ciepło. Kaspar rozchylił płaszcz i pozwolił, by przegnało zamróz z jego ciała. Po drugiej stronie ogniska Kurt Bremen wciąż ostrzył swój miecz.

Uważał, by nie patrzeć w płomienie i nie odzwyczaić wzroku od ciemności.

- Nie jest już wystarczająco ostry? - zapytał ambasador.

- Dobry miecz nigdy nie jest zbyt ostry - odparł Bremen.

- Racja. Myślisz, że go użyjesz?

- Pewnie tak - przytaknął rycerz. - Nawet jeżeli nie znajdziemy Kajetana i nie spotkamy na swej drodze kozaków, to wciąż są jeszcze na tej ziemi inne, bardziej plugawe i starsze istoty.

- Ano są, rzeczywiście - zgodził się Kaspar. - Z całą pewnością są.

- Wiesz, że Kajetan najprawdopodobniej już nie żyje, prawda? - zagaił wreszcie Bremen. Poruszył temat, na który nie rozmawiali od wyjazdu z Kisleva. Przeogromny, obezwładniający bezkres stepu sprawiał, że każdy problem stawał się nieznaczący i trywialny, rozmowa nie układała im się zupełnie. Każdy podróżował jakby samotnie, pogrążony we własnych myślach. Dopiero gdy zapadał zmierzch, przestrzeń wokół nich się kurczyła, stawała się mniej obca i onieśmielająca, słowa na powrót nabierały sensu i rycerze zaczęli rozmawiać, tak jakby już nigdy nie mieli dostać kolejnej szansy na konwersację.

- Ambasadorze? - zagadnął Bremen, nie słysząc odpowiedzi na swoje wcześniejsze pytanie.

- To możliwe - potwierdził wreszcie Kaspar, nie chcąc zagłębiać się zbyt w ten temat.

- Możliwe? Jeżeli mogę być szczery, ambasadorze von Velten, nie jesteś głupim człowiekiem, wiesz, że Kajetan prawdopodobnie leży gdzieś martwy pod białą pierzyną śniegu. Zbyt łatwa to śmierć dla kogoś tak przepełnionego złem jak on, takie jest moje zdanie.

- Zły, Kurt? Naprawdę myślisz, że Kajetan jest zły?

Bremen przestał ostrzyć miecz i spojrzał ze zdumieniem na Kaspara.

- Oczywiście. Po tym wszystkim, co zrobił madame Walencik i moim ludziom, mogę stwierdzić z całą pewnością, że jest złym człowiekiem. Nie mam racji?

- Tak, masz, ale po tym co powiedziała mi o nim Sofia, nie jestem już do końca przekonany. Mówiła, że nie możemy ocenić jego czynów i stwierdzić po prostu, że jest zły.

To nie rozwiązuje niczego, niczego nie wyjaśnia.

- Co według ciebie miała na myśli?

- Chyba to, że łatwo jest po prostu uznać, że Kajetan jest zły, ponieważ tak właśnie jest najprościej. To nie wymaga ani krzty wysiłku, zastanowienia nad okolicznościami jego czynów. Sofia twierdzi, że Sasza Kajetan nie urodził się potworem, ale ktoś go nim uczynił i chyba się z nią w tym względzie zgadzam. Jeżeli przypomniemy mu po prostu karteczkę z napisem „zły” i użyjemy tego jako dogodnego

wy tłumaczenia dla jego przestępstw, to oszczędzimy sobie jednocześnie trudnych pytań o to, dlaczego tak właśnie się zachowywał i co pchnęło go do tak okrutnych, wręcz niewyobrażalnych zbrodni.

- Bardzo dobrze, jak więc myślisz, czemu on zrobił to wszystko, jeśli nie w imię tkwiącego w jego wnętrzu zła?

- Nie wiem czy kiedykolwiek poznamy całą prawdę. Może jeśli weźmiemy go żywcem, uda nam się to ustalić.

- Jesteś pewien, że rzeczywiście chcesz to wiedzieć? Nie będzie łatwo wziąć żywcem kogoś takiego jak Sasza Kajetan. Nie dopuszczę, by bez wyraźnej potrzeby zginął jeszcze choć jeden z moich ludzi i jeśli będę uważał, że nie mamy szans schwycić go bez ryzyka...

- Rozumiem to, Kurt, i jeśli przyjdzie co do czego, sam zabiję go pierwszy. Nie obawiaj się o to.

- Cieszę się. W takim razie obaj się rozumiemy - powiedział poważnie rycerz.

Kaspar skinął głową.

- Powinniśmy chyba spróbować się przespać. Coś mi się zdaje, że będziemy potrzebowali jutro wszystkich sił.

Kaspar nie zdawał sobie sprawy z tego, jak proroctwo okażą się jego słowa.

ROZDZIAŁ 11

I

Poranne słońce wzeszło bardzo wcześnie i Kasparowi zdawało się, że ledwo co ułożył

głowę do snu, gdy jego blask już wyrwał go z niespokojnej drzemki. Usiadł i poczuł, jak mróz przenika go do szpiku kości, gdy tylko odgarnął z siebie futrzane okrycia. Rycerze Pantery już nie spali, wycierali konie i upewniali się, że wierzchowce są porządnie napojone i nakarmione, a dopiero później zajęli się własnymi potrzebami.

Ogniska wypaliły się przez noc i pozostały z nich jedynie żarzące się węgle. Jeden z rycerzy chodził dookoła i przysypywał je po kolei grubą warstwą śniegu, by ugasić żar do końca. Kaspar ciężko podniósł się na nogi, masując kolano i krzywiąc się niemiłosiernie, kiedy jego niemłode ciało buntowało się z powodu kolejnej nocy spędzonej na ziemi zamiast w wygodnym łożu.

- Dzień dobry, Kurt - odezwał się, gdy Bremen zszedł na dół z górującego nad nimi skalnego rumowiska.

- Ambasadorze - odparł rycerz, naciągając na naramiennik lamparcią skórę. Bremen przeżuwał kawałek ciemnego chleba z serem. Oderwał sporą część i podał ją Kasparowi.

Ambasador przyjął jedzenie z wdzięcznością i trzęsąc się z zimna z apetytem pochłonął to proste i

skromne śniadanie. Prędko naciągnął na siebie kilka warstw ubrania, a na koniec założył grube futro z niedźwiedzia, które utrzymywało z dala nawet najgorszy kislewski mróz.

- Chyba dziś powinniśmy dotrzeć do celu, wszystko na to wskazuje - odezwał się, gdy wreszcie skończył się ubierać.

- Racja - zgodził się Bremen. - Jeżeli tylko mapa jest w miarę dokładna, powinniśmy być na miejscu jeszcze przed południem.

Kaspar skinął głową i wspiał się na skałę, z której przypatrywał się zeszłej nocy otwartemu stepowi. Sztwno oddalił się od ogniska by znaleźć odrobinę prywatności i opróżnił pęcherz. Gdy wrócił, okazało się, że Valdhaas już osiodłał jego konia i teraz rozmasowywał przednie nogi zwierzęcia, by wlać w nie choć odrobinę ciepła. Von Velten uśmiechnął się z wdzięcznością do rycerza i zdjął swój pas z pistoletami z łęku siodła, na którym powiesił go wczorajszego wieczora. Oba pistolety były naładowane i gotowe do strzału, choć kurki nie zostały odciągnięte. Miecz był przypasany tuż za siodłem. Kaspar wyciągnął go z pochwy, ciesząc się jego doskonałym wyważeniem i tym, jak pasował do jego dłoni.

Miecz ten był wspaniałym dziełem mistrza Holberechta z Nuln. Jego stalowe, obosieczne ostrze było gładkie i wypolerowane, zwężało się ku górze przechodząc w ostry szpic, mogący przebić nawet najtwardszą koszulkę kolczą. Rękojeść z pocerniałego żelaza owinięta była miękką skórą i zwieńczona okrągłą głównią ze spiżu. Miecz był prosty, ale elegancki, bardzo funkcjonalny, wykuty przez mistrza, który rozumiał doskonale, do czego służy takie narzędzie. Do zabijania.

- Mogę? - zapytał Kurt Bremen, który zdążył już przygotować wierzchowca do drogi i teraz podziwiał piękne ostrze.

- Oczywiście - odparł Kaspar, odwracając miecz rękojeścią do przodu i podając go rycerzowi.

Von Velten sam był doświadczonym szermierzem, ale patrzył z podziwem, jak Kurt zręcznie i lekko wywija mieczem dookoła w seriach zawiłych manewrów. Ostrze błyskało w świetle poranka. Każde cięcie, pchnięcie czy blok wyprowadzone były niezwykle płynnie -

miały za zadanie zabić przeciwnika szybko i skutecznie.

Wreszcie Bremen zwrócił miecz Kasparowi.

- To doskonały oręż, można mu zaufać - ocenił rycerz. - Dobrze wyważony, o odpowiednim ciężarze, choć środek ciężkości znajduje się zbyt daleko od czubka jak na mój gust.

- Był wykuwany specjalnie dla mnie - wyjaśnił ambasador.

- Aha. W takim razie ciężar rozłożony jest tak, by służył jak najlepiej właśnie tobie.

- Tak jest. Holberecht i ja spędziliśmy wiele tygodni, próbując walki przeróżnymi mieczami właśnie po to, by jak najlepiej ocenić moją siłę i zasięg. Dopiero po tych przygotowaniach mistrz po raz pierwszy uderzył młotem w metal.

- W takim razie rzeczywiście jest to mistrz godny tego miana.

- Owszem. To rzeczywiście człowiek o niezwykłym talencie - zgodził się Kaspar, wsuwając miecz do pochwy przy siodle. Włożył nogę w skórzane strzemię i podciągnął się na grzbiet konia. Rycerze podążyli za jego przykładem. Bremen również dosiadł swojego wierzchowca i wyciągnął wbitą obok w śnieg kopię, a następnie umieścił ją w specjalnym skórzanym wytku przymocowanym z boku siodła.

Jego podkomendni uczynili podobnie i kiedy sztandar Rycerzy Pantery wznosił się ponad konnymi wojami, wszyscy skłonili głowy w modlitwie do Sigmara. Odmówili wersy przypisane ich zakonowi, a Kaspar cicho wyszeptał swoje własne dziękczynienia i prośby bogu-wojownikowi, patronowi Imperium, błagając o siłę i męstwo, by mógł stawić czoła wszystkim wyzwaniom, które niósł ten nowy dzień.

Kiedy skończyli modlitwę, Kurt Bremen zawołał gromko:

- Rycerze Pantery! - i dźgnąwszy ostrogami boki konia poprowadził ich ku północy.

II

Po raz kolejny niekończąca się pustka otwartego stepu przytłoczyła ich, gdy jechali przez parę godzin w zupełnej ciszy. Słońce wspinało się coraz wyżej i wyżej na czyste, pozbawione choćby jednej chmurki niebo. Tobol płynęła obok ich szlaku, łagodny szum płynącej wody hipnotyzował i uspokajał, a mroźny wiatr dał wzdłuż jej koryta.

Południe nadeszło i przeminęło, a oni wciąż nie napotkali na swej drodze oczekiwanego rozwidlenia rzeki. Kaspar miał nadzieję, że mapa nie była bardzo niedokładna w ocenie skali i odległości. W najlepszym razie mieli jeszcze zapas paszy dla koni i jedzenia dla siebie na kolejnych kilka dni drogi, a potem musieliby zawrócić. Sama myśl o niepowodzeniu, gdy byli już tak blisko celu, była niezmiernie przygnębiająca.

Wkrótce po tym, jak Bremen zatrzymał oddział na krótki odpoczynek, w ich stronę nadjechał Valdhaas, pełniący obecnie rolę wysuniętego zwiadowcy. Miał uradowane oblicze, wyraźnie było widać, że jest podekscytowany. Kopię trzymał wzniesioną pionowo w górę, purpurowe chorągiewki łopotały głośno w podmuchach wiatru, kiedy galopował w ich kierunku.

Ściągnął wodze i zatrzymał się przed nimi, wyrzucając w górę fontannę śniegu.

- Jakies dwa kilometry przed nami, może trochę dalej, znajduje się niewielka dolina, gdzie u podnóża wzniesienia łączą się dwie rzeki. Na szczycie wzgórza widać ruiny dworu, a w dolinie rozrzucone są jeszcze inne zniszczone budynki. Wierzę, że to właśnie cel, do którego zmierzamy.

Kaspar zerwał się na nogi.

- Widziałeś tam gdzieś Kajetana?

- Nie, ale nie zbliżałem się do ruin. Zawróciłem, gdy tylko zauważyłem dwór.

- Jak najlepiej tam dojechać? - zapytał Kurt Bremen.

- Tą drogą, którą właśnie podążamy - stwierdził Valdhaas. - Zaprowadzi nas ona przez jodłowy młodniak wprost do południowych zboczy doliny. Wzgórze, na którym stoją ruiny, wznosi się pośrodku i strzeże całej okolicy. Jeżeli ktoś tam jest, dostrzeże nas bez względu na to, z której strony przyjedziemy. U podnóża wzniesienia jest bród, a na północy gęsty las, ale nie widziałem tam ani żywej duszy.

- W takim razie postępujemy dalej zgodnie z planem - zdecydował Bremen. -

Rycerze Pantery, kolumna parami!

Rycerze dosiedli koni i ustawili się w formację, popędzając konie do niespiesznego biegu. Kaspar jechał z przodu u boku Kurta Bremena. Rozmyślał o sprzecznych obietnicach, jakie złożył w Kislevie - jednej, że zabije Saszę i drugiej, że weźmie go żywcem. Zastanawiał

się, której z nich dotrzyma.. Choć jego serce żołnierza i poczucie honoru podpowiadały, że powinien ubić Saszę niczym plugawą bestię, jego intelekt i dusza cywilizowanego człowieka sugerowały, że taki postępek tylko wzmocniłby zło, Sigmar jedyny wie od jak dawna otaczające Kajetana.

Tak jak powiedział podczas mającej miejsce poprzedniej nocy rozmowy z Bremenem, zło było zawsze pojęciem, którego używał, gdy odnosił się do wrogów całego swojego narodu. Zawsze dotychczas - ale ostatnio to się zmieniło. Plemiona zielonoskórych, z którymi walczył jeszcze jako szeregowy pikinier, zawsze były mu przedstawiane jako złe, tak samo bestie wyłazące z lasów i polujące na ludzi w odosobnionych wioskach Imperium. Ale czy wszystkie te zagrożenia rzeczywiście można było określić jako czyste zło? Czy po prostu istoty te działały dokładnie w taki sposób, jak zaplanował to sobie ich stwórca - kimkolwiek lub czymkolwiek był?

Pamiętał podobną rozmowę, prowadził ją wiele, wiele lat temu ze Stefanem, kiedy armia Wielkiej Księżnej Ludmiły obozowała pośród wzgórz, na dzień przed pamiętną masakrą przy Brodzie Owsena.

- Cała ta bitwa na milę śmierdzi niezdrowymi ambicjami. Nic dobrego z tego nie wyniknie - stwierdził Stefan, małymi łydkami pijąc z kubka świeżo zaparzoną herbatę.

- Co masz na myśli? - zapytał Kaspar. Był wtedy jeszcze młodym szeregowcem, traktował sierżantów i oficerów regimentów jak źródło wszelakiej wiedzy i mądrości.

- To, że księżna z pewnością jest przekonana, że robi tu właściwą rzecz - odparł Stefan

- ale z dobrych chęci często rodzi się wielkie zło.

- Nie rozumiem. Jak zło może się narodzić z chęci czynienia dobra?

Stefan uśmiechnął się ponuro i rzekł:

- Powiedzmy, że jakiś człowiek stoi nad dzieckiem, dzierżąc w dłoniach włócznię i ma zamiar

dzieciaka zabić. Co byś w takiej sytuacji zrobił?

Kaspar odpowiedział natychmiast i bez wahania:

- Powstrzymałbym go.

- Jak?

- Zabiłbym go.

- No dobrze. Powiedzmy, że faktycznie zabiłbyś go, żeby ocalić to dziecko. Potem ono urosłoby i stało się tyranem, odpowiedzialnym za śmierć tysięcy osób. Czy w ten właśnie sposób nie przyczyniłbyś się do zła, jednocześnie działając w dobrej wierze?

- Nie, raczej nie sędzę. Chcesz przez to powiedzieć, że powinienem pozwolić dziecko zabić? Nie mógłbym tak uczynić.

- Oczywiście że nie, ponieważ większość ludzi kieruje się w życiu pewnymi zasadami, posiada swoisty kodeks honorowy, który nie pozwala im na obojętność w obliczu zła. Jeśli pozwoliłbyś na zabicie dziecka, jednocześnie umarłaby też część ciebie. Twój honor nigdy już nie pozwoliłby ci zapomnieć, że pozwoliłeś rozwijać się i działać złu.

- Ale czy to nie oznacza, że zabicie dziecka będzie w takim wypadku złym czynem, który w ogólnym rozrachunku wyszedłby na dobre?

Stefan wykrzywił się.

- No tak, i to jest właśnie cały problem, nieprawdaż?

Cała sprawa zdawała się być niezwykle zagmatwana - i kiedyś, i obecnie. Jak człowiek może przewidzieć konsekwencje własnych czynów? To, co zdaje się być jedyną słuszną i szlachetną drogą postępowania, może okazać się potem zaczątkiem wielkiego zła.

Przyszłość zawsze pozostawała tajemnicą i jeżeli ktoś nie wierzył w przeznaczenie, nie było możliwości, by być pewnym konsekwencji i słuszności danego czynu.

Wszystko, co można było w tej sytuacji uczynić, to być wiernym swoim zasadom i przeciwstawiać się złu zawsze, gdy się je napotka. Tak właśnie zrobił Kaspar. Od momentu haniebnego zwycięstwa przy Brodzie Owsena takimi właśnie zasadami się kierował.

Kaspar został wyrwany z zamyślenia, gdy oddział wjechał w mrok młodniaka, o którym wspominał wcześniej Valdhaas. Tutaj rycerze zmuszeni byli zdecydowanie zwolnić tempo jazdy, prowadzili konie powoli przez zalegające w lesie nienaturalne ciemności.

Obawiali się, że któryś z wierzchowców może zapaść się w jakąś ukrytą w leśnym poszyciu dziurę i złamać nogę.

Jechali przez młodniak jeszcze przez godzinę, zanim nieśmiałe promyki światła widoczne na przedzie nie oznajmiły wreszcie, że wydostają się spomiędzy przygnębiających drzew. Światło dnia okazało się być nieprzyjemnie jasne w porównaniu z mrokiem lasu, ale Kaspar zauważył, że wszyscy rycerze odetchnęli z ulgą.

Kiedy pokłusowali do okolonej śniegiem krawędzi doliny, zobaczyli wreszcie, co pozostało z rodowych włości bojara Fiodora Kajetana. Choć Valdhaas uprzedził ich, iż dwór leży w ruinie, nie spodziewali się, że panuje tu aż tak dojmująca atmosfera pustki i opuszczenia.

Widok poczerniałych kamieni zrujnowanego dworu napełnił Kaspara uczuciem melancholii i smutku. Z opowieści Sofii pamiętał, że młody Kajetan okrutnie cierpiał w tym miejscu. Wielkie zło narodziło się właśnie tutaj, z systematycznego i powtarzającego się wciąż lżenia, bicia i poniżania.

Spienione wody obu rzek zasilających Tobol pędziły przez dość głębokie bruzdy w ośnieżonej krawędzi doliny, burzyły się na granitowych skałach, pryskały dookoła istnymi fontannami maleńkich kropelek, a potem wiły się przez jej dno, by dotrzeć wreszcie do leniwie płynącego nurtu głównej rzeki. Tak jak mówił Valdhaas, niedaleko wzgórza znajdował się bród.

Prędko zjechali w dół, rozwijając całkiem przyzwoitą prędkość na w miarę równym gruncie. Konie wpadły w lodowatą wodę brodu, rozchlapując ją i rżąc z zimna, gdy sięgnęła im ponad kolana.

Kaspar spojrział na zrujnowany dwór i przez sekundę zdawało mu się, że widzi jakby cień ruchu. Kajetan? Nie był tego pewien.

Na dobre czy na złe, ich podróż dobiegała końca.

III

Zaspany Kajetan obserwował, jak rycerze przekraczają rzekę. Obraz przed jego oczami był zamazany i niewyraźny. Na czele oddziału jechał ambasador. Sasza stłumił

dobywający się z gardła szloch. Całe jego ciało płonęło bólem i ostatkiem sił walczył, by nie osunąć się w ostateczną ciemność. Jego wytrzymałość, niegdyś tak zadziwiająca, teraz była już na skraju wyczerpania i wszystkim, co mu pozostało, była... pustka.

Nie było już nic oprócz żarliwego pragnienia, by odpokutować za całe zło, które wyrządził. Wspomnienie tego, co wydarzyło się w czasie, gdy kontrolę nad jego duszą przejęło prawdziwe ja, było wciąż niejasne i zamazane, niczym porwane fragmenty na wpół

zapomnianego koszmaru. Ale pamiętał na tyle dużo, by wiedzieć, że musi zostać ukarany.

Pokuśtykał z powrotem do otwartego grobu i opadł na kolana tuż przed kośćmi, które wygrzebał. Wziął czaszkę swojej matki, wciąż oblepioną kępkami rzadkich, kasztanowych włosów i pocałował ją na pożegnanie. Gdy to zrobił, założył na ramię łuk i zabrał miecze.

Sasza Kajetan sięgnął głęboko do swego wnętrza w poszukiwaniu resztek sił, mamrocąc Mantrę Wewnętrznej Mocy.

Być może śmierć już unosiła się nad nim, gotowa w każdej chwili zabrać go z tego świata, ale on splunął jej w twarz jeszcze ostatni raz, zanim pograży się wreszcie w ciemnościach.

Sasza zauważył zimną determinację malującą się na obliczu Kaspara von Veltena, gdy ten jechał przez rzekę. Wyciągnął swoje miecze, uświadamiając sobie nagle, że matka miała jednak rację.

Ambasador rzeczywiście mógł mu pomóc.

IV

Rycerze Pantery rozproszyli się, tworząc długą linię i z wolna zbliżali się do zrujnowanego budynku. Wśród pozawalanych ścian żałośnie i ponuro zawodził wiatr, wpadając do środka przez strzaskane okna i drzwi. Kaspar dobył miecza, przepatrując wysokie mury i potrzaskane rumowisko w poszukiwaniu jakiegokolwiek znaku bytności Kajetana.

Razem z Bременem objechali najdalszy róg ruin i tam właśnie go odnaleźli.

Szermierz stał przed ciemnym rowem, ostro odznaczającym się pośród śnieżnej bieli.

Pożółkłe kości ułożone w kształt ludzkiego ciała spoczywały tuż obok rozkopanego grobu.

Leżała na nich poszarpana i brudna niebieska suknia, a całe to makabryczne dzieło wieńczyła wyszczerzona czaszka.

Kajetan wyglądał koszmarnie, z jego rąk, wzdłuż opuszczonych ostrzy, spływała w dół krew i kapała na śnieg. Dolna część jego workowatej, niegdyś białej koszuli zeszywniała cała od zakrzepłej posoki. Twarz miał wychudłą i ściągniętą, włosy dziko rozczochrane i skołtunione. Gdzieś zniknął ten arogancki, ufny w swoje siły wojownik, którego Kaspar zobaczył po raz pierwszy w Pałacu Zimowym, a zamiast niego stał przed nimi zdesperowany, wyniszczony mężczyzna z błyskiem szaleństwa w oczach.

Tak czy inaczej, miał w dłoniach obnażone miecze, a Kaspar widział dość o jego niesamowitych umiejętnościach szermierczych, by zdawać sobie doskonale sprawę, że Kajetana nie można zlekceważyć nawet mimo opłakanego stanu, w jakim się obecnie znajdował.

Szermierz podniósł wzrok, gdy Bремен krzyknął:

- Rycerze Pantery, do mnie!

Kislevczyk spokojnie przyglądał się, jak rycerze zbierają się wokół niego w odpowiedzi na rozkaz dowódcy i otaczają go szczelnym pierścieniem stali.

- Wszystko skończone, Sasza - przerwał ciszę Kaspar, wysuwając się do przodu. -

Wcale nie musisz tu umierać, zdajesz sobie z tego sprawę, prawda?

- Nie - odpowiedział. - Właśnie, że muszę. Naprawdę muszę.

- Wiem dobrze, przez co tutaj przeszedłeś - głos von Veltena był spokojny i wyważony. Usłyszał, że z tyłu zbliża się Kurt Bremen i skinieniem dłoni kazał mu pozostać w miejscu.

- Nie sądzę, żebyś naprawdę to wiedział, ambasadorze. Nie możesz, po prostu nie możesz. Ja uczyniłem... koszmarne rzeczy i teraz muszę za nie zapłacić. Jestem naznaczony.

Naznaczony piętnem zła, piętnem Chaosu.

Kaspar dostrzegł niekłamany ból w oczach Kajetana i powoli zsiadł z konia.

Pamiętając daną Sofii obietnicę, że spróbuje wziąć Kajetana żywcem, odpiął swój pas z pistoletami i powiesił go na łąku siodła Magnusa.

- Ambasadorze von Velten - odezwał się nerwowo Kurt Bremen. - Cóż czynisz?

Odstąp.

- Nie, Kurt - odparł Kaspar. - Pamiętasz, o czym mówiliśmy ostatniej nocy? Tak właśnie musi być.

- Matka mówiła, że ty możesz mi pomóc - powiedział Kajetan.

- Chcę pomóc - odparł Kaspar, opuszczając swój miecz.

- Wiem - skinął głową Sasza, po raz ostatni spoglądając na szkielet leżący obok rozkopanego grobu. Odwrócił się do von Veltena i rzekł:

- Przepraszam...

Zanim Kaspar zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Kajetan rzucił się naprzód, jego miecze zaśpiewały, przecinając zimne powietrze, zmierzając wprost ku ambasadorowi. Ten ledwo zdążył unieść własny oręż, by w ostatniej chwili zablokować pchnięcie i sparować zadany drugim mieczem cios wycelowany w brzuch. Instykt wziął w nim górę i sam wyprowadził kontratak. Miecze Kajetana z łatwością odbiły grad ciosów i Kaspar odstąpił

krok do tyłu. Rycerze Pantery zacieśnili krąg.

Obaj mężczyźni wymieniali uderzenia przez jakiś czas, aż wreszcie Kaspar zorientował się, że Kajetan wcale nie chce go zabić. Szermierz o takich umiejętnościach mógłby bez wysiłku zakończyć ten pojedynek jednym ciosem. Kiedy pchnął mieczem w serce Kislevczyka, zorientował się, do czego tak naprawdę dąży Kajetan. Cały świat skurczył się i skoncentrował na czubku miecza, pokonującym niewielką odległość dzielącą go od odsłoniętej piersi Saszy. Czas jakby zwolnił bieg i Kaspar ujrzał, jak ból i udręka w oczach przeciwnika zmieniają się we wdzięczność.

Nie mogąc już powstrzymać impetu uderzenia, skrzył jedynie nadgarstek i ostatkiem sił zdołał zmienić kąt cięcia. Ostrze opadło i zagłębiło się w udzie Kajetana, przebijając mięśnie, tłuszcz i kość, a następnie wyszło bez wysiłku po drugiej stronie.

Kajetan jęknął z bólu i upadł na śnieg, gdy ugięła się pod nim zraniona noga. Miecz wysunął się z ręki Kaspara. On sam odstał do tyłu, chwiejąc się z wysiłku, a Rycerze Pantery przezornie kopnęli w bok leżące w pobliżu Kislevczyka miecze. Kurt Bremen postawił opancerzoną stopę na piersi Kajetana i wznosił do góry miecz, by zadać ostatni cios.

- Kurt, nie! - krzyknął Kaspar.

Miecz rycerza zawisł ponad szyją Kajetana, który wrzasnął:

- Zrób to! Zasługuję na śmierć! Zabij mnie!

Kaspar ścisnął ramię rycerza i rzekł:

- Nie rób tego, Kurt. Jeżeli go teraz zabijemy, tylko przysłużymy się złu, które do tego wszystkiego doprowadziło. Niczego się wtedy nie dowiemy i zagadka pozostanie nierozwikłana.

Bremen niechętnie skinął głową i opuścił powoli ostrze, zaś jego podwładni zbliżyli się, by podnieść Kajetana na kolana i spętać jego nadgarstki sznurem. Valdhaas oparł stopę na ciele Kislevczyka i szarpnięciem wyciągnął miecz ambasadora. Ze zranionej nogi obficie trysnęła krew.

- Nie, nie, nie... - jęczał Kajetan. - Proszę... Dlaczego mnie nie zabiliście?

Kaspar przyklęknął tuż obok spętanego szermierza i wyjaśnił:

- Nie będę cię okłamywał, Sasza. I tak zostaniesz zgładzony, ale zawisniesz na sznurze po uczciwym procesie, nie zginiesz tu z naszych rąk. Ale przyrzekam ci, że osobiście zatroszczę się o to, by ten, kto ci to uczynił, też poniósł zasłużoną karę.

Kajetan nic nie odpowiedział, był chyba zbyt zatracony w rozpamiętywaniu swego nieszczęścia. Kaspar wstał, czując się nagle zupełnie wyczerpany z sił. Kiedy rycerze pochyliłi się nad więźniem, by opatrzyć jego ranę, von Velten odebrał od Valdhaasa swój miecz oraz oręż Saszy, a następnie przymocował miecze przy siodle Magnusa.

Dołączył do niego Kurt Bremen i obaj przez chwilę trwali w cichej zadumie.

- Chyba teraz to zrozumiałem - odezwał się nareszcie Bremen. - To, co mówiłeś mi przy ognisku.

- Tak?

Bremen pokiwał twierdząco głową.

- Kajetan i tak zostanie stracony za swoje czyny, nie mam teraz co do tego wątpliwości, ale w ten sposób ludzie, którzy dowiedzą się, co uczyniło z niego takiego potwora, być może czegoś się nauczą.

- Być może. Pozostaje nam tylko mieć taką nadzieję, co?

Zanim Bremen zdążył odpowiedzieć, ze szczytu wzgórza dobiegł ostrzegawczy okrzyk.

- Uwaga, jeźdźcy! - zawołał jeden z rycerzy, wskazując na odległe zbocze doliny.

Bremen zaklął i rzucił się biegiem, by zebrać swych podkomendnych. Kaspar podbiegł do krawędzi wzgórza.

Z ciemnej linii drzew po północnej stronie doliny wychyły sylwetki jeźdźców, dosiadających parskających wierzchowców. Pędzili przez dolinę, było ich pewnie kilka tuzinów.

Kurganie! Najeźdźcy z północy. Wojownicy pod sztandarami mrocznych bóstw.

Zakuci w czarne kolczugi i lakierowane, utwardzone skórzane pancerze, z pomalowanymi ciałami i dziko sterczącymi na wszystkie strony włosami, sprawiali wrażenie niebezpiecznych i zaciekłych przeciwników. Dzierżyli w dłoniach topory o szerokich ostrzach i ogromne, równie szerokie miecze.

Pomiędzy końskimi nogami przemykały, pędząc równie szybko, ogromne ogary o groźnych kłach i nastroszonych, pozlepianych krwią futrach. Psy wyły i szczekały donośnie.

Kaspar podbiegł do swojego konia. Wskoczył na siodło akurat wtedy, kiedy jeden z Kurgan dobył z trzymanego przy ustach, poskręcane rogu długą, zawodzącą nutę. Na ten znak stado ogarów wyrwało się do przodu.

- Rycerze Pantery! - zagrzmiął Bremen. - Jazda!

V

Kaspar dźgnął ostrogami i Magnus popędził galopem w dół zbocza, wprost ku rzece.

Rycerze chwycili swoje kopie i nawet w tej dzikiej galopadzie do brodu Kaspar był urzeczony wspaniałością tej sceny. Zbroje lśniły srebrem w świetle słońca, sztandar powiewał wysoko, stalowe ostrza kopii połyskiwały - byli z pewnością uosobieniem męstwa i szlachetności.

Ujadające ogary pędziły w dół zbocza, by dosięgnąć rycerzy, zanim ci zdołają uciec.

Posuwały się przez śnieg długimi susami i błyskawicznie pokonywały odległość dzielącą je od zwierzyny. Niedaleko za nimi galopowali jeźdźcy Kurgan. Kaspar spostrzegł, że najeźdźcy w czarnych pancerzach rozdzielają się na dwie grupy. Jedna z nich podążała bezpośrednio za psami, a druga ruszyła bokiem, zataczając szerokie koło, bez wątplenia chcąc odciąć im drogę ucieczki, na wypadek, gdyby rycerze poradzili sobie z pierwszym oddziałem.

Von Velten dobył miecza i ciasno owinął wokół lewej dłoni wodze Magnusa, kiedy szaleńcza galopada przywiodła ich wreszcie w pobliże rzeki. Wiatr chłostał go w twarz, pochylił się w siodle, zapierając się mocniej w strzemionach i trzymając miecz przed sobą tak, jak nauczył go wcześniej Bremen. Valdhaas, ze związanym Kajetanem przewieszonym przez siodło, jechał po drugiej stronie oddziału i Kaspar wyraźnie widział, jak bardzo jest poirytowany faktem, że jako jedyny z rycerzy nie dzierży w dłoni przygotowanej do starcia kopii.

Konie z hałasem wbiły się w nurt rzeki, spod kopyt prysnęły w górę migoczące strugi wody i w mgnieniu oka zmieniły się w mgiełkę, z takim impetem rycerze wjechali w bród.

Ale było już zbyt późno na ucieczkę. Dopadły ich ogary, wyjące w oczekiwaniu, na świeżą krew. Wskoczyły do wody bez wahania, starając się pełnymi ostrymi kłów paszczami dosięgnąć ofiary.

Rycerze ryknęli i zniżyli kopie. Biegające na przedzie bestie nadziały się na ich żelazne ostrza. Drewno poszło w drzazgi, gdy złamały się drzewca kopii, spieniona woda zabarwiła się na czerwono od krwi dogorywających ogarów, uderzających łapami w śmiertelnych konwulsjach. Zamigotały miecze i wokół rozległy się bolesne skowoty umierających zwierząt. Konie rżały i stawały dęba, kiedy psy zaczęły je otaczać i rzucać się, by kąsać ich boki. Jakiś rycerz został zrzucony z konia, gdy bestie poprzegryzały ścięgna wierzchowca. Z pluskiem zwałił się w nurt rzeki i błyskawicznie otoczyły go trzy wściekle warczące ogary. Cały świat wypełnił przeraźliwy hałas, skowyt, wycie i chaos bitwy, kiedy rycerze kręcili się wkoło na środku rzeki, walcząc wściekle, by odpędzić oszalałe od zapachu krwi bestie.

Kaspar obrócił Magnusa, chcąc pomóc rycerzowi, który wpadł do rzeki. Dźgnął

mieczem; z dołu dobiegł bolesny skowyt, świadczący o tym, że ostrze dosięgło celu. Z

rozmachem ciął po grzbiecie kolejnego ogara, prostując się błyskawicznie w siodle, kiedy skoczył ku niemu następny. Jego kły z kłapnięciem zamknęły się kilka centymetrów od uda ambasadora, pazury wyryły w boku Magnusa krwawe pręgi. Koń uniósł się na tylnych nogach i kopnął podkutymi żelazem podkownikami, miażdżąc łeb psa. Ambasador walczył, by utrzymać się w siodle, gdy tymczasem z wody podniósł się rycerz. Jego lewa ręka zwisała bezwładnie u boku, z głębokiej rany na ramieniu ciekła krew. Skinął w podzięcie głową w stronę Kaspara, ale już w chwilę potem padł tyłem w wodę, gdy czarno opierzona strzała przebiła jego napierśnik i weszła głęboko w pierś. Jej drzewce było grubości męskiego kciuka.

Kiedy zaczęły nadlatywać kolejne pociski, Kaspar znów obrócił konia. Jeźdźcy podążający za ogarami w stronę brodu galopowali w ich stronę, strzelając z potężnych, zakrzywionych łuków. Jeden z ogarów został trafiony strzałą przeznaczoną dla rycerza i zwinął się w powietrzu w pół skoku. Kaspar pochylił się nisko nad szyją swojego wierzchowca. Istna chmura strzał wypełniła ze świstem powietrze, ale większość z nich odbijała się od wspaniałych, kutych przez krasnoludy pancerzy i tarcz, nie czyniąc żadnej szkody rycerzom. Sporadyczne okrzyki bólu świadczyły jednak o tym, że nie każdy pocisk był tak szczęśliwie odbijany. Niektóre zdołały dotrzeć do celu i zagłębić się w ciałach.

Kurt Bremen przeciął mieczem kark ostatniego z ogarów i obrócił konia, by stanąć przodem do nadciągających jeźdźców. Pozostali rycerze zebrawi się przy dowódcy, wykazując się przy tym doskonałą dyscypliną i znajomością realiów bitwy. Chorągiew Sigmara powiewała wysoko ponad ich głowami.

Kaspar podjechał i stanął u boku Bremena. Oddychał ciężko, cały był zachlapany krwią.

- Szarża! - ryknął przywódca Rycerzy Pantery. - Za Sigmara, za Imperatora!

Cały oddział ruszył do przodu, by zderzyć się z konnicą Kurgan. W duszy każdego rycerza brzmiał bojowy okrzyk dowódcy. Kaspar poczuł, że rusza wraz z nimi, jego też ogarnął szaleńczy heroizm wojowników Bremena. Kolejne strzały zadźwięczały na pancerzach i tarczach, ale było ich zdecydowanie mniej niż poprzednio. Kurganie wymieniali już swoje łuki na korbacze o długich drzewcach. Żelazne, kolczaste kule wirowały w powietrzu na długich łańcuchach. Kiedy Kaspar wyjechał na brzeg, zrozumiał błyskawicznie, że ich przeciwnicy popełnili tragiczny w skutkach błąd.

Pewni tego, że ogary i strzały pokonają wroga, jeźdźcy z północy podjechali zbyt blisko i nie byli przygotowani na tak błyskawiczną szarżę imperialnych rycerzy.

Gorączkowo starali się przygotować do walki, ale w pojedynku między ciężko opancerzonymi zakonnikami i noszącymi raczej lekkie zbroje konnymi łucznikami mógł być tylko jeden zwycięzca. Szarża Rycerzy Pantery uderzyła w szeregi Kurgan niczym młot.

Kopie i miecze wysadziły z siodła zaciekłych najeźdźców w ciągu trwającej ledwie kilka uderzeń serca, brutalnej walki w zwarciu. Stał zderzyła się z żelazem, ludzie krzyczeli z bólu.

Kaspar dostrzegł wyjącego Kurganina, wyrwanego z siodła uderzeniem kopii. Z miejsca, gdzie broń wbiła się w ciało, tryskała fontanna krwi. Konie padały na śnieg, wysadzeni z siodła ludzie byli miażdżeni pod kopytami. Dookoła rozpętało się istne pandemonium.

Kaspar wypalił z pistoletu prosto w twarz jakiegoś wrzeszczącego dziko barbarzyńcy.

Kula zmieniła tor lotu wewnątrz czaszki i wydostała się z boku głowy, wrywając dziurę w hełmie. Dymiącą jeszcze broń ambasador wsunął pospiesznie za pas i dobył drugiego pistoletu. Kolejny wytatuowany wojownik szarżował w jego stronę, wywijając dziko kolczastą kulą na łańcuchu. Kaspar wypalił i trafił go w ramię, zmieniając je w krwawą miazgę, ale barbarzyńca wciąż się zbliżał, rycząc coś w swoim prymitywnym i niezrozumiałym języku z dalekiej północy.

Von Velten przynaglił konia do biegu i ruszył mu naprzeciw, a gdy się zwarli, przebił

mieczem pierś Kurganina. Wyciągnął zręcznie broń, zanim ta zdążyła zaklinować się w zbroi martwego przeciwnika. Walczył o oddech, wyczerpany pomimo tej szaleńczej, nadludzkiej energii, która wciąż pulsowała mu w żyłach.

Jednak zanim rycerze zdołali wykorzystać przewagę, Kurganie zręcznie obrócili konie, odrywając się od swoich przeciwników i pogalopowali w dal. Widząc ich ucieczkę Kaspar poczuł nagły przypływ radości i dumy, a z jego gardła wyrwał się okrzyk triumfu.

Dźgnął boki konia ostrogami, by rzucić się w pogoń, ale usłyszał za plecami dźwięk trąbki. Rozpoznał sygnał imperialnej kawalerii, nakazujący wstrzymanie się od pościgu.

Czując, jak serce łomocze mu w piersi, ściągnął wodze i odwrócił się od uciekających Kurgan.

Wtedy też spostrzegł, że ich małe zwycięstwo było częścią planu, mistrzowsko wprowadzonego w życie przez wroga.

Na południe od nich czekało jakichś trzydziestu jeźdźców, blokujących im drogę ucieczki. Była to druga grupa Kurgan, ta, która wcześniej oddzieliła się od oddziału. W

czasie, gdy pierwsza gromada barbarzyńców i ogary zajmowały rycerzy, ci wojownicy odcięli im odwrót i teraz niespiesznie jechali w ich stronę. Nie byli to lekko opancerzeni łucznicy, a potężni wojownicy zakuci w zbroje z czarnych, żelaznych płyt, z rogatymi hełmami i drewnianymi, okutymi spiżem tarczami. Dzierżyli w dłoniach długie, szerokie miecze i obosieczne topory. Kaspar natychmiast domyślił się, że będą oni śmiertelnie niebezpiecznymi przeciwnikami.

Pancerni Kurganie niespiesznie zmierzali w ich kierunku, aż biła od nich arogancja i pogarda. Von Velten dobrze wiedział, że trzydziestu wojowników Chaosu mogło sobie pozwolić na takie gesty.

Rycerze Pantery zebrali się wokół Kurta Bremena, byli spięci, ale nie okazywali strachu. Koń ich poległego towarzysza podązał za nimi. Wciąż pozostało ich dwunastu, a dwunastu najlepszych Rycerzy Pantery było siłą, z którą należało się liczyć. Ich wiara w swoje siły i odwaga były niezaprzeczone i Kaspar poczuł gorzką dumę z faktu, że jeśli nawet przyjdzie mu zginąć w tej ponurej dolinie, to przynajmniej umrze w najlepszej kompanii, jaką mógł sobie wymarzyć.

- Jest tylko jeden sposób, w jaki możemy się stąd wydostać, Kurt - powiedział Kaspar, pospiesznie przeładowując pistolety.

- Rzeczywiście - przytaknął Bremen, podnosząc przyłbicę i wyciągając dłoń w kierunku ambasadora.
- Prosto przez nich, z męstwem i stalą.

- Męstwo i stal - zgodził się Kaspar, ściskając rękę rycerza.

- Ambasadorze! - odezwał się jakiś nagły głos za plecami von Veltena. Zagadnięty odwrócił się i ujrzał Kajetana, wyciągającego ku niemu skrępowane dłonie.

- Rozwiąż mnie - poprosił. - Potrafię wam pomóc.

- Co takiego? - zaszydził Bremen. - Rzeczywiście jesteś szalony, jeśli sądzisz, że cię uwolnimy.

- A co macie do stracenia? - błagał Kajetan, - Oni zabiją mnie z taką samą radością jak i was. I wy, i ja wiemy, że sami nie zdołacie wygrać. Zabijecie wielu z nich, ale w końcu przegracie. Nie ma znaczenia, czy ja sam zginę, ale mogę pomóc wam przeżyć. Pozwólcie mi zrobić dla was choć tę jedną, ostatnią rzecz.

Pojąwszy w pełni znaczenie słów Kislevczyka, Kaspar podjechał do Valdhaasa i rozkazał:

- Postaw go na ziemi.

Rycerz zepchnął Kajetana z siodła, a ten zachwiał się, upadłszy na zranioną nogę.

Uniósł ręce do Kaspara. Ambasador wyciągnął ku niemu miecz i pozwolił, by Sasza przeciął krępujące go więzy.

- Kaspar! - warknął z niedowierzaniem Bremen.

- On ma rację, Kurt. Oni zmierzają tu po to, by nas wszystkich zabić i wierzę, że on chce pomóc.

- Szybko, moje miecze i łuk - ponaglił Kajetan. - Wróg już prawie nas ma.

Kaspar odwinął broń i rzucił ją szermierzowi. Ten przewiesił miecze przez łęk siodła i nałożył strzałę na cięciwę.

- Niech cię cholera, Kasparze, mam nadzieję, że wiesz co robisz - zaklął Bremen, wznosząc miecz, gdy Kajetan zręcznie wskoczył na puste siodło konia poległego rycerza. Nie było już czasu, by martwić się Saszą. Kurt obrócił wierzchowca, by stanąć twarzą w twarz z nadjeżdżającymi Kurganami.

Kaspar również miał taką nadzieję, gdy odwracał się w stronę nadciągającego wroga.

Obydwa oddziały dzieliło już nie więcej niż pięćdziesiąt metrów i z rykiem dzikiej furii Kurganie poderwali swoje konie do galopu.

Rycerze Pantery, Kaspar i Kajetan zgodnie odpowiedzieli własnym okrzykiem i popędzili ku jeźdźcom z północy. Spod kopyt koni podniosła się śnieżna kurzawa, kiedy obydwie grupy ruszyły naprzeciw siebie.

Wystrzelona z łuku strzała śmignęła w powietrzu i jadący na przedzie Kurganin zsunął

się bezwładnie z siodła, z jego hełmu sterczało długie, szaro opierzone drzewce. Po chwili ten sam los podzielił wojownik jadący tuż za nim. Potem kolejny i kolejny. Każda strzała zmiatała z konia jednego barbarzyńcę. Kaspar patrzył z podziwem, jak Kajetan zabija wrogów jednego po drugim, śląc płynnie i metodycznie strzałę za strzałą. Robił to wszystko w pełnym galopie.

Sasza wyeliminował ośmiu przeciwników, zanim wreszcie odrzucił na bok swój łuk i wydał z siebie kislewski okrzyk wojenny. Jego wierzchowiec mógł biec dużo szybciej, gdyż tym razem niósł na grzbiecie lekkiego jeźdźca, nie zaś zakutego w ciężki pancerz rycerza.

Dzięki temu zdołał wysforować się przed resztą oddziału.

Kajetan dobył obu mieczy i zderzył się z linią galopujących Kurgan. Jego ostrza zmieniły się w zamazane smugi połyskującego srebra, smugi, które z każdym uderzeniem przecinały ciało i zbroję. Pod gradem ciosów padło od razu trzech Kurgan, a reszta straciła zupełnie impet i zapał, usilnie starając się powstrzymać szalonego szermierza, siejącego spustoszenie w samym środku ich szeregów.

Dookoła Kajetana krążyły i uderzały topory i miecze, ale żaden cios nie był w stanie go dosięgnąć. Parował i unikał wszystkich ataków, kierując wierzchowcem za pomocą nacisku kolan, a każda jego riposta przecinała kolejne gardło albo wbijała się pomiędzy płyty zbroi, by tam zagłębić się w ciało.

Rycerze Pantery wbili się z impetem w zmieszanych Kurgan i wtedy walka rozpoczęła się na dobre.

Kaspar wiedział, że będzie miał wiele szczęścia, jeśli uda mu się wyjść z niej cało.

Zauważył Kurganina, który próbował zajechać Kajetana od tyłu i bez wahania strzelił

mu w tył głowy. Po całej dolinie niosło się głośnym echem ogłuszające dźwięczenie skuwanej w Imperium stali uderzającej o ciężkie napierśniki z żelaza i rozbrzmiewały wrzaski zranionych ludzi. Masywne topory przebiły się przez płyty zbroi i kolejny rycerz spadł z konia, przecięty od obojczyka aż do miednicy.

Bitwa zmieniła się w bezładną kotłowaną wrzeszczących ludzi, koni, migoczących ostrzy i krwi, przy akompaniamencie dzikiego wycia. Pozbawieni impetu szarzy Kurganie od razu stracili inicjatywę. Okrzyki i nawoływania walczących wypełniły dolinę i Kaspar zorientował się, że losy całej bitwy zawisły teraz na ostrzu noża. Jego instynkt doświadczonego generała powrócił i ambasador od razu spostrzegł, że nadszedł punkt zwrotny całej potyczki.

Kurganie byli zaskoczeni dziką szarżą Kajetana i zupełnie nieprzygotowani na zaciekły atak rycerzy, ale wkrótce otrząsną się i wykorzystają przewagę liczebną, by zniszczyć wroga.

Najmniejsza iskierka męstwa lub paniki mogła zadecydować o tym, kto wyjdzie dziś z walki zwycięsko.

Chlasnął mieczem ramię jakiegoś ryczącego Kurganina, odchylając się jednocześnie, by kopniakiem wysadzić go z siodła i wtedy ujrzał nieopodal brodatego olbrzyma o twarzy poznaczonej bliznami. Jednym ciosem olbrzymiego topora zmiotł on z siodła kolejnego rycerza. Miał na sobie szkarłatną zbroję wygrawerowaną w zapętłające się spirale. Potężne ramiona okryte były niezliczoną ilością żelaznych obręczy, wykutych z broni pokonanych przeciwników. Kaspar od razu zdał sobie sprawę, że patrzy na jednego z potężnych wybrańców Chaosu, dzikiego zabójcę obdarzonego przychylnością Mrocznych Bóstw.

Otaczali go wojownicy, każdy z nich nosił na piersi symbol swego wodza. Kaspar wystrzelił w stronę olbrzyma z ostatniego pistoletu, ale spudłował i kula przeszła bokiem, rozrywając gardło wojownikowi jadącemu tuż obok zakutego w imponujący pancerz jeźdźca.

Ten obrócił konia i wznosząc do góry olbrzymi topór ruszył w stronę Kaspara.

Ambasador uchylił się w siodle i topór o włos minął jego głowę, zamiast tego trafiając go w ramię i zrywając chroniący je naramiennik. Ryknął z bólu, gdy ostrze wbiło się w ciało, a siła ciosu prawie wysadziła go z siodła. Odzyskał równowagę i uderzył na odlew, gdy Kurganin przejeżdżał obok niego, jednak miecz brzęknął tylko, odbijając się od grubej zbroi.

Obaj zawrócili, by zetrzeć się po raz wtóry i Kaspar uświadomił sobie, że tej walki wygrać nie może. Kurganin chyba myślał tak samo i ryknął coś w swoim szorstkim języku, a potem natarł na ambasadora.

Ten zobaczył nagły błysk stali, a potem istną fontannę czerwieni. Brodaty olbrzym spadł z konia, jego głowa pofrunęła łukiem w powietrze. Tuż obok przemknął Kajetan, krwawiący z tuzina ran, jego

miecze wirowały w szaleńczym tańcu, a on zabijał, zabijał i zabijał.

Kaspar patrzył z niedowierzaniem jak Kajetan walczy z gracją i wprawą, które wydawały się wymykać wszelkiemu racjonalnemu wytłumaczeniu. Słyszał kiedyś, że prawdziwy geniusz walki wie, jak znaleźć sobie miejsce w największym nawet ścisku, by zadać śmiertelny cios, jednocześnie uniemożliwiając to samo swojemu przeciwnikowi.

Patrzył teraz, jak Kajetan przemyka po polu bitwy niczym żywe srebro, topory i miecze zdawały się przenikać przez niego jak przez ducha, gdy robił uniki i odskakiwał przed nimi, jakby dysponował jakimś szóstym zmysłem. Jego miecze śpiewały, przecinając powietrze i wszędzie tam, gdzie uderzył, na śnieg spadał kolejny martwy barbarzyńca.

Kaspar obrócił konia, gotowy po raz kolejny rzucić się w wir walki, choć ramię, w którym trzymał miecz, gorzało od wysiłku żywym ogniem, a każdy oddech palił mu płuca.

Jednak konnica Kurgan poszła już w rozsypkę. Nagła śmierć wodza zupełnie złamała ich morale i galopowali teraz ku północy, z powrotem do linii drzew, zza których się wcześniej pojawili.

Kaspar opuścił miecz i pozwolił się ogarnąć pobitewnemu zmęczeniu. Poklepał

Magnusa po poruszającym się z wysiłku boku i przejechał dłonią po spoconym czole.

Stęknął, gdy poczuł jak ból pulsuje w ramieniu, w miejscu gdzie trafił go topór wodza Kurgan. Cała ręka była zdrętwiała i spróbował poruszyć na próbę palcami.

Zmusił się, by pozostać w siodle i odwrócił się, gdy ktoś krzyknął jego imię.

Podjechał do niego Sasza Kajetan, oba skrwawione miecze wciąż dzierzył pewnie w zaciśniętych dłoniach. Kaspar zerknął na bliźniacze ostrza i zadał sobie w myślach pytanie, czy przeżył tę bitwę jedynie po to, by paść teraz z rąk szermierza.

Ale Kajetan wcale nie miał zamiaru mordować nikogo więcej, odwrócił miecze rękojeściami do przodu i podał je Kasparowi. Ten przyjął broń i dopiero wtedy zauważył, jak wiele ran ma na ciele Kajetan. Każda z nich krwawiła obficie.

Kurt Bremen podjechał do ambasadora, jego srebrzysty pancerz był pocięty i powgniatany, cała jego powierzchnia zbrukana krwią. Zobaczył, że Kajetan opuszcza się bezwładnie na szyję swojego konia i pokręcił głową.

- Nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziałem.

- Ani ja - przyznał Kaspar, ciesząc się, że obaj zdołali przeżyć to starcie. Walczyć przeciwko tak przeważającemu liczebnie przeciwnikowi i zwyciężyć - to było wprost nie do pomyślenia. Kajetan był niesamowity.

Bremen obrócił wierzchowca, patrząc jak pozostali przy życiu Kurganie zbierają się nieopodal brodu.

- Powinniśmy jechać - stwierdził rycerz. - Bardzo prawdopodobne, że był to tylko oddział zwiadowczy, szukający najwygodniejszej drogi na południe dla armii Wielkiego Zara.

Pewnie niedaleko jest ich znacznie więcej.

Kajetan ryknął z bólu, gdy Bremen zbierał swych ludzi. Kaspar nie wiedział, co ma powiedzieć szermierzowi. Ten człowiek zabił jego najstarszego przyjaciela, torturował bliską jego sercu osobę, a teraz ocalił im wszystkim życie.

Pamiętał wyraz oczu Kajetana, kiedy walczyli na szczycie wzgórza i uśmiechnął się, bo w końcu zrozumiał problem, który postawił przed nim Stefan przed bitwą pod Brodem Owsena.

- Ambasadorze - ponaglił go Bremen. - Musimy już jechać.

- Dobrze - odparł Kaspar, pomagając Kajetanowi usiąść prosto w siodle. - Zabierajmy się stąd.

EPILOG

I

Kaspar zdał sobie sprawę, że żaden widok nie był nigdy przez niego z takim utęsknieniem wyczekiwany, jak wieże i budynki Kislewa, okolone wysokimi murami i otoczone rozrośniętymi obozowiskami uchodźców i żołnierzy. Pamiętał jeszcze moment, gdy ujrzał je po raz pierwszy, prawie cztery miesiące temu, i towarzyszące mu wtedy uczucie uprzedzenia i niechęci.

Jazda do miasta była niezwykle wyczerpująca. Kurt Bremen nie chciał pozostawać tak daleko na północy dłużej niż było to konieczne. Było bardzo prawdopodobne, że ruszy za nimi jakaś większa liczba Kurgan, ale przez całą podróż nie spostrzegli żadnego znaku mogącego świadczyć o tym, iż ktoś ruszył ich tropem. Cała podróż przebiegała bez poważniejszych incydentów. Pomimo pokonania tak przeważającej liczebnie grupy Kurgan, rycerze byli markotni i ponurzy. Po części było to spowodowane wszechobecną pustką otwartego stepu, po części śmiercią trzech z ich braci. Chorągiew zakonna łopotała nisko i Kaspar wiedział, jak bardzo Kurt Bremen przeżywa fakt, iż musieli pozostawić za sobą ciała trzech rycerzy, którzy padli w walce. Po prostu nie było czasu ich zabrać. Wolne konie przywiązane do siodła ocalałych rycerzy podążały smutno za nimi, trzymając się na końcu grupy, tak jakby dobrze wiedziały, że ich właściciele nigdy nie pojedą już na nich do bitwy.

Kajetan przez całą podróż milczał, za wyjątkiem krótkiego podziękowania, rzuconego w stronę rycerza, który opatrzył mu rany. Od czasu bitwy pod brodem zupełnie zamknął się w sobie i nie odpowiadał na żadne pytania, pochylając tylko głowę, gdy ktoś się do niego zwracał. Mimo że ani razu nie próbował uciec, Bremen nie ryzykował i nakazał związać mu nadgarstki, a Valdhaas prowadził jego konia.

Rozumiejąc miarę szaleństwa Kajetana, Kaspar nie wierzył, by takie środki ostrożności były konieczne, ale nie ważył się spierać o to z rycerzem.

- Nigdy nie myślałem, że kiedykolwiek tak ucieszy mnie widok tego miejsca -

stwierdził Kurt, jadący tuż obok ambasadora.

Kaspar przytaknął skinieniem głowy, zbyt wyczerpany, by odpowiadać. Zranione ramię wciąż potwornie bolało, ale uśmiechnął się do siebie na myśl, że wkrótce znów zobaczy Sofię, Anastazję i Pawła. Przekręcił się w siodle, by zerknąć na Kajetana. Ten patrzył do góry, na miasto, z mieszaniną strachu i obrzydzenia malującą się na twarzy. Prawdopodobnie zdawał sobie sprawę z tego, że kiedy tylko trafi w łapy Czekistów, ci będą go chcieli niezwłocznie powiesić.

Kaspar za wszelką cenę chciał temu zapobiec. Jakieś siły stały za szaleństwem Kajetana i ambasador nie chciał, by szermierz zakończył żywot na szubienicy, zanim on nie spróbuje odkryć, kto lub co było za to odpowiedzialne. Już w tej chwili przygotowywał się na nieuniknioną konfrontację z Paszenką.

Kaspar westchnął. Miał nadzieję, że teraz, kiedy schwytali Rzeźnika, kolejne dni będą mniej chaotyczne i nerwowe niż bywało to dotychczas.

Miał jednak jednocześnie dziwne przecucie, że może to być złudna nadzieja.

II

W spowitej nocną ciemnością dolinie wirował śnieg. Dziewięciu jeźdźców wspinało się z mozołem w górę po jednym z jej kamienistych zboczy. Owinięci grubymi futrami przypominali bardziej jakieś dzikie bestie niż ludzi.

Nic tu nie żyło. Nic nie mogło, kamienisty grunt i wyjące wichry sprawiały, że ta część województwa pozostawała niezamieszкана.

Jeźdźcy przymusili wierzchowce do większego wysiłku i dalej brnęli przez padający śnieg. Dolina wyglądała jak wielkie wyżłobienie w ziemi, tak jakby grunt rozdarł się pewnego dnia i pozostała na nim długa, wijąca się rana. Walcząc z wciąż pogarszającą się pogodą parli i parli, ciągle naprzód i do góry, choć zdawało się, że wszystkie żywioły sprzysięgły się, by ich powstrzymać.

Z ciemności nocy wyłonił się przed nimi, wciąż niewyraźny wśród szalejącej zamięci, wielki, sterczący pionowo w górę głaz. Był to menhir, wysoki na jakieś dziesięć, piętnaście metrów, jego szczyt nikał pośród śniegu i ciemności. Kamień był głęboko osadzony w gruncie i piał się wysoko w oświetlone księżycem niebo. Cała jego powierzchnia pokryta była kanciastymi wydrążeniami, mogły one być kiedyś prymitywnymi piktogramami, ale teraz lata wiejących wichrów i niepogody sprawiły, że znaki pozacierały się i były zupełnie nieczytelne.

Jeźdźcy zatrzymali się u podnóża ogromnego głazu, zsiadli z koni i obeszlili go dookoła, jakby coś sprawdzali. Jeden z nich, wielkolud o szerokich barach z rogatym hełmem na głowie i przyłbicą ukutą w kształt zmarszczonego, warczącego wściekłego wilczego pyska, wystąpił do przodu i oparł swą okrytą rękawicą dłoń o kamień.

- Bądź ostrożny, mój władco - ostrzegł mężczyzna obwieszony czaszkami i amuletami. - Kamienie śpiewają mocą.

- Dobrze - odparł wojownik w hełmie, odwracając się do czarownika. - Przynieście dar dla Tchara.

Wielki Zar Aelfric Cyenwulf położył na kamieniu drugą dłoń i uśmiechnął się.

Dolganie nazywali to miejsce Urszebja. - Zęby Ursuna - wierząc, że są to szczątki kłów boga niedźwiedzia, pozostałe tu po tym, jak odgryzł on kawałek świata. Uśmiechnął się na samą myśl o tym, jak niedorzeczne było to wyobrażenie.

Choć wiedział, że było to niezwykle ryzykowne - wyruszyć tak daleko na południe bez swej armii - musiał osobiście obejrzeć te kamienie. Kiedy zdjął kolczącą rękawicę i oparł

zrogowaciałą dłoń o zimny głaz, wiedział już, że ta niebezpieczna podróż była warta ryzyka.

Mimo iż nie był czarownikiem, wyraźnie czuł moc przepelniającą kamień i podziękował

Tcharowi, że mógł dotrzeć w to miejsce.

- Mój władco - odezwał się szaman, popychając związanego człowieka. Nieszczęśnik opadł na kolana.

Aelfric Cyenwulf odstąpił od menhira i rozchylił futra, pozwalając płaszczowi spłynąć na ziemię. Pod futrzanym okryciem nosił promieniejące kolorami tęczy płyty ciężkiej, stalowej zbroi, która zdawała się falować w świetle księżyca, tak jakby pokryta była warstwą przelewającej się we wszystkie strony oliwy. Okolony żłobionymi, złotymi i srebrnymi spiralami napierśnik ukuty był tak, by przypominał rzeźbę muskularnego człowieka. Ramiona Zara były prawie całkiem zasłonięte przez żelazne obręcze i wojenne tatuaże, wijące się z każdym poruszeniem potężnych mięśni. Olbrzymi pałasz, którego ostrze musiało mieć prawie dwa metry długości, spoczywał w pochwie zawieszanej na plecach. Jego głowica wyrzeźbiona była tak, by przypominała oblicze wrzeszczącego demona.

Aelfric Cyenwulf ściągnął hełm i podał go jednemu ze swoich wojów. Bujna grzywa srebrzystych włosów, poznaczona gdzieś kępami czerni, spłynęła na ramiona i okoliła jego rytualnie okaleczoną twarz, która promieniowała bezwzględną inteligencją. Sześć cięć na lewym policzku, cztery cięcia na prawym.

Wysoki Zar wznosił się ponad swoimi podwładnymi - potężny wojownik w służbie mocarnych bogów północy, prawdziwych bogów ludzkości, Władców Końca Świata i, już wkrótce, panujących nad całym tym światem.

Tuż przed nim więzień trząśł się i płakał, nie miał na sobie nic prócz zbrukanych odchodami spodni.

Wielki Zar zaśmiał się, ukazując spiłowane zęby i pochylił się, by podnieść skazańca za szyję jedną mocarną dłonią.

Mężczyzna szamotał się w uścisku, ale nie było już dla niego ucieczki. Górzący nad wszystkimi wybraniec Chaosu przyciągnął go do siebie i przegryzł mu gardło, jednocześnie rykiem oznajmiając swoją pochwałę dla Tchara; umierające, trzęsące się ciało wyciągnął w stronę głazu i pozwolił, by krew chlustająca z krtani spłynęła na olbrzymi monolit.

Szaman pochylił się, by odczytać znaki uformowane przez krew płynącą w dół głazu.

Rysował kleistym płynem własne symbole, kiedy posoka dotarła do pozacieranych piktogramów. Wielki Zar odrzucił na bok martwe już ciało, jednocześnie wypluwając kawał

mięsa u podnóża kamienia.

- No i co? Cóż oznaczają twoje przepowiednie?

Szaman odwrócił się i rzekł:

- Czuję pulsowanie świata pod naszymi nogami.

- I?

- Boi się.

Wielki Zar zaśmiał się.

- Ma ku temu powody.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)